

Czas przemian

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

ROBERT SILVERBERG

CZAS PRZEMIAN

PRZEŁOŻYŁA: IRENA LIPIŃSKA

Nazywam się Kinnall Dariyal i zamierzam opowiedzieć ci wszystko o sobie.

To stwierdzenie jest tak dziwne, że dosłownie kłuje mnie w oczy. Wpatruję się w nie na tej stronie, rozpoznaję charakter swego pisma - wąskie, proste czerwone litery na zwykłej szarej kartce papieru - i widzę swoje nazwisko, a po głowie rozchodzi mi się jeszcze echo impulsu mózgu, który zrodził te słowa. Nazywam się Kinnall Darival i. zamierzam opowiedzieć ci wszystko o sobie. Nie do wiary.

Ma to być, jak by powiedział Ziemianin Schweiz, autobiografia. To znaczy rozliczenie się z sobą i ze swoimi czynami na piśmie, dokonane przez samego siebie. Takiej formy literackiej nie znamy w naszym świecie, muszę więc wymyślić własny sposób narracji, nie istnieje bowiem żaden precedens, mogący mi służyć za wzór. Ale tak właśnie powinno być. Na tej mojej planecie jestem teraz zupełnie odosobniony. W pewnym, sensie wymyśliłem nowy sposób życia; mogę też z pewnością wymyślić nowy rodzaj literatury. Zawsze mi mówiono, że posiadam dar słowa.

No i oto znajduję się na Wypalanej Nizinie w szopie z desek, wypisując obrzydliwości i czekając na śmierć. Co za szczęście, że mam talent pisarski!

Nazywam się Kinnall Dariyal.

Obrzydliwość! Obrzydliwość! Już tylko na tej jednej stronie użyłem czasownika w pierwszej osobie chyba ze dwadzieścia razy, nie licząc tu i tam powtykanych takich słów, jak "moje", "mnie", "sobie". Rwący potok bezwstydu. Ja, ja, ja, ja, ja. Gdybym obnażył swą męskość w Kamiennej Kaplicy w Manneranie w świąteczny dzień, nie uczyniłbym nic równie ohydneho, jak to, co robię tutaj. Można by się uśmieć. Kinnall Darival oddający się w odosobnieniu występкови. W tym nędznym, samotnym miejscu pobudza swoje cuchnące ego i wykrzykuje ten obraźliwy zaimek, mając nadzieję, że porwą go podmuchy

gorącego wiatru, poniosą i skalają nim współziomków. Układa zdanie po zdaniu, którego składnia to czyste szaleństwo. Chciałby, gdyby mógł, chwycić cię za rękę i sączyć do twych opornych uszu strumienie plugastwa. Dlaczego? Czy dumny Darival jest rzeczywiście obłąkany? Czy jego nieugięty duch całkowicie załamał się, bo cierpiał z wewnętrznego niepokoju? Czy nic z niego nie pozostało poza skorupą, tkwiącą w tej ponurej chacie, obsesyjnie drażniącą się plugawym językiem, mamroczącą "ja", "mnie", "moje", "sobie", uparcie grożąc ujawnieniem intymnych szczegółów swej duszy.

Nie. Darival jest normalny i zdrowy, to wy wszyscy jesteście chorzy, i chociaż wiem, jak głupio to brzmi, zgadzam się, by tak zostało. Nie jestem wariatem wypowiadającym obmierzłe słowa wobec obojętnego wszechświata i czerpiącym z tego przyjemność. Przyszedłem przez czas przemian i zostałem uzdrowiony z choroby, która trapi mieszkańców mego świata, a dzięki temu, co zamierzam napisać, mam nadzieję również i was uzdrowić, chociaż wiem, że właśnie z tego powodu znajdujecie się w drodze na Wypaloną Nizinę, iżby mnie zabić.

Niech tak się stanie.

Nazywam się Kinnall Darival i zamierzam opowiedzieć ci wszystko o sobie.

Dręczą mnie nieustannie resztki zwyczajów, przeciwko którym podniosłem bunt. Być może zaczynasz pojmować, jaki to dla mnie wysiłek formułować zdania w tym stylu, tak obracać czasownikami, żeby dostosować je do konstrukcji pierwszoosobowej. Piszę od dziesięciu minut, a już moje ciało pokryło się potem, nie tym, który skrapla się wskutek panującego tu upału, ale wilgotnym, lepkiem potem, wyciskany przez wysiłek umysłowy. Wiem, jakiego stylu winienem używać, ale mięśnie mej ręki sprzeciwiają mi się i walczą, by napisać słowa na starą modłę i oznajmić: "Pisze się od dziesięciu minut i ma się ciało pokryte potem", albo: "Przeszło się przez czas przemian i jest się uzdrowionym z choroby, która trapi mieszkańców tego świata". Sądzę, iż to, co dotąd napisałem, można by wyrazić po staremu i nic by się nie stało, ale naprawdę walczę przeciwko kwestionującej osobowe "ja" gramatyce mego świata i jeśli będzie trzeba, siłą zmuszę swoje mięśnie, aby uznały moje prawo do porządkowania słów zgodnie z wyznawaną obecnie przeze mnie filozofią.

Choć wcześniejsze nawyki skłaniają mnie do niepożądanego konstrukcji zdań, to jednak, co mam na myśli, będzie jaśniało spoza zasłony słów. Mogę powiedzieć: "Nazywam się Kinnall Darival i zamierzam opowiedzieć ci wszystko o sobie", albo mogę powiedzieć: "Nazywa się Kinnall Darival i zamierza opowiedzieć ci wszystko o sobie" - i nie ma tu istotnej różnicy. W każdym razie treść oświadczenia Kinnalla Darivala jest - według naszych wzorców, według wzorców, które ja będę niszczył - odrażająca, zasługująca na pogardę, nieprzyzwoita.

Niepokoi mnie również, przynajmniej gdy piszę te pierwsze 'strony, tożsamość mych odbiorców. Zakładam, ponieważ muszę, iż będę miał czytelników. Ale kim oni są? Kim wy jesteście? Być może mężczyźni i kobiety na mej rodzinnej planecie ukradkiem, przy świetle pochodni, przewracający kartki w strachu, by ktoś nie zastukał do drzwi. A może mieszkańcy innych światów czytający dla rozrywki, przebiegający wzrokiem stronice mej książki, by uzyskać obraz obcego i odrażającego społeczeństwa. Nie mam pojęcia. Niełatwo nawiązać mi z tobą łączność, mój nieznany czytelniku. Kiedy powziąłem plan przelania swej duszy na papier, myślałem, że będzie to proste: zwykły konfesjonał, przedłużona sesja z wyimaginowanym czyścicielem, który będzie cierpliwie słuchał i da mi w końcu rozgrzeszenie. Ale teraz zdaję sobie sprawę, że powinienem podejść do tego inaczej. Jeśli nie jesteś z mego świata, albo należysz do mego świata, ale nie do moich czasów, możesz znaleźć tu wiele niejasności. Dlatego będę wyjaśniał. Może będę tłumaczył zbyt wiele i wyprowadzę cię z równowagi, przekonując o tym, co oczywiste. Wybacz mi, jeśli będę informował cię o tym, co już wiesz. Wybacz, jeśli mój ton i sposób przekonywania wykaże brak konsekwencji i wyda ci się, iż zwracam się do kogoś innego. Nie pozostajesz bowiem dla mnie jednaki, mój nieznany czytelniku. Posiadasz wiele twarzy. Teraz widzę zakrzywiony nos Jidda, czyściciela, a teraz łagodny uśmiech mego brata więźnego Noima Condorita, a teraz słodczy oblicza siostry więźnej Halum, a teraz stajesz się kusicielem Schweizem z żalostnej Ziemi, a w tym momencie jesteś synem syna mego syna, który narodzi się za ileś tam lat i będzie ciekaw, jakim człowiekiem był jego przodek, a teraz jesteś kimś obcym z innej planety, któremu my, z Borthana, wydajemy się groteskowi, tajemniczy, trudni do pojęcia. Nie znam ciebie, toteż moje wysiłki przemawiania do ciebie będą niezdarne.

Ale, klnę się na Bramę Salli, że zanim zostanę wykończony, poznasz mnie tak dobrze, jak

dotychczas żadnego człowieka z Borthana!

Jestem mężczyzną w średnim wieku. Od dnia moich narodzin Borthan trzydzieści razy okrążył nasze złocistozielone słońce. Ktoś, kto przeżyje pięćdziesiąt takich okrążeń, uważany jest w naszym świecie za osobę wiekową, a najstarszy człowiek, o jakim słyszałem, zmarł nie osiągnąwszy osiemdziesiątki. W oparciu o to, możesz porównać skalę czasu u nas i u siebie, jeśli przypadkiem jesteś mieszkańcem innego świata. Ziemianin Schweiz utrzymywał, że ma czterdzieści trzy lata według rachuby na jego planecie, a jednak nie wydawał się starszy ode mnie.

Posiadam mocną budowę ciała. Tutaj popełnię podwójny grzech, nie tylko bowiem będę mówił o sobie bez wstydu, ale będę się chełpił swoją formą fizyczną. Jestem wysoki. Kobieta normalnego wzrostu sięga mi zaledwie do piersi. Włosy mam ciemne i długie, opadają mi na ramiona, ostatnio pojawiły się w nich siwe pasma. Zaczyna mi również siwieć broda, która jest gęsta i zakrywa większą część twarzy. Nos mam wydatny, prosty, z dużymi nozdrzami; wargi mięsiste, co - jak powiadają - przydaje memu wyglądowi zmysłowości, ciemnobrązowe oczy rozstawione są raczej szeroko. Dawano mi do zrozumienia, że są to oczy kogoś, kto przez całe życie przyzwyczał się rozkazywać innym.

Plecy mam mocne, a klatkę piersiową szeroką. Masa czarnych, krótkich, szorstkich włosów pokrywa prawie całe moje ciało. Ręce długie i wielkie dłonie. Pod skórą rysują się wyraźnie silne mięśnie. Jak na tak okazałego mężczyznę, ruchy mam harmonijne i pełne gracji. Wybijam się w sportach i kiedy byłem młodszy, potrafiłem miotać pierzaste strzały przez całą długość Stadionu w Manneranie - nikt tego przede mną nie dokonał.

Większość kobiet uważa, że jestem atrakcyjny. Właściwie tak myślą wszystkie poza tymi, które wolą mężczyzn: wątlejszych, o wyglądzie naukowców, przeraża je bowiem siła, wielkość i męskość. Z pewnością władza polityczna, jaką posiadałem w pewnym czasie,

pomagala mi sprowadzić do łóżka wiele partnerek, nie ma jednak wątpliwości, że pociągał je w równym stopniu mój wygląd, jak i inne, bardziej subtelne względy. Znaczna część z nich zawiodła się na mnie. Rozrośnięte mięśnie i owłosiona skóra nie przydają kochankowi potencji, a potężny organ płciowy nie gwarantuje ekstazy. Nie jestem championem kopulacji. Zauważ: nic przed tobą nie ukrywam. Jest we mnie pewna wrodzona niecierpliwość, która ujawnia się na zewnątrz tylko wtedy, gdy się kocham. Po wejściu w kobietę bardzo szybko mam wytrysk i rzadko udaje mi się go powstrzymać, nim ona osiągnie przyjemność. Nikomu, nawet czyścicielowi, nie wyznałem dotychczas tej słabości i nie sądzę, bym to uczynił kiedykolwiek. Wiele jednak kobiet na Borthanie odkryło tę moją wielką wadę bezpośrednio, własnym kosztem i niewątpliwie niektóre z nich, zawiedzione i niedyskretne, naśmiewały się opowiadając pieprzne dowcipy na mój temat. Odnotowuję to dlatego, abyś nie myślał o mnie jak o włochatym umięśnionym olbrzymie, nie wiedząc, że moje ciało często nie zaspokajało mych żądz. Być może, iż ta słabość była jednym z czynników, które kształtowały me przeznaczenie i doprowadziły mnie tamtego dnia na Wypaloną Nizinę. Powinieneś o tym wiedzieć.

Mój ojciec był dziedzicznym septarchą prowincji Salla na naszym wschodnim wybrzeżu. Matka moja była córką septarchy Glinu. Poznał ją podczas misji dyplomatycznej, a ich małżeństwo, jak mówiono, zostało postanowione, ledwie się ujrzeni. Pierwszym dzieckiem, jakie im się urodziło, był mój brat Stirron, obecnie po naszym ojcu septarchą w Salli. Ja przyszedłem na świat w dwa lata później, po mnie była jeszcze trójka, same dziewczynki. Dwie z nich nadal żyją. Najmłodszą siostrę zamordowali najeźdźcy z Glinu jakieś dwadzieścia obrotów księżyca temu.

Mało co znałem swego ojca. Na Borthanie wszyscy są sobie obcy, zwykle jednak ojciec jest mniej daleki niż inni, ale nie tak było ze starym septarchą. Pomiędzy nami wznosił się nieprzebyty mur konwenansu. Zwracając się do niego używaliśmy tych samych, co zwykli poddam, wyrazów szacunku. Uśmiechał się tak rzadko, że mogę przywołać na pamięć każdy jego uśmiech. Pewnego razu, to moment niezapomniany, posadził mnie obok siebie na tronie, wyciosanym z czarnego drewna i pozwolił dotykać starej, żółtej poduszki, przemawiając do mnie pieszczotliwie. Stało się to tego dnia, gdy zmarła moja matka. Poza tym nie zwracał na mnie uwagi. Bałem się i kochałem go. Drżąc, kuliłem się za filarami w sądzie, bo chciałem obserwować, jak wymierza sprawiedliwość. Byłem przekonany, że gdyby mnie tam zobaczył, kazałby mnie zniszczyć, a jednak nie byłem w stanie pozbawić się widoku ojca w pełni majestatu.

Był, to dziwne, mężczyzną szczupłym, średniego wzrostu. Wraz z bratem już jako chłopcy górowaliśmy nad nim. Ale odznaczał się niezwykłą siłą woli, która pozwalała mu stawiać czoło wszelkim wyzwaniom. Kiedyś, jeszcze w moim dzieciństwie, przybył do septarchii pewien ambasador z Zachodu, na czarno opalony kolos, który w pamięci rysuje mi się równie wielki jak góra Kongoroi. Był wysoki i barczysty, jak ja teraz. W czasie uczy

ambasador wlał w siebie zbyt wiele niebieskiego wina i oświadczył wobec mego ojca, dworzan

i rodziny: - Chciałbym pokazać swą siłę mężom Salli i nauczyć ich, jak staje się do zapasów.

- Jest tu taki - odparł mój ojciec opanowany nagłym gniewem - którego, być może, niczego nie trzeba uczyć.

- Niech się pokaże - powiedział olbrzym z Zachodu, wstając i zdejmując płaszcz. Ale mój ojciec uśmiechnął się, a widok tego uśmiechu wprowadził dworzan w drżenie. Powiedział chełpiącemu się przybyszowi, że byłoby niewłaściwe pozwolić na walkę, gdy umysł jego zamroczony jest winem. To oczywiście rozwścieczyło ambasadora. Zjawili się więc muzykanci, żeby rozładować napięcie, nie zdołali jednak uśmierzyć gniewu gościa i po godzinie, kiedy trochę otrzeźwiał, domagał się ponownie spotkania z wybranym zapaśnikiem ojca. Twierdził, że żaden mężczyzna w Salli nie zdoła oprzeć się jego sile.

Na to septarcha oświadczył: - Ja sam będę się z tobą mocował.

Tego wieczoru siedzieliśmy wraz z bratem u końca długiego stołu pomiędzy kobietami.

Nagle od tronu przyplęnęło to oszałamiające słowo "ja" wypowiedziane głosem ojca, a zaraz potem "sam". Takie sprośności często szeptaaliśmy z Stirronem, chichocąc w ciemnościach sypialni, ale nigdy nie przyszło nam nawet do głowy, że moglibyśmy usłyszeć je wypowiedziane na głos w sali biesiadnej przez samego septarchę. Obaj doznaliśmy wstrząsu, choć reakcja nasza była różna: Stirron skręcał się konwulsyjnie i skrywał twarz za pucharem, ja pozwoliłem sobie na stłumiony śmieszek zażenowania i uciechy, za co natychmiast dostałem kuksańca od damy dworu. Tym śmiechem próbowałem pokryć wewnętrzne przerażenie. Nie mogłem wprost uwierzyć, że mój ojciec zna takie słowa i że je w ogóle wypowie w tak dostojnym towarzystwie: "Ja sam będę się z tobą mocował". Kiedy wciąż jeszcze byłem oszołomiony dźwiękiem zabronionych form mowy, mój ojciec wystąpił do przodu, zrzucił płaszcz, stanął przód potężnym ambasadorem, złapał go za łokieć i biodro zręcznym chwytem

sallańskim i nieomal natychmiast powalił na lśniąca posadzkę z szarego kamienia. Ambasador krzyknął przeraźliwie, jedna noga pod dziwnym kątem odstawała mu od biodra, w bólu i upokorzeniu raz po raz uderzał płaską dłonią o podłogę. Być może obecnie w pałacu mego brata Stirrona spotkania dyplomatyczne odbywają się w bardziej wyrafinowany sposób. Septarcha zmarł, kiedy miałem dwanaście lat i wkraczałem w męskość. Byłem przy nim w chwili śmierci. Każdego roku, by uniknąć pory deszczowej w Salli, jechał polować na rogorły na Wypalanej Nizinie, w te właśnie okolice, gdzie teraz ukrywam się i czekam. Nigdy z nim nie podróżowałem, ale wtedy pozwolono mi towarzyszyć myśliwym, byłem już bowiem młodym księciem i powinienem był nabierać zręczności w zajęciach godnych mego urodzenia. Stirron, jako przyszły septarcha, musiał wprawiać się w czym innym; pod nieobecność ojca pozostał w stolicy jako regent. Pod ponurym, zasnutym ciężkimi, deszczowymi chmurami niebem, ekspedycja złożona z blisko dwudziestu wozów terenowych posuwała się na zachód od miasta Salla przez kraj płaski, podmokły, nagi i zimny. Deszcze w tym roku padały bezlitośnie, zmywając cienką warstwę gleby i pozostawiając gołe skały. W całej naszej prowincji rolnicy naprawiali groble, ale na niewiele to się zdało. Widziałem wezbrane rzeki, unoszące żółto-brunatne bogactwo Salli, i płakać mi się chciało, gdy pomyślałem, że takie bogactwo płynie do morza. Gdy przybyliśmy do Zachodniej Salli, droga zaczęła wspinać się na wzgórza, u stóp górskiego pasma Huishtor. Wkrótce znaleźliśmy się w bardziej suchej i jeszcze chłodniejszej okolicy, gdzie padały śniegi miast deszczu, a w oślepiającej bieli tylko gdzieś tam sterczały czarne kikuty drzew. Podążaliśmy drogą Kongoroi w góry Huishtor. Przejeżdżającego septarchę miejscowa ludność wychodziła witać ze śpiewem. Nagie góry jak purpurowe kły rozrywały szare niebo i piękno tego groźnego krajobrazu odciągało moje myśli od wszelkich niewygód, chociaż nawet w naszym szczelnie zamkniętym wozie drżeliśmy z zimna. Na poboczach wyboistej drogi wznosiły się płaskie tarcze brunatnych skał, nie było

widać ziemi, wszędzie kamienie, a drzewa i krzewy rosły jedynie w jakichś osłoniętych miejscach. Spojrzawszy za siebie, mogliśmy w dole ujrzeć całą Sallę jak na mapie: biel zachodnich okręgów, ciemne, zgiełkliwe, gęsto zaludnione wschodnie wybrzeże, wszystko pomniejszone i jakby nierzeczywiste. Nigdy dotychczas nie byłem tak daleko od domu. Choć znajdowaliśmy się na wyżynie, niby w połowie drogi między morzem a niebem, to szczyty wewnętrznego pasma gór Huishtor wciąż wznosiły się przed nami. W moich oczach wyglądały jak kamienny mur nie do przebycia, rozciągający się przez kontynent z północy na południe. Pokryta śniegiem, poszarpana grań sterczała z wyniosłego przedpiersia litej skały. Czy będziemy przedzierać się przez te szczyty, czy może jest jakaś inna droga przez góry? Wiedziałem o Bramie Salli i o tym, że nasza trasa prowadzi w jej kierunku, ale jakoś w tym momencie istnienie takiej bramy wydawało mi się nieprawdopodobne.

Jechaliśmy w górę, w górę, w górę, aż silniki naszych samochodów zaczęły zachłystywać się w lodowatym powietrzu i trzeba było często zatrzymywać się, żeby odmrażać przewody paliwa. W głowach kręciło się nam z braku tlenu. Każdej nocy odpoczywaliśmy w którymś z obozowisk przygotowanych dla wygody podróżujących septarchów, ale urządzenia w nich zaiste nie były królewskie, a w jednym, gdzie r arę tygodni temu cała służba zginęła pod śnieżną lawiną, musieliśmy przebić drogę przez zwały lodu, aby móc dostać się do wnętrza. Choć należeliśmy do ludzi szlachetnie urodzonych, wszyscy chwyciliśmy za łopaty, oprócz septarchy, dla którego praca fizyczna byłaby grzechem. Byłem wielki i najmocniejszy z mężczyzn, kopałem więc z większym zapałem niż inni, a że byłem młody i nieopanowany, przeliczyłem się z siłami. W pewnej chwili upadłem i leżałem prawie bez życia w śniegu blisko godzinę, zanim mnie zauważono. Kiedy mnie cucono podszedł ojciec i obdarzył mnie jednym ze swych rzadkich uśmiechów. Wtedy wierzyłem, że to wyraz uczucia, co spowodowało, że szybciej wróciłem do siebie, ale później doszedłem do przekonania, że był to raczej znak jego

pogardy.

Ten uśmiech podsycił me siły w dalszej drodze. Już nie trapiłem się przejściem przez góry, bo wiedziałem, że przejdę i że tam daleko na Wypalanej Nizinie mój ojciec i ja będziemy polować na rogorła. Wyjdziemy razem i będziemy nawzajem strzec się przed niebezpieczeństwem, wspólnie będziemy tropić ptaka i razem go zabijemy, poznamy bliskość, jaka nigdy nie istniała między nami w moim dzieciństwie. Rozmawiałem o tym pewnej nocy z moim bratem więźnym, kiedy jechaliśmy jednym wozem. Był on jedyną osobą we wszechświecie, której mogłem zaufać. - Ma się nadzieję zostać wybranym do grupy myśliwych septarchy - oznajmiłem. - Ma się powody sądzić, że będzie się poproszonym. Położy to kres dystansowi między ojcem i synem.

- Marzysz - odparł Noim Condorit. - Ponosi cię fantazja.

- Mówiący pragnąłby - zauważyłem - cieplejszych słów poparcia od brata więźnego.

Noim zawsze był pesymistą. Zlekceważyłem jego gorzką uwagę i liczyłem dni dzielące mnie od Bramy Salli. Gdy tam dotarliśmy, zaskoczyła mnie uroda tego miejsca. Przez cały ranek i połowę popołudnia posuwaliśmy się w górę nachylonego o trzydzieści stopni, rozległego zbocza Kongoroi, pozostając w cieniu wyniosłego, złożonego z dwóch szczytów, wierzchołka góry. Wydawało mi się, że będziemy się tak wspinać bez końca, a Kongoroi będzie wciąż wznosić się w oddali. Nagle nasza karawana skręciła ostro w lewo i wóz za wozem zniknął poza śnieżnym pylonem sterczącym z boku drogi. Przyszła nasza kolej i za zakrętem ujrzałem coś, co zaparło mi dech w piersiach: szeroki wyłom w ścianie góry, jakby jakaś kosmiczna ręka wyrwała kawał Kongoroi. Przez ten otwór buchało światło słoneczne. Była to Brama Salli. Tym cudownym przejściem wkroczyli nasi przodkowie wiele wieków temu do naszej prowincji, po wędrówkach poprzez Wypaloną Nizinę. Zapusciliśmy się w nie radośnie, jadąc po dwa, a nawet po trzy wozy w rzędzie po twardo ubitym śniegu. Zanim

rozłożyliśmy się na noc obozem, mogliśmy podziwiać niezwykłą wspaniałość rozciągającej się w dole Wypalonej Niziny.

Przez następne dwa dni zjeżdżaliśmy serpentynami w dół zachodniego zbocza Kongoroi, a właściwie pełzaliśmy ze śmieszną wprost prędkością po tak wąskiej drodze, gdzie każdy niebaczny ruch kierownicą groził zwaleniem się wozu w bezdenną przepaść. Po tej stronie gór Huishtor nie było śniegu i widok gołych, popękanych skał sprawiał przygnębiające wrażenie. Przed nami wszystko pokryte było warstwą czerwonej gleby. Zjeżdżaliśmy na obszar pustynny, pozostawiając za sobą zimę i wkraczając w świat, gdzie panowała duchota, gdzie suche wiatry wznosiły tumany pyłu i z każdym oddechem wdzierały się do płuc gryzące ziarenka piasku, gdzie zwierzęta o dziwnym, niesamowitym wyglądzie uciekały w popłochu przed nadjeżdżającą kolumną. Szóstego dnia dotarliśmy na tereny łowieckie, na poszarpane terasy schodzące poniżej poziomu morza. Obecnie znajduję się nie dalej niż o godzinę jazdy od tamtego miejsca. Tutaj ma swe gniazda rogorzeł. Przez cały długi dzień ptaki te szybują nad spieczonymi równinami szukając żaru, a o zmierzchu powracają z łowów, opadając dziwnym spiralnym lotem, by skryć się w niedostępnych rozpadlinach.

Przy podziale naszej grupy zostałem wybrany na jednego z trzynastu towarzyszy septarchy. - Dzieli się twoją radość - powiedział uroczyście Noim i miał w oczach łzy, tak samo jak ja. Zdawał sobie sprawę, jaki ból sprawiał mi chłód ojca. O świcie wyruszyli myśliwi - dziewięć grup w dziewięciu kierunkach.

Nie przynosi zaszczytu upolowanie rogorła blisko gniazda. Powracający ptak obciążony jest mięsem dla swych młodych, ma ciężki lot, pozbawiony wdzięku i siły, łatwo można go zaatakować. Zabić ptaka czyszczącego pióra to łatwizny dla tchórza, obnażającego własne ja. (Obnażającego własne ja! Zauważ, jak ze mnie drwi moje własne pióro! Ja, który obnażalem swoje ja częściej niż dziesięciu innych mężczyzn na Borthanie, wciąż podświadomie używam

tego określenia jako obelgi. Ale niech tak zostanie.) Chcę powiedzieć, że wartością polowania jest niebezpieczeństwo i trudy pogoni, a nie samo zdobycie trofeum. Polujemy na rogorła, żeby popisać się zręcznością, a nie w celu zdobycia niesmacznego mięsa.

I tak myśliwi ruszyli na otwartą Nizinę, gdzie nawet zimowe słońce dokonuje spustoszenia, gdzie nie ma żadnych drzew dających cień, ani strumieni, by móc ugasić pragnienie. Rozeszli się po całej okolicy, zajmując stanowiska na gołej, czerwonej ziemi i wystawiając się na atak rogorłów. Ptak krąży na niesłychanych wysokościach, można go dostrzec jedynie jako czarną kreseczkę na sklepieniu nieba i to tylko wtedy, gdy ma się bardzo bystry wzrok, chociaż rozpiętość skrzydeł rogorła jest większa od podwójnego wzrostu człowieka. Ze swego wyniosłego punktu rogorzeł wypatruje na pustyni nierozważnych zwierząt. Żadna rzecz, choćby najdrobniejsza, nie ujdzie jego połyskliwym oczom, a kiedy dojrzy łup, spada gwałtownie i unosi się nad ziemią na wysokość domu. Teraz rozpoczyna śmierny lot, leci cicho, opuszcza się, zataczając coraz mniejsze kręgi wokół niczego nie spodziewającej się ofiary. Pierwsze koło może objąć obszar większy niż połowa prowincji, następne kręgi są coraz mniejsze i mniejsze, prędkość lotu zwiększa się, aż wreszcie rogorzeł zmienia się w przerażającą maszynę śmierci, która zbliża się z łoskotem od horyzontu z koszmarną szybkością. Teraz zwierzę wie już wszystko, ale ta wiedza trwa krótko: szum potężnych skrzydeł, syk rozdieranego wielkim, obłym ciałem gorącego, nieruchomego powietrza, a potem długi, zabójczy róg, wyrastający z kości czołowej ptaka, znajduje swój cel, ofiara pada, tłamszona czarnymi trzepoczącymi skrzydłami. Myśliwy, wyposażony w dalekonośną broń, stara się zestrzelić ptaka wtedy, gdy ten krąży tak wysoko, jak sięga ludzki wzrok. Trudność polega na bezbłędnym określeniu z tak wielkiej odległości punktu przecięcia się toru pocisku z drogą lotu ptaka. Niebezpieczeństwo łowów na rogorła tkwi w tym, iż nigdy nie wiadomo, kto na kogo poluje, rogorzeł bowiem najczęściej widoczny jest dopiero wtedy, gdy spada, by zadać

śmiertelny cios.

Wyszedłem bez zwłoki i przebywałem na tym pustkowiu od świtu do południa. Słońce nie oszczędzało mojej wydelikaczonej zimną skórą na tych częściach ciała, które były odsłonięte. Na sobie miałem strój myśliwski z miękkiego zamszu, w którym się po prostu gotowałem. Popijałem z manierki tyle tylko, żeby nie umrzeć z pragnienia, bo wyobrażałem sobie, że zwrócone są na mnie oczy ”wszystkich moich towarzyszy, a nie chciałem okazać wobec nich słabości. Ustawiono nas w dwa sześciokąty. Mój ojciec znajdował się sam pomiędzy tymi dwiema grupami. Los chciał, że wylosowałem miejsce w sześciokącie najbliżej niego, ale i tak dzieliła nas odległość, jaką zdoła przelecieć pierzasta strzała. Przez cały ranek nie zamieniliśmy z septarchą ani słowa. Stał z nogami mocno wpartymi w ziemię, z bronią gotową do strzału - i obserwował niebo. Jeśli w ogóle pił cokolwiek, to ja tego nie widziałem. Również spoglądałem w niebo, aż bolały mnie oczy, a ten ból wwierał mi się do czaszki. Kilkakrotnie wydawało mi się, że widzę czarny punkcik, który przybiera kształt rogorła, a raz, nieprzytomny z podniecenia, byłem prawie gotów podnieść strzelbę i naraziłbym się na wstyd, bo strzelać może tylko ten, kto pierwszy głośno zawoła, że dostrzegł ptaka. Nie wystrzeliłem, a gdy zamrugałem i ponownie otworzyłem oczy, nie widziałem na niebie nic. Rogorzeł był chyba gdzie indziej tego ranka.

W południe ojciec dał znak i rozeszliśmy się po równinie nie łamiąc jednak szyku. Być może rogorły uważały, że jesteśmy zbici w zbyt dużą gromadę i dlatego trzymały się z daleka. Nową pozycję zająłem na szczycie małego pagórka, który kształtem przypominał kobiecą pierś. Gdy się tam umiejscowiłem, ogarnął mnie strach, bo nie miałem żadnej osłony i bałem się, że rogorzeł zaraz mnie zaatakuje. Moje przerażenie wciąż wzrastało i nabrałem przekonania, że ptak zatacza już śmiertelne kręgi wokół mego wzgórzka. Ja głupio wpatruję się w niebo, a on lada chwila spadnie i przeszyje mnie swym rogiem. Uczucie to było tak prze-

możne, iż z największym wysiłkiem musiałem opanowywać się, żeby nie uciec. Rzuciłem za siebie ukradkowe spojrzenia i mocno ścisnąłem strzelbę, by dodać sobie odwagi. Nastawiałem uszu, by pochwycić odgłos zbliżania się wroga, zdążyć odwrócić się i wystrzelić, zanim mnie powali. Równocześnie ganiłem się surowo za to tchórzostwo i nawet byłem rad, że Stirron urodził się przede mną, bo najwyraźniej nie nadawałem się na następcę septarchy. Przypomniałem sobie, że w ciągu trzech lat żaden myśliwy nie został w ten sposób zabity i uważałem, że to byłoby niesłuszne, abym ja miał umrzeć tak młodo, w czasie swego pierwszego polowania, skoro inni, jak mój ojciec, polowali przez trzydzieści sezonów i nic im się nie stało. Dręczyło mnie pytanie, dlaczego odczuwam ten paraliżujący strach. Moi nauczyciele starali się przecieżyć wpoić we mnie przekonanie, że własne ja jest nieważne i troszczenie się o siebie to paskudny grzech. Czy mój ojciec na tej zalanej słońcem równinie nie znajdował się w takim samym zagrożeniu? I czy nie miał do stracenia więcej, będąc septarchą i to najwyższym septarchą, niż ja, zwykły chłopiec? W ten sposób starałem się przegnać strach ze swej zgnębionej duszy i mogłem już patrzeć w niebo, nie myśląc, że jakiś grot celuje w moje plecy. Po paru minutach moja udręka wydała mi się absurdalna. Będę tu tkwił całymi dniami, jeśli będzie trzeba i nie będę się bał. Rychło otrzymałem nagrodę za to zwycięstwo nad sobą samym: na tle migocącego; wyłoczonego nieba dostrzegłem czarny przecinek, unoszący się kształt, i tym razem nie było to złudzenie, moje młode oczy dojrzały skrzydła i róg. Czy inni też widzieli? Czy ptak był mój i miałem prawo do niego strzelać? Czy, jeśli go zabiję, septarcha poklepie mnie po plecach i nazwie swym najlepszym synem? Wszyscy inni myśliwi milczeli.

- Zgłasza się prawo do ptaka! - zawołałem radośnie i podniosłem strzelbę do oka.

Pamiętałem, czego mnie uczono: trzeba pozwolić, żeby obliczenie dokonało się podświadomie, wycelować i strzelić natychmiast, nim wtrąci się intelekt i zniweczy intuicyjny odruch.

W tej samej sekundzie usłyszałem upiorny krzyk z lewej strony, strzeliłem nie celując i

odwróciłem się w kierunku pozycji mojego ojca. Ujrzałem go niemal zakrytego wściekle trzepoczącymi skrzydłami innego rogorła, który przebódl go na wylot, od kręgosłupa do brzucha. Wokół unosiła się chmura czerwonego piasku, wzbijana uderzeniami skrzydeł potwora. Ptak usiłował poderwać się do lotu, ale rogorzeł nie jest w stanie unieść ciężaru człowieka, aczkolwiek to nie przeszkadza mu nas atakować. Pognałem na pomoc ojcu. Wciąż krzyczał i widziałem, jak zaciska ręce na chudej szyi ptaszyska, ale głos jego załamywał się, przechodził w bełkot i kiedy dobiegłem - znalazłem się tam pierwszy - leżał cicho i bez ruchu, a ptak wciąż okrywał go niby czarnym płaszczem i bódl rogiem. Wydobyłem nóż i uderzyłem na oślep w szyję rogorła, nogą odrzuciłem potem na bok padlinę i zacząłem ukręcać ohydny łeb splamiony krwią septarchy. Nadbiegli inni, odciągnięto mnie i ktoś chwycił mnie za ramiona i potrząsał mną, aż mój szok minął. Kiedy odwróciłem się, ludzie zwarli się tak, że bym nie mógł widzieć ciała ojca, a potem, ku memu zaskoczeniu, upadli przede mną na kolana i złożyli mi hołd.

To Stirron, a nie ja, został septarchą w Salli. Koronacja jego stała się wielkim wydarzeniem, bo chociaż młody, miał piastować godność pierwszego septarchy prowincji. Sześciu innych septarchów Salli przybyło do stolicy - tylko przy takiej okazji można było spotkać ich razem w jednym mieście - i przez pewien czas trwało ucztowanie, powiewały flagi i grzmiały trąby. Stirron znajdował się w centrum tych uroczystości, a ja byłem na marginesie i tak powinno być, chociaż przyznaję, że czułem się bardziej jak chłopak stajenny, a nie książę. Kiedy już, Stirron został osadzony na tronie, ofiarowywał mi tytuły, majątki i władzę, ale naprawdę nie oczekiwał, że je przyjmę. I nie przyjąłem. Jeżeli septarcha nie jest słabeuszem to lepiej, żeby jego młodszy bracia trzymali się z daleka i nie pomagali mu rządzić, bo taka pomoc wcale nie jest pożądana. Nie miałem żadnego żyjącego stryja i wolałem, aby synowie Stirrona nie znaleźli się w podobnej sytuacji rodzinnej, dlatego gdy tylko minął okres żałoby, zabrałem

się szybko z Salli.

Udałem się do Glinu, kraju mej matki. Tam jednak sprawy nie układały się dla mnie pomyślnie i po paru latach przenieśliem się do ciepłej i wilgotnej prowincji Manneran, gdzie znalazłem sobie żonę, spłodziłem synów i stałem się księciem nie tylko z imienia, żyłem uczciwie i szczęśliwie, aż nadszedł czas moich przemian.

Być może powinienem napisać parę słów na temat geografii mego świata.

Na naszej planecie, Borthanie, jest pięć kontynentów. Na tej półkuli są dwa: Velada

Borthan i Sumara Borthan. Można je nazwać Światem Północnym i Światem Południowym.

Trzeba odbyć długą podróż morską od brzegów tych kontynentów do lądów na drugiej półkuli, które noszą nazwy Umbis, Dabis, Tibis, to znaczy Pierwszy, Drugi, Trzeci.

O tych trzech odległych krajach powiedzieć mogę niewiele. Odkryte zostały jakieś siedemset lat temu przez septarchę Glinu, który swoją ciekawość przypłacił życiem. Od tego czasu wyprawiono się tam tylko około pięciu ekspedycji badawczych. Na tamtej półkuli nie zamieszkują żadne istoty ludzkie. Powiadają, że Umbis bardzo przypomina Wypaloną Nizinę, tylko jest tam jeszcze gorzej - w wielu miejscach z tej udręczonej ziemi wydobywają się złote płomienie. Dabis, to dżungle i malaryczne bagna, ale pewnego dnia pojawią się tam nasi ludzie, którzy będą chcieli wykazać się odwagą i dzielnością, bo jak mi wiadomo, żyją tam groźne, dzikie zwierzęta. Kontynent Tibis cały pokryty jest lodem.

Nie jesteśmy rasą wędrowców. Ja sam nigdy nie podróżowałem, dopóki nie zmusiły mnie okoliczności. Chociaż w naszych żyłach płynie krew starożytnych Ziemiaków, a oni opanowani byli przez demony, nakazujące im ruszać na podbój gwiazd, my, Borthanie, trzymamy się domu. Nawet ja, który w pewien sposób różnię się od swych ziomków sposobem myślenia, nigdy nie pragnąłem ujrzeć śniegów Tibisu ani błot Dabisu, chyba gdy byłem dzieckiem gotowym zawładnąć całym wszechświatem. Podróż z Salli do Glinu uważa się u nas za wielkie osiągnięcie i trudno spotkać kogoś, kto przekroczył kontynent, nie mówiąc już o wyprawie na Sumarę Borthan, jaką ja przedsięwziąłem.

Jaką ja przedsięwziąłem.

Velada Borthan jest kolebką naszej cywilizacji. Sztuka kartografów ujawnia, iż jest to

wielki ląd w kształcie prostokąta o zaokrąglonych rogach. Dwa wielkie wcięcia w kształcie litery V znajdują się na jego obwodzie: wzdłuż północnego brzegu w środku pomiędzy wschodnim i zachodnim rogiem znajduje się Zatoka Polarna, a odpowiednio na południowym wybrzeżu - Zatoka Sumar. Między tymi dwoma akwenami, przez cały kontynent z północy na południe rozciąga się Nizina. Żaden punkt na Nizinie nie wznosi się wyżej nad poziom morza niż na wysokość pięciu ludzi, istnieje natomiast wiele miejsc, zwłaszcza na Wypalanej Nizinie, leżących poniżej poziomu morza.

Naszym dzieciom opowiadamy ludową powiastkę o ukształtowaniu się Velady Borthana.

Mówimy, że ogromny lodowy robak, Hrungir, który urodził się w wodach Północnego Morza Polarnego, zbudził się pewnego dnia z ogromnym apetytem i zaczął skubać północny brzeg Velady Borthana. Robak gryzł i przeżuwał przez tysiąc tysięcy lat, aż pożarł cały kawał lądu i tak powstała Zatoka Polarna. Wtedy, gdy obżarstwo spowodowało, że poczuł się niedobrze, wypełził na ląd, aby odpocząć i strawić to, co pochłoniął. Hrungir, mając bóle brzucha, wykręcił się na południe, co spowodowało, że pod jego wielkim ciężarem zapadł się ląd i powstały góry na wschodzie i zachodzie, licząc od miejsca, gdzie odpoczywał. Robak najdłużej odpoczywał na Wypalanej Nizinie, która wskutek tego stała się bardziej zagłębiona niż inne regiony. Po pewnym czasie Hrungrinowi wrócił apetyt i podjął wędrówkę na południe. Przywłókł się wreszcie do miejsca, gdzie pasmo gór, biegnące ze wschodu na zachód, zamykało mu drogę. Wtedy pożarł góry i powstał Przesmyk Stroin, przez który przesunął się w kierunku południowego wybrzeża. Następny napad głodu spowodował, że robak wygryzł Zatokę Sumar. Wody z Cieśniny Sumar rzuciły się, by wypełnić miejsce, gdzie poprzednio był ląd, a rwące fale uniosły Hrungrira na kontynent Sumara Borthan, gdzie teraz żyje, zwinięty pod wulkanem Vashnir. Przez krater wulkanu wydala trujące opary. Tak opowiada bajka.

Długa, wąska kotlina, którą uważamy za drogę, jaką posuwał się Hrungir, dzieli się na

trzy okręgi. Na północy mamy Zamarzniętą Nizinę, kraj wiecznych lodów, gdzie nigdy nie pojawiają się ludzie, bo powietrze jest tak zimne i suche, że człowiek nie może oddychać. Wpływ polarnego klimatu sięga jedynie na krańce naszego kontynentu. Na południe od Zamarzniętej Niziny rozciąga się ogromna Wypalona Nizina, niemal całkowicie pozbawiona wody, nieustannie prażona słońcem. Dwa pasma górskie na północy i południu zatrzymują każdą kroplę deszczu, który mógłby spaść na Nizinę, nie docierają tam żadne rzeki ani strumienie. Ziemia ma kolor jasnoczerwony z występującymi gdzieś żółtymi smugami. Zabarwienie to przypisujemy rozpalonemu brzuchowi Hrungira, chociaż geologowie twierdzą inaczej. Na Wypalonej Nizinie rosną karłowate rośliny, które nie wiadomo skąd czerpią pożywienie; żyją tam też różne zwierzęta, dziwnie zdeformowane i odpychające. Na południowym skraju Wypalonej Niziny ciągnie się ze wschodu na zachód głęboka dolina; potrzeba paru dni drogi, by przebyć ją wszerz. Na jej końcu leży mały okręg znany jako Podmokła Nizina. Wilgotne północne wiatry znad Zatoki Sumar, wiejące przez Przesmyk Stroin, spotykają się tam z gorącym podmuchem z Wypalonej Niziny i nasycają ziemię obfitymi opadami, wskutek czego roślinność jest tam różnorodna i bujna. Deszczowym chmurom z południa nie udaje się nigdy przedostać na północ od Podmokłej Niziny i nawodnić czerwoną ziemię. Zamarznięta Nizina, jak już powiedziałem, jest bezludna, a Wypaloną Nizinę odwiedzają tylko myśliwi i ci, którzy podróżują pomiędzy wschodnim i zachodnim wybrzeżem. Podmokłą Nizinę natomiast zamieszkuje parę tysięcy farmerów, którzy hodują egzotyczne owoce i dostarczają je do miasta. Mówiono mi, że ustawicznie padające deszcze sprawiają, że gniją im dusze, nie posiadają żadnej formy rządów, a przyjęta wśród nas zasada samozaparcia nie jest przez nich w pełni przestrzegana. Gdybym tylko przecisnął się przez kordon, którym moi wrogowie otoczyli mnie od południa, znalazłbym się wśród nich i sam poczynił obserwacje, jacy oni naprawdę są.

Po obu stronach Niziny ciągną się ogromne łańcuchy górskie: Huishtor na wschodzie i Threishtor na zachodzie. Łańcuchy te biorą początek na północnym wybrzeżu Velady Borthanu, właściwie na brzegu Północnego Morza Polarnego, ciągną się w kierunku południowym, stopniowo wyginając się w głąb lądu. Oba pasma połączyłyby się w pobliżu Zatoki Sumar, gdyby nie rozdzielił ich Przesmyk Stroin. Są tak wysokie, że zatrzymują wszystkie wiatry, stąd ich zbocza od strony lądu są nagie, a zwrócone do oceanu - urodzajne. Mieszkańcy Velady Borthana wykroili sobie włości na dwóch pasach przybrzeżnych, pomiędzy oceanem a górami. W wielu miejscach pola uprawne zajmują jedynie małe skrawki ziemi, trudno przeto wyprodukować tyle żywności, ile potrzeba, życie więc staje się ustawiczną walką z głodem. Zastanawiamy się często, dlaczego nasi przodkowie, gdy przed wiekami przybyli na tę planetę, wybrali na swą siedzibę Veladę Borthana. Uprawa roli byłaby łatwiejsza na sąsiednim Sumarze Borthanie; nawet na podmokłym Dabisie można by produkować więcej żywności. W odpowiedzi mówi nam się, że nasi dziadowie byli surowymi, pracowitymi ludźmi, nie obawiającymi się ryzyka i nie chcieli, aby ich dzieci mieszkaly tam, gdzie życie nie będzie rodziło żadnych trudności. Wybrzeża Velady Borthana nie były ani niegościnnie, ani zbyt wygodne, dlatego odpowiadały stawianym wymaganiom. Sądzę, że to prawda, gdyż głównym dziedzictwem przekazanym nam przez przodków stało się przeświadczenie, że wygodna to niegodziwość, a beztroska - grzech. Chociaż mój brat więźny Noim zauważył kiedyś, że pierwsi osadnicy wybrali Veladę Borthana, ponieważ tam właśnie wylądował ich pojazd gwiazdny, a po przebyciu niezmiernych przestrzeni międzyplanetarnych zabrakło im już energii, żeby spenetrować jeszcze jeden kontynent dla wybrania lepszego siedliska. Wątpię, ale ten pomysł doskonale charakteryzuje zamiłowanie do ironizowania, cechujące mego więźnego brata.

Pierwsi przybysze założyli swą osadę na zachodnim wybrzeżu, w miejscu, które

nazywamy Threish to znaczy Przymierze. Osadnicy rozmnażali się szybko, a ponieważ byli to ludzie uparci i kłótlivi, podzielili się na grupy, które rozeszły się, aby żyć oddzielnie. W ten sposób powstało dziewięć zachodnich prowincji, między którymi do dziś trwają ostre zatargi graniczne.

Po pewnym czasie dość ograniczone zasoby Zachodu wyczerpały się i emigranci wyruszyli na wschodnie wybrzeże. Nie istniała wtedy komunikacja lotnicza, teraz też nie jest bardzo rozbudowana, nie jesteśmy bowiem narodem o uzdolnieniach technicznych, a poza tym brak nam surowców, które można wykorzystać jako paliwo. Jechali więc na wschód wozami terenowymi, bądź też innymi pojazdami, które im wtedy za takie wozy służyły. Zostały odkryte trzy przejścia przez Threishtor i ci, którym nie zabrakło odwagi, wkroczyli na Wypaloną Nizinę. Śpiewamy do dziś długie, baśniowe opowieści o trudach ich wędrówki. Przejście przez góry Threishtor na Nizinę nie było łatwym przedsięwzięciem, ale wydostanie się z Niziny było omal niemożliwe, istnieje bowiem jedyna droga dostępna dla istot ludzkich przez góry Huishtor i jest nią Brama Salli. Odnalezienie jej wcale nie było łatwe, a jednak im się udało. Wielu przez nią przeszło i zagospodarowali ten kraj, który jest teraz moją Sallą. Gdy znów zaczęli się między sobą kłócić, spora grupa odeszła na północ i założyła Glin, a potem inni powędrowali na południe i zamieszkali w świętym Manneranie. Przez tysiąc lat utrzymywały się te trzy prowincje na wschodzie, aż wybuchł nowy spór i w jego wyniku powstało małe, ale kwitnące królestwo nadmorskie Krell. Składało się ono z kawałka Glinu i z kawałka Salli.

Znaleźli się także ludzie, którzy w ogóle nie potrafili żyć na Veladzie Borthanie.

Wyruszyli oni z Manneranu na morze i pozęglowali, aby zamieszkać na Sumarze Borthanie. W tym wykładzie geografii nie ma co o tym mówić. Wiele będę miał do powiedzenia o Sumarze Borthanie i jego mieszkańcach, kiedy zacznę tłumaczyć te przemiany, którym uległo moje życie.

Chatka, gdzie się ukrywam, to nędzna buda. Ściany pozbijane były jak, między deskami zieją dziury i żaden narożnik nie jest prosty. Pustynny wiatr hula po niej bez przeszkód. Kartki papieru pokrywa cienka warstewka rudego pyłu, moje ubrania są nim przesycone, nawet włosy nabrały czerwonego odcienia. Stworzenia żyjące na Nizinie swobodnie wpełzają do wnętrza: widzę jak teraz po glinianej podłodze porusza się coś szarego o wielu odnóżach, wielkości mego kciuka, także jakiś ospały wąż o dwóch ogonach, nie dłuższy niż moja stopa. Godzinami krążą leniwie wokół siebie, jakby były śmiertelnymi wrogami, którzy nie mogą zdecydować się, które z nich ma pożreć drugie. Niezbyt to mili towarzysze mojej samotności.

Nie powinienem szydzić z tego miejsca. Ktoś z wielkim trudem zbudował tę szopę, aby utrudzeni myśliwi mogli znaleźć schronienie na niegościnniej ziemi. Ktoś wznosił ją, wkładając w swą pracę bez wątpienia więcej miłości niż umiejętności. Pozostawił ją dla mnie i dobrze mi ona służy. Nie jest to zapewne dom godny syna septarchy, ale dosyć już długo mieszkałem w pałacach i nie potrzebuję teraz kamiennych ścian i ozdobnych sufitów. Panuje tu spokój. Żyję z dala od handlarzy ryb, czyścicieli, przekupniów sprzedających wino i tych wszystkich, którzy zachwalają swe towary na ulicach miast. Człowiek może tu myśleć, spojrzeć w głąb swej duszy i odnaleźć to, co go ukształtowało, by zbadać i poznać samego siebie. W tym naszym świecie panują zwyczaje, które zabraniają nam obnażyć dusze wobec innych. Tak, ale czemu nikt przede mną nie zauważył, że ten sam zwyczaj powstrzymuje nas od poznawania siebie? Niemal przez całe swoje życie pozwalałem, aby pomiędzy mną i innymi wznosiły się mury przesądów - i dopiero gdy runęły, dostrzegłem, iż odgraniczałem się nimi również sam od siebie. Tutaj jednak, na Wypalonej Nizinie miałem dość czasu, aby przemyśleć te sprawy i zrozumieć je. Nie jest to miejsce, które dobrowolnie wybrałbym dla siebie, ale też nie jestem tu nieszczęśliwy. Sądzę, że nie znajdą mnie jeszcze przez jakiś czas.

Zrobiło się zbyt ciemno, żeby dalej pisać. Stanę w drzwiach chaty i będę patrzył, jak noc posuwa się przez Nizinę ku górcom Huishtor. Może przeleci jakiś rogorzeł powracający do gniazda z nieudanych łowów. Rozbłyszną gwiazdy. Kiedyś, ze szczytu góry na Sumarze Borthanie, Schweiz usiłował pokazać mi słońce Ziemi, upierał się, że je widzi i prosił, żebym podążał wzrokiem w kierunku jego wyciągniętej ręki, ale myślę, że ze mnie kpił. Uważam, że tego słońca nie można zobaczyć z naszego wycinka galaktyki. Schweiz często nabierał mnie, kiedy razem podróżowaliśmy. Być może gotów byłby żartować ze mnie, gdybyśmy znów się spotkali, jeśli on jeszcze żyje.

Zeszłej nocy przyszła do mnie we śnie moja siostra więź-na Halum Helalam.

Z nią nigdy już więcej nie będzie spotkań, może mnie dosięgnąć tylko przez ciemny tunel snu. Dlatego, gdy spałem, zabłysnęła mi jaśniej, niżli jakakolwiek gwiazda na tej pustym, ale gdy się obudziłem, opanował mnie smutek, wstyd i świadomość, że utraciłem tę, której nikt nie zastąpi.

Halum z mego snu nosiła tylko lekką, przejrzystą zasłonę, przez którą przeświecały jej małe piersi o różanych sutkach, smukłe uda i płaski brzuch, brzuch kobiety nie mającej dzieci. Za życia nie ubierała się w ten sposób, zwłaszcza gdy składała wizytę swemu więźnemu bratu, ale to była Halum z mego snu, moja samotna i udręczona dusza uczyniła z niej lubieżnicę. Jej uśmiech był ciepły i tkliwy, a w czarnych oczach gorzała miłość.

W snach umysł porusza się na różnych płaszczyznach. Na jednej płaszczyźnie umysł mój był bezstronnym obserwatorem, unosił się w poświacie księżyca, gdzieś pod dachem mej chaty, spoglądając w dół na me śpiące ciało. Na innej płaszczyźnie leżałem uspiiony. Moja uspiiona osobowość nie postrzegała obecności Halum, ale ta druga jaźń, która przypatrywała się, wiedziała, że dziewczyna istnieje, a ja, który spałem, miałem świadomość obu tych sytuacji, byłem też świadom, że to, co się dzieje, to senne widzenie. Te płaszczyzny łączyły się ze sobą, nie miałem więc pewności, co jest snem, a co jawą, nie umiałbym też powiedzieć, czy ta Halum, która stała przede mną tak promienna, była wytworem mojej fantazji, czy też żywą Halum, którą niegdyś znałem.

- Kinnall - szepnęła i we śnie wyobraziłem sobie, że moja śpiąca osobowość zbudziła się, że wsparłem się na łokciach, a Halum klęczała blisko, koło mego posłania. Pochyliła się nisko, aż jej brodawki otarły się o owłosioną pierś mężczyzny, którym byłem ja, a jej wargi w przelotnej pieszczocie dotknęły moich warg i powiedziała: - Wyglądasz, jakbyś był bardzo

znużony, Kinnallu.

- Nie powinnaś tu przychodzić.

- Potrzebowano mnie i przyszłam.

- To nie ma sensu. Wybrać się samotnie na wypaloną Nizinę w poszukiwaniu kogoś, kto cię skrzywdził...

- Więź, która łączy z tobą, to świętość.

- Dość już przez nią wycierpiałaś, Halum.

- Wcale się nie cierpiało - powiedziała i pocałowała mnie w zroszone potem czoło. -

Jakże ty musisz cierpieć, kryjąc się w tym okropnym piecu!

- Ma się to, na co się zasłużyło - odpowiedziałem.

Nawet we śnie zwracałem się do Halum w układnej formie gramatycznej. Nigdy nie było mi łatwo mówić do niej w pierwszej osobie. Na pewno nigdy nie użyłem tej formy przed moimi przemianami i później też, kiedy nie było powodu, bym w stosunkach z nią pozostał niewinny, nie mogłem się na tę formę zdobyć. Dusza i serce wyrywały mi się, żeby powiedzieć do Halum "ja", lecz język i wargi pozostawały spętane przyzwoitością.

Powiedziała: - Należy ci się znacznie więcej niż przebywanie w tym miejscu. Musisz powrócić z wygnania. Musisz doprowadzić nas, Kinnallu, do osiągnięcia nowego Przymierza, Przymierza miłości i wzajemnej ufności.

- Ma się obawy, iż sprawiło się zawód jako prorok. Ma się wątpliwości, czy warto kontynuować te wysiłki.

- To wszystko było dla ciebie takie dziwne, takie nowe! - oświadczyła. - Ale potrafiłeś się zmienić, Kinnallu, by umożliwić zmianę innym...

- Sprowadzić nieszczęście na innych i na siebie.

- Nie. Nie. To, co próbowałeś uczynić, było słuszne. Jakże możesz teraz od tego odstąpić?

Jakże możesz zrezygnować i wydać się na śmierć? Świat pragnie wyzwolenia, Kinnallu!

- Jest się w tym miejscu jak w pułapce. Schwytanie mówiącego jest nieuniknione.

- Pustynia jest ogromna. Możesz im się wymknąć.

- Pustynia jest ogromna, ale istnieje tylko parę przejść, wszystkie są strzeżone. Ucieczka niemożliwa.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. Oparła dłonie na

moich biodrach i powiedziała głosem nabrzmiałym nadzieją: - Ja poprowadzę cię ku bezpieczeństwu. Chodź ze mną, Kinnallu.

Dźwięk tego "ja" i "ze mną", który wypłynął z ust wyimaginowanej Halum, padł na mą śpiącą duszę jak deszcz na wysuszone kłosa, a wstrząs, że słyszę te nieprzyzwoitości z jej słodkich ust, nieomal mnie zbudził. Mówię o tym gwoli jasności, że nie zaakceptowałem, jeszcze w pełni swego nowego sposobu życia, że wpojone mi wychowaniem odruchy wciąż rządzą mną w najgłębszych zakamarkach duszy. W snach odsłaniamy swą prawdziwą osobowość, a moja reakcja, tak paraliżująca, na słowa, które sam przecież umieściłem (bo któż inny mógłby to zrobić?) w ustach Halum ze snu, powiedziała mi wiele o mym najgłębszym stosunku wobec zaszłych przemian. To, co się następnie wydarzyło, stało się również objawieniem, chociaż o wiele mniej subtelnym. By skłonić mnie do powstania z łóżka, ręce Halum przesunęły się po mym ciele poprzez zmierzwione owłosienie na mym brzuchu, aż jej chłodne palce chwyciły sztywny pręt mego członka. Natychmiast zaczęło walić mi serce i wytrysnęło nasienie. Ziemia zakołysała się pode mną, jakby Nizina rozłupała się na dwoje. Halum wydała okrzyk przerażenia. Wyciągnąłem do niej ręce, ale stawała się odległa, nieprawdziwa i w jednym strasznym, wstrząsającym momencie straciłem ją z oczu. Zniknęła. A tyle chciałem jej powiedzieć, o tyle chciałem zapytać! Zbudziłem się, powracając do świadomości przez warstwy snu. W chacie byłem oczywiście sam, lepki od spermy, czułem

obrzydzenie, że mój umysł puszczony w nocy na swobodę, wymyślił takie obrzydliwości.

- Halum! - zawołałem. - Halum, Halum, Halum!

Od tego wołania zatrzęsły się ściany chałupy, ale ona nie wróciła. Pomału mój zamroczony snem umysł zaczął pojmywać prawdę: ta Halum, która mnie odwiedza, nie istniała.

My, na Borthanie, nie lekceważymy jednak takich widzeń. Wstałem i wyszedłem w mrok. Chodziłem wokół, rozrzucając bosymi stopami ciepły piasek. Starłem się ze wszystkich sił usprawiedliwić przed sobą tamte przywidzenia. Stopniowo uspokoiłem się i wróciłem do równowagi. Pomimo to siedziałem bezsennie przez długie godziny na progu, aż zza horyzontu wyłoniły się zielonkawe palce świtu.

Zgodzisz się ze mną bez wątpienia, że mężczyzna, który przez pewien czas nie ma kobiety i żyje w napięciu, w jakim ja znajduję się od chwili ucieczki na Wypaloną Nizinę, może doświadczyć we śnie wytrysku i nie ma w tym nic dziwnego. Muszę również podkreślić, chociaż nie mam na to dostatecznych dowodów, że wielu mężczyzn na Borthanie pozwala sobie we śnie na ujawnienie pożądania wobec swych sióstr więźnych, po prostu dlatego, iż tego rodzaju pragnienia są bezwzględnie tłumione na jawie. I dalej, chociaż Halum i mnie łączyła głęboka zażyłość duchowa, głębsza niż ta, jaka panuje zwykle pomiędzy mężczyznami i ich więźnymi siostrami, to nigdy nie próbowałem zbliżyć się do niej fizycznie i nigdy taki związek między nami nie zaistniał. Wierz mi na słowo: na tych stronach powiedziałem ci tyle rzeczy, które mnie dyskredytują; nie usiłowałem ukrywać tego, czego się wstydzę; gdybym więc pogwałcił więź z Halum, powiedziałbym ci również i to. Uwierz więc, że nic takiego nie uczyniłem. Nie możesz obwiniać mnie za grzechy popełnione we śnie.

A jednak przez noc aż do rana czułem, się winien i dopiero gdy przelałem to, co się zdarzyło, na papier, doświadczyłem oczyszczenia i ciemność opuściła mą duszę. Sądzę, że to,

co naprawdę trapiło mnie przez ostatnich parę godzin, to nie tyle te brudne fantazje erotyczne, które zapewne wybaczyliby mi nawet wrogowie, ale moje przekonanie, że jestem odpowiedzialny za śmierć Halum, czego nie jestem w stanie sobie darować.

Być może powinienem, powiedzieć, że na Borthanie każdy mężczyzna i równocześnie każda kobieta zostaje zaprzysiężona przy urodzeniu, lub wkrótce potem, więźnej siostrze i więźnemu bratu. Żaden członek takiej trójki nie może być spokrewniony z drugim.

Porozumienie, dotyczące ustanowienia takiej więzi, zawierane bywa zaraz po poczęciu dziecka i często stanowi przedmiot zawitych negocjacji, ponieważ brat więźny i więźną siostra są zwykle bliżsi niż własna rodzina. Dlatego też ojciec zobowiązany jest wobec własnego dziecka do dołożenia wszelkich starań przy zawieraniu porozumienia.

Miałem zostać drugim synem septarchy, przeto kwestia moich więzi stała się sprawą wielkiej wagi. Mogłoby to świadczyć o demokracji, ale też i o braku rozsądku, gdyby związane mnie z potomkiem jakiegoś wieśniaka, osoby połączone więzią winny bowiem wychowywać się na takiej samej płaszczyźnie socjalnej, jeśli z tego związku ma wyniknąć korzyść. Z drugiej strony, nie należało wiązać mnie z krewnymi jakiegoś innego septarchy, bo pewnego dnia los mógł wynieść mnie na tron mego ojca, a źle, gdy septarcha połączony jest węzłami z królewskim domem w innym okręgu, gdyż to ogranicza swobodę jego decyzji. Zaistniała więc konieczność, żeby związać mnie z dziećmi szlachetnie urodzonymi, ale nie z rodziny królewskiej.

Sprawa została złożona w ręce więźnego brata mego ojca, Ulmana Kotrila. Ulman Kotril wybrał się najpierw do Manneranu, aby tam znaleźć dla mnie siostrę więźną i otrzymał obietnicę związania mnie z dzieckiem Segvorda Helalama, Najwyższego Sędziego Portu, które miało przyjść na świat. Postanowiono, że dzieckiem Helalama będzie dziewczynka. Kotril powrócił do Salli i tutaj dopełnił trójkę, zawierając ugodę z Luinnem Condoritem, generałem, dowódcą północnego patrolu, wybierając mi jego nie narodzonego jeszcze syna na więźnego brata.

Noim, Halum i ja urodziliśmy się tego samego tygodnia i mój ojciec osobiście dokonał ceremonii połączenia nas więzią. (Wówczas oczywiście nosiliśmy dziecięce imiona, ale pomijam to, by nie gmatwać relacji). Uroczystość odbyła się w pałacu septarchy, Noima i Halum zastępowali pełnomocnicy. Później, gdy podrośniemy i będziemy mogli podróżować, odnowimy ślubowanie osobiście. Ja udam się do Manneranu, by związać się z Halum. Segyord Helalam nie stawiał sprzeciwu, by jego córka wychowywała się w Salli, miał bowiem nadzieję, że na dworze mego ojca wyjdzie wspaniale za mąż za jakiegoś księcia. Spotkał go zawód, bo Halum niezamężna i, o ile mi wiadomo, w stanie dziewiczym, odeszła do grobu.

Ten zwyczaj łączenia się więzią pozwala nam na pewne odejście od samotności, w której na Borthanie mamy żyć. Wiesz już zapewne - nawet jeśli ty, który to czytasz, jesteś obcym na naszej planecie - że stare prawo zwyczajowe zabrania nam otwierać przed kimkolwiek duszę. Mówienie zbyt wielu rzeczy na własny temat, tak uważali nasi praojcowie, prowadzi nieuchronnie do pobłażania sobie, litowania się nad sobą i do zepsucia. Dlatego też uczą nas pilnować własnego nosa i nie wtrącać się w sprawy innych oraz (aby prawa zwyczaju wiązały nas jeszcze mocniej) powstrzymywać się od używania takich słów jak "ja" albo "mnie" we wszystkich towarzyskich rozmowach. Jeśli mamy jakieś problemy, rozwiązujemy je w milczeniu; jeśli żywimy jakieś ambicje, staramy się realizować je nie zawiadamiając wszystkich o swych nadziejach; jeśli odczuwamy jakieś pragnienia, zaspokajamy je w sposób bezinteresowny i bezosobowy. Od tych surowych zasad istnieją tylko dwa wyjątki. Wolno nam mówić wszystko i szczerze do naszych czyścicieli, którzy są funkcjonariuszami zakonnymi i jedynie najemnikami, możemy również w pewnych granicach otwierać swe serca wobec naszych więźnych sióstr i braci. Takie są przykazania Przymierza.

Dopuszczalne jest zwierzanie się nieomal ze wszystkiego swej więźnej siostrze lub więźnemu bratu, ale nauczono nas przestrzegać przy tym pewnej etyki. Na przykład, przy-

zwoici ludzie uważają, iż niewłaściwe jest zwracanie się w pierwszej osobie nawet do najbliższych. I nigdy się tego nie robi. Bez względu na to, jak intymne czynimy wyznanie, musimy wyrażać je w możliwej do przyjęcia formie językowej, a nie w sposób wulgarny, właściwy samoobnażaczom.

(Nasz idiom "samoobnażacz" określa tego, który obnaża się wobec innych, to znaczy obnaża swą duszę - nie ciało. Uważa się to za postępek ordynarny, nieprzyzwoity i karze się socjalnym ostracyzmem, albo jeszcze gorzej. Samoobnażacze używają naganego zaimka ze słownictwa rynsztokowego, tak jak ja to robię w tekście, który teraz czytasz. Wolno obnażać własną osobowość wobec bliskich połączonych więziami, przy czym nie jest się samoobnażaczem, jeśli unika się pospolitych, krzykliwych zaimków "ja" i "mnie".)

Nauczono nas także, byśmy przestrzegali wzajemności w naszych stosunkach z więźniami. To znaczy, nie wolno nam obarczać ich nadmiernie naszymi nieszczęściami i nie starać się równocześnie ulżyć im w znoszeniu ciężarów. Jest to zwykła uprzejmość: możemy wykorzystywać innych, o ile dbamy o to, aby i oni mieli z nas pożytek. Dzieci są często jednostronne w postępowaniu z więźniami krewnymi, mogą zdominować swego więźnego brata i opowiadać bez przerwy o sobie, nie dając mu dojść do słowa, nie chcąc słuchać o jego niedoli. Z czasem ta sytuacja wyrównuje się. Niewybaczalnym odstępstwem od przyzwoitości byłoby lekceważenie więźnego rodzeństwa, ale nie znam nikogo wśród nas, nawet wśród najśłabszych i najmniej udanych, kto popełniłby taki grzech.

Ze wszystkich zakazów obowiązujących ludzi połączonych więziami najsurowszy dotyczy utrzymywania stosunków fizycznych. W sprawach seksualnych mamy właściwie całkowitą swobodę, poza tym jednym ograniczeniem. I ono dotknęło mnie bardzo boleśnie. Nie, żebym tęsknił do Noima, nie mam takich skłonności i nie są one powszechne w naszym środowisku. Halum jednak była pragnieniem mojej duszy, a nigdy, ani jako żona, ani kochanka, nie mogła

stać mi się osłoda. Całymi godzinami siadywaliśmy razem ręka w rękę, mówiąc sobie to, czego nie mogliśmy powiedzieć nikomu innemu. Jakże łatwo byłoby mi przyciągnąć ją do siebie, rozchylić jej odzienie i wsunąć w nią mój pulsujący członek. Nigdy jednak bym się nie ośmielił, a nawet potem, jak Schweiz i jego napój odmienił mą duszę, wciąż szanowałem świętość ciała Halum. Nie przeczę jednak, że czułem wobec niej pożądanie. Nie mogę zapomnieć, jaki przeżyłem wstrząs, kiedy jeszcze jako chłopiec dowiedziałem się, że ze wszystkich kobiet na Borthanie jedynie Halum, moja ukochana Halum, nie była mi sądzona. Poza stroną fizyczną ja i Halum byliśmy sobie niezwykle bliscy, była ona dla mnie idealną siostrą więzną: otwarta, hojna, kochająca, pogodna, promienna i uległa. Była piękna - nie tylko miała mleczną skórę, ciemne oczy i czarne włosy, była smukła i pełna wdzięku, ale również wyróżniała się wartościami wewnętrznymi, duszę miała delikatną i wrażliwą, była w cudowny sposób czysta i mądra. Myśląc o niej, widzę leśną polankę w górach. Wiecznie zielone, iglaste drzewa wyrastają ku górze z podłoża świeżo spadłego śniegu, a iskrzący się w słońcu strumień tańczy pomiędzy głazami, wszystko czyste i nieskalane, stanowi doskonałą całość. Czasami czułem się przy niej ciężki i niezdarny, jak ruchoma bryła miecha - obrzydliwe, owłosione cielsko z wyrobionymi mięśniami. Halum posiadała jednak umiejętność przekonywania mnie słowem, uśmiechem, drgnieniem powieki, że nie mam racji, kiedy widok jej radosnej lekkości skłaniał mnie do tego, bym sam chciał stać się miękki jak kobieta i jak kobieta płochy.

Równie blisko byłem z Noimem. Pod wieloma względami był on moim przeciwieństwem: on szczupły, ja krzepki; on przebiegły, ja bezpośredni; on ostrożny i rozważny, a ja pochopny; on posępny, a ja pogodny. Wobec niego, jak również wobec Halum, często czułem się niezdarny, nie w sensie fizycznym (bo już ci to powiedziałem, że jak na mężczyznę mego wzrostu i postury ruchy mam zręczne), ale w swoich reakcjach wewnętrznych.

Noini, szybszy niż ja, żywszy, orientujący się w lot, zdawał się podskakiwać i brykać, kiedy ja tylko wlokłem się. Pesymizm jako dominująca cecha jego usposobienia sprawiał, iż wydawał się poważniejszy ode mnie, bardziej stateczny. Muszę jednak powiedzieć, że Noim patrzył na mnie z zazdrością, tak samo jak ja na niego. Zazdrościł mi wielkiej siły, a ponadto przyznał się, że czuje się przeciętny i mierny, kiedy patrzy w moje oczy. - Widzi się w nich prostotę i siłę - stwierdził. - Kto w nie patrzy, od razu uświadamia sobie, że oszukuje, że jest leniwy, że nie dochowuje wiary, że każdego dnia robi wiele obrzydliwych rzeczy - co dla ciebie byłoby równie nienaturalne, jak posilanie się własnym ciałem.

Musisz wiedzieć, że poza ich stosunkami ze mną, Halum i Noima nie łączyły żadne inne więzi. Noim miał własną siostrę więźną, niejaką Thirgę, a Halum połączono z dziewczyną z Manneranu imieniem Nalda. Dzięki takim więzom, Przymierze tworzy łańcuch, który spaja nasze społeczeństwo, Thirga bowiem miała również siostrę więźną, a Nalda więźnego brata i z kolei oni połączyli się z innymi - i tak powstawały nie kończące się związki. Każdy oczywiście kontaktuje się z więźnym rodzeństwem własnego rodzeństwa więźnego, ale nie dopuszcza się takiej poufałości, jaką darzy się własne rodzeństwo więźne. Często widywałem Thirgę Noima i Naldę Halum, tak jak Halum spotykała mego Noima, a on ją, ale nie pozwalaliśmy sobie na więcej niż przyjacielskie skinienie głowy. Noim jednak i Halum natychmiast przyłgnęli do siebie i przez pewien czas podejrzewałem nawet, że mogą zostać małżeństwem. Byłoby to raczej niezwykle, ale nie wbrew prawu. Noim wszakże zorientował się, że krępowałoby mnie to, że mój brat więźny dzieli łoże z moją więźną siostrą, uczynił więc wszystko, aby ich przyjaźń nie przerodziła się w miłość.

Halum śpi teraz na wieki pod kamieniem w Manneranie, a Noim stał się dla mnie obcym, a może wrogiem. Czerwone piaski Wypalanej Niziny wieją mi w twarz, kiedy zapisuję te linijki.

Po tym, jak mój brat Stirron stał się septarchą Salli, udałem się, jak wiesz, do prowincji Glin. Nie powiem, że uciekłem do Glinu, bo nikt otwarcie nie zmusił mnie, bym opuścił rodzinny kraj. Nazwijmy moje odejście czymś taktownym. Odszedłem, by oszczędzić Stirronowi kłopotu z uśmierceniem mnie, co z pewnością ległoby ciężarem na jego duszy. Jedna prowincja nie może być bezpiecznym domem dla dwóch synów zmarłego septarchy. Wybrałem Glin, jest bowiem zwyczajem wygnańców z Salli udawać się do Glinu, a także dlatego, że żyła tam rodzina mej matki ciesząca się bogactwem i potęgą. Sądziłem (okazało się - błędnie), że będę mógł wyciągnąć jakąś korzyść z tego powinowactwa.

Miałem o trzy obroty księżyca mniej wobec trzynastu lat wówczas, gdy opuszczałem Sallę. U nas uważa się ten wiek za próg męskości. Osiągnąłem już prawie swój obecny wzrost, chociaż byłem o wiele szczuplejszy i nie tak silny, jakim miałem stać się wkrótce, a broda dopiero niedawno stała się tak gęsta. Znałem trochę historię i metody rządzenia, wiedziałem coś o sztuce prowadzenia wojen, o umiejętności polowania, zdobyłem też pewne wykształcenie w zakresie stosowania prawa. Do tego czasu miałem w łóżku przynajmniej tuzin dziewcząt i trzy razy przeżyłem krótką nieszczęśliwą miłość. Przez całe życie zachowywałem Przymierze, duszę miałem czystą i żyłem w pokoju z bogami i przodkami. We własnych oczach wyglądałem w tym czasie na serdecznego, dzielnego, zdolnego, uczciwego i prężnego, a cały świat rozpościerał się przede mną jak otwarta droga i przyszłość leżała w moich rękach. Z perspektywy trzydziestu lat widzę, że ten młody człowiek, który wtedy opuścił Sallę, był zarazem naiwny, łatwowierny, romantyczny, przewrażliwiony i tępy umysłowo: po prostu zwykły młody człowiek, który mógłby obdzierać ze skóry psy w jakiejś rybackiej wiosce, gdyby nie spotkał go ten wspaniały los, że urodził się księciem.

Czas mego odejścia przypadł na wczesną jesień, po wiośnie, kiedy cała Salla opłakiwała

śmierć mego ojca, i po lecie, kiedy cała Salla witała mego brata. Zbiory okazały się ubogie - nie
niezwykłego w Salli, gdzie pola chętniej rodziły kamienie niż zboże - i miasto Salla zapchane
było zbiedniałymi rolnikami, którzy liczyli na hojne dary od nowego septarchy. Dzień po dniu
gęsta, gorąca mgła unosiła się nad stolicą, a nad nią płynęły znad wschodniego morza pierwsze,
ciężkie, jesienne chmury. Ulice tonęły w pyłe, z drzew zaczynały już spadać liście, nawet z
majestatycznych jodłorogów przed pałacem septarchy, odchody bydlęce oblepiały rynsztoki.
Nie wróżyło to pomyślnie dla Salli na początku rządów nowego władcy, a ja uznałem, że nad-
szedł czas, abym się oddalił. Już wtedy Stirron łatwo wpadał w złość i pechowi członkowie
rady państwa szli do lochu. Ja wciąż byłem hołubiony u dworu, pieśczone i obsypywany
komplementami, obdarowywany drogimi futrami oraz obietnicami otrzymania baronii w
górach, ale jak długo tak będzie, jak długo? Akurat wtedy gnębiło Stirrona poczucie winy, że to
on odziedziczył tron, a ja nic, okazywał mi więc życzliwość, ale niech tylko suche lato ustąpi
srogiej, głodowej zimie, a szale wagi mogą łatwo przechylić się w drugą stronę. Zazdroszcząc
mi, że nie muszę jak on ponosić tak ciężkiej odpowiedzialności, brat może zwrócić się
przeciwko mnie. Dobrze studiowałem annały rodzin królewskich. Takie rzeczy już się
zdarzały.

Dlatego przygotowywałem się do szybkiego odejścia. Tylko Noim i Halum znali moje
plany. Zebrałem trochę rzeczy, które posiadałem, a których nie chciałem się wyrzec: cere-
monialny pierścień pozostawiony mi w spadku przez ojca, ulubiony kaftan myśliwski z żółtej
skóry, amulet - kameę z portretami więźnej siostry i więźnego brata. Zostawiłem wszystkie
książki, bo książki można mieć dokądkolwiek się pójdzie, nie wziąłem nawet ościenia rogorła -
trofeum, które zdobyłem w dniu śmierci ojca, i które wisiało w mojej sypialni w pałacu. W
banku na moje nazwisko znajdowała się znaczna suma pieniędzy. Tę sprawę załatwiłem chyba
dość sprytnie. Pieniądze spoczywały w depozycie Królewskiego Banku Salli. Najpierw w ciągu

kilku dni przenieśliśmy całość moich funduszy do sześciu mniejszych banków prowincjonalnych. Te nowe rachunki zostały otwarte wspólnie z Halum i Noimem. Następnie Halum zażądała dokonania przelewów do Mannerkańskiego Banku Żeglarzy i Kupców, na rachunek jej ojca, Segvorda Helalama. Gdyby to wykryto, Halum miała oświadczyć, że ojciec miał niepowodzenia finansowe i prosił o krótkoterminową pożyczkę. Skoro moje aktywa znalazły się bezpiecznie w Mannerkanie, Halum poprosiła ojca o przekazanie pieniędzy, tym razem na rachunek otwarty na moje nazwisko w Gwarancyjnym Banku Glinu. Taką krętą drogą cała gotówka dostała się z Salli do Glinu, nie wzbudzając podejrzeń władz skarbowych, którym mogłoby wydać się dziwne, iż księżę przenosi swoją spuściznę do rywalizującej z nami północnej prowincji. Ryzyko polegało na tym, że gdyby Skarb państwa zaniepokoił się przepływem kapitału do Mannerkanu i przesłuchał Halum, a potem przeprowadził śledztwo dotyczące sytuacji finansowej jej ojca, wyszłoby na jaw, że interesy Segvorda stoją znakomicie i nie potrzebował żadnej pożyczki, a to spowodowałoby dalsze dochodzenia i prawdopodobnie ujawnienie mojej osoby. Wszystko jednak szczęśliwie obyło się bez komplikacji.

Wreszcie stanąłem przed bratem, by prosić go o zezwolenie opuszczenia stolicy, jak tego wymagała etykieta.

Była to chwila pełna napięcia, gdyż honor nie pozwalał mi okłamywać Stirrona, a nie śmiałem powiedzieć mu prawdy. Wcześniej spędziłem długie godziny z Noimem, który przepytawał mnie, jak będę składał podstępne oświadczenie. Nie byłem pojętym uczniem, jeśli chodzi o kręactwa. Noim rzucał przekleństwa, płakał, załamywał ręce, kiedy wciąż od nowa zadawał mi próbne pytania. - Nie nadajesz się na kłamcę - mówił z rozpaczą.

- Nie - przyznawałem mu rację - nigdy nie miało się być kłamcą.

Stirron przyjął mnie w północnej komnacie, ciemnym, ponurym pokoju o kamiennych ścianach i wąskich oknach, gdzie przeważnie odbywały się audiencje naczelników gmin

wiejskich. Sądzę, że nie chciał mnie przez to obrazić, a tylko przypadkowo tam się znajdował, gdy przysłałem koniuszego z wiadomością, że proszę o spotkanie. Było późne popołudnie, padał deszcz, w odległej wieży zamkowej dzwonnik szkolił uczniów i poprzez ściany dochodziły beładne dźwięki potężnych dzwonów. Stirron przywdział uroczyście obszerny, szary płaszcz z ptasich piór, obcisłe, czerwone raj-tuzy wełniane i wysokie buty z zielonej skóry. Do boku przypasał miecz Przymierza, na jego piersi wisiał ciężki, błyszczący znak piastowanego urzędu, królewskie pierścienie zdobiły palce i jeśli mnie pamięć nie myli, na jego prawym ramieniu widniała jeszcze jedna oznaka władzy. Brakowało mu tylko korony. Ostatnio często widywałem Stirrona przy-odzianego w ten sposób na uroczystościach i zgromadzeniach o charakterze państwowym, ale taki strój w zwykłe popołudnie wydał mi się nieomal komiczny. Czyżby czuł się tak niepewnie, że ustawicznie musiał obwieszać się tymi regaliaми, by upewnić się, iż rzeczywiście jest septarchą? Czy uważał, że powinien zrobić wrażenie na młodszym bracie? A może jak dziecku, sprawiały mu przyjemność te ozdoby? Obojętne dlaczego, ujawniało to jednak pewną rysę w charakterze Stirrona: utajoną głupotę. Zdumiało mnie, iż wydał mi się raczej zabawny niż godny czci. Może geneza mojego ostatecznego buntu zrodziła się właśnie w momencie, kiedy wszedłem i zobaczyłem Stirrona w tym przepychu i musiałem z największym wysiłkiem powstrzymać się od śmiechu.

Pół roku sprawowania urzędu septarchy pozostawiło na nim ślad. Twarz miał poszarzałą, opadała mu lewa powieka, przypuszczam, iż z wyczerpania. Wargi miał zaciśnięte, stał wyprostowany z jednym ramieniem uniesionym wyżej. Chociaż między nami była tylko różnica dwóch lat, czułem się przy nim jak chłopiec i dziwiłem się, jak troski sprawowania urzędu mogą wyryć się na obliczu młodego człowieka. Wydawało się, że minęły stulecia od czasu, kiedy Stirron

I ja śmialiśmy się razem w sypialni i wypowiedaliśmy szeptem wszystkie zabronione

słowa, obnażaliśmy wobec siebie nasze dojrzewające ciała, by porównać oznaki dorosłości.

Teraz składałem zmęczonemu królewskiemu bratu formalny głęboki ukłon: skrzyżowałem ramiona na piersi, ugiąłem kolana, pochyliłem głowę i wyszeptałem: - Czcigodny septarcho, obyś cieszył się długim życiem.

Stirron był na tyle mężczyzną, by powitać moje formalne zachowanie braterskim uśmiechem. Odpowiedział oczywiście na moje pozdrowienie odpowiednim uniesieniem rąk z dłońmi skierowanymi na zewnątrz, ale potem rozłożył ramiona, szybko przeszedł przez pokój i chwycił mnie w objęcia. Było jednak coś sztucznego w tym geście, jakby poprzednio studiował, w jaki sposób okazać serdeczność bratu. Szybko wypuścił mnie z uścisku.

Spacerował z dala ode mnie, spoglądał przez okno, a pierwsze słowa, jakie skierował do mnie, brzmiały: - Okropny dzień. Fatalny rok.

- Korona ciąży, czcigodny septarcho?

- Masz pozwolenie mówić do brata po imieniu.

- Widać, że jesteś przemęczony, Stirronie. Może za bardzo bierzesz sobie do serca problemy Salli.

- Ludzie głodują - powiedział. - Czy można udawać, że to drobiazg?

- Ludzie zawsze głodowali, rok po roku - powiedziałem. - Ale jeśli septarcha będzie się o nich zamartwiał...

- Dosyć, Kinnallu. Za wiele sobie pozwalasz.

Teraz nic braterskiego nie brzmiało w jego głosie, z trudem krył irytację. Najwyraźniej miał mi za złe, że zauważyłem jego zmęczenie, chociaż to on zaczął narzekać. Rozmowa stała się zbyt osobista. Stan nerwów Stirrona to nie moja sprawa, to nie ja powinienem go pocieszać, miał przecież więznego brata. Moja życzliwość była nie na miejscu.

- Czego chcesz? - spytał szorstko.

- Zezwolenia czcigodnego septarchy na opuszczenie stolicy.

Odwrócił się od okna i wlepił we mnie wzrok. Jego oczy, do tej chwili tępe i ospałe, rozbłysły i stały się przenikliwe, rozglądał się z zakłopotaniem. - Wyjechać? Dokąd?

- Mówiący pragnąłby towarzyszyć bratu więźnemu Noimowi na północną granicę. -

Wypowiedziałem to tak gładko, jak tylko mogłem. - Noim ma odwiedzić kwaterę ojca, generała Luinna Condorita, którego nie widział od koronacji waszej wysokości i proszący pragnąłby odbyć z nim podróż na północ ze względu na braterską więź i przyjaźń.

-- Kiedy chcesz jechać?

- Za trzy dni, jeśli septarcha pozwoli.

- I na jak długo? - Stirron rzucał szczekliwe pytania w moją stronę.

- Aż spadną pierwsze zimowe śniegi.

- Za długo. Za długo.

- Proszący może skrócić nieobecność - oznajmiłem.

- A musisz w ogóle jechać?

Zaczęła mi drgać prawa noga w kolanie. Starłem się ją opanować. - Stirronie, zważ, że nie opuszczało się Salli na dłużej niż na jeden dzień od chwili, gdy zasiadłeś na tronie. Zważ, że trudno komuś zgodzić się, żeby jego więźny brat podróżował bez pomocy przez północne wzgórza.

- Zważ, że jesteś dziedzicem najwyższego septarchy Salli - oświadczył Stirron - i że jeśli nieszczęście przytrafi się twemu bratu, gdy będziesz na północy, nasza dynastia przestanie istnieć.

Chłód głosu i okrucieństwo, z jakim mnie przed chwilą wypytywał, wprawiły mnie w popłoch. Czy przeciwstawi się memu wyjazdowi? Rozgorączkowany umysł nasuwał mi dziesiątki powodów jego wrogości. Dowiedział się o przekazaniu przeze mnie funduszy i

wywnioskował, że zamierzam zbiec do Glinu; albo wyobraża sobie, że Noim i ja, i ojciec Noima ze swymi oddziałami wzniesimy powstanie na północy w celu osadzenia mnie na tronie; albo zdecydował już, żeby mnie zaaresztować i zniszczyć, tylko czas jeszcze do tego nie dojrzał i nie chce pozwolić, abym odszedł daleko, bo nie będzie mógł dostać mnie w swoje szpony; albo... nie potrzebowałem zresztą mnożyć przypuszczeń. My, Borthanie, jesteśmy podejrzliwymi ludźmi i nikomu nie ufa się mniej, niż temu, który nosi koronę. Jeśli Stirron nie wypuści mnie ze stolicy, a wygląda na to, że nie, będę musiał wykraść się i nie powiedziane, że mi się to uda.

Odezwałem się: - Nie jest prawdopodobne żadne nieszczęście, Stirronie, a jeśli nawet rzeczywiście coś by ci się stało, nie byłoby wielkim wysiłkiem wrócić z północy. Czy na serio obawiasz się uzurpacji?

- Należy obawiać się wszystkiego, Kinnallu, i nie pozostawiać nic przypadkowi.

Zaczął potem wygłaszać kazanie o niezbędnym zachowywaniu ostrożności i o ambicjach tych, którzy otaczają tron, wymieniając paru możnowładców jako możliwych zdrajców, i to tych, których ja uważałbym za podpory królestwa. Gdy mówił, wychodząc poza nakazy Przymierza, gdyż dzielił się ze mną swą niepewnością, dostrzegłem ze zdumieniem, jakim umęczonym, przerażonym człowiekiem stał się mój brat w ciągu tego krótkiego okresu sprawowania władzy. I zdałem sobie również sprawę, że nie otrzymam pozwolenia na wyjazd. Mówił dalej, niespokojnie pocierał swe talizmany, parę razy chwycił za berło leżące na starożytnym, intarsjowanym stoliku, podchodził do okna i wracał, unosił głos i ściszał, jakby szukał tonu odpowiedniego dla septarchy. Obawiałem się o niego. Był mężczyzną mniej więcej mego wzrostu i w tym czasie był ode mnie tęższy i silniejszy. Przez całe życie uwielbiałem go i starałem się być do niego podobny. A teraz przeżarł go strach i popełniał grzech, mówiąc mi o tym. Czy po prostu tych parę obrotów księżycy, kiedy Stirron piastował najwyższą władzę,

doprowadziło go do tego upadku? Czy samotność septarchy była dla niego tak straszna? Na Borthanie wszyscy rodzą się samotni, samotni żyjemy i w samotności umieramy. Dlaczego ciężar korony miałby być trudniejszy do udźwignięcia niż te ciężary, które codziennie na siebie nakładamy? Stirron powiedział mi o zbrodniczych spiskach i o wrzeniu wśród rolników, którzy stłoczyli się w mieście, a nawet napomknął, że śmierć naszego ojca nie była przypadkiem. Próbowałem sam siebie przekonać, iż można by wyszkolić rogorła, by zabił wybranego człowieka w grupie trzynastu ludzi, nie potrafiłem jednak w to uwierzyć. Wyglądało na to, że odpowiedzialność związana z pełnieniem królewskich obowiązków odebrała Stirronowi rozum. Przypomnił mi się pewien książę, który parę lat temu naraził się memu ojcu. Został zesłany na pół roku do lochu i torturowany każdego, dnia obietnicą, że będzie mógł zobaczyć słońce. Gdy szedł do więzienia, był krzepki i żywotny, a gdy go wypuszczono, stał się taką ruiną, że bezwiednie brudził własne odzienie odchodami. Kiedy Stirron zostanie doprowadzony do tego stanu? Może to i lepiej, pomyślałem, że odmawia mi zezwolenia na wyjazd, bo zostanę w stolicy i będę gotów zająć jego miejsce, kiedy kompletnie się załamie. Zdumiał mnie pod koniec tej chaotycznej oracji: przeszedł przez pokój do alkowy obwieszanej srebrnymi łańcuchami, nagle chwycił ich cały pęk, zerwał je z haków, zakręcił się i stanął przede mną, krzycząc chrapliwie: - Złóż mi przyrzeczenie, Kinnallu, że wrócisz z północy na czas, by uczestniczyć w królewskim weselu!

Zostałem zbity z tropu. Przez ostatnich kilka minut zacząłem zmieniać plany, skoro mam zostać w stolicy Salli. I raptem dowiedziałem się, że wolno mi wyjechać, ale nie byłem pewny, czy powinienem ze względu na pogarszający się stan Stirrona. Ponadto domagał się obietnicy szybkiego powrotu, a jakże mogłem złożyć taką obietnicę nie kłamiąc? Przecież to grzech, nie byłem przygotowany, by go popełnić. Wszystko, co mu dotąd powiedziałem, to prawda, choćby tylko częściowa. Rzeczywiście planowałem podróż na północ z Noimem, by odwiedzić

jego ojca - zamierzałem pozostać w północnej Salli, aż spadną pierwsze zimowe śniegi. Jak jednak mogłem określić datę powrotu do stolicy?

Za czterdzieści dni brat miał poślubić najmłodszą córkę Bryggila, septarchy południowo-wschodniego okręgu Salli. Chytrze zaplanowano to małżeństwo. Zgodnie z tradycyjnym porządkiem pierwszeństwa, Bryggil był siódmym, najniższym w hierarchii septarchą Salli, ale najstarszym, najmądrzejszym i najbardziej poważanym wśród całej siódemki, zwłaszcza gdy odszedł mój ojciec. Połączenie bystrości i autorytetu Bryggila z prestiżem należnym Stirronowi z tytułu piastowania urzędu najwyższego septarchy umocniłoby prawa dynastyczne naszej rodziny. Bez wątpienia, brat wkrótce będzie miał synów z łona córki Bryggila i przestanę być następcą tronu. Jej płodność została z pewnością zbadana, a jeśli chodzi o Stirrona, to w całej Salli rosną już jego bękarty. Ja miałem na ślubie odgrywać przepisana ceremoniałem rolę brata septarchy.

Całkowicie zapomniałem o tym weselu. Gdybym wymknął się z Salli przed nim, zraniłbym brata, co sprawiłoby mi przykrość. Gdybym jednak tu został, a Stirron pozostałby wciąż niezrównoważony, nie miałbym żadnej gwarancji, że będę wolnym człowiekiem, kiedy nadejdzie dzień tego ślubu <a nawet czy wciąż będę nosił głowę na karku). Nie miało też sensu jechać na północ z Noimem, skoro zobowiązę się do powrotu za czterdzieści dni. Miałem trudny wybór: odłożyć swój wyjazd i narazić się na królewskie kaprysy brata, czy odejść od razu, wiedząc, że splamię się niewypełnieniem obowiązku wobec septarchy.

Przymierze uczy nas, iż powinniśmy z radością witać wszelkie dylematy, one bowiem wzmacniają charaktery, pozwalają wziąć się za bary z tym, co wydaje się nie do rozwiązania i zwyciężyć. Tym razem, wydarzenia zakpiły sobie z górnolotnych wskazań moralnych Przymierza. Gdy wahałem się w udręce, zadzwonił telefon. Stirron chwycił słuchawkę i przez pięć minut słuchał jakiegoś szwargotu, twarz mu pociemniała, a oczy rozpały się. Wreszcie

przerwał połączenie, spojrzał na mnie, jakbym był obcy.

- W Spoksa jedzą ciała umarłych - wymamrotał - Na zboczach Kongoroi tańczą, by uczcić demony, w nadziei, że znajdą coś do jedzenia. Obłąd! Obłąd!

Zacisnął pięści i wielkimi krokami zbliżył się do okna, przywarł twarzą do szyby i zamknął oczy. Pomyślałem, że zapomniał o mojej obecności. Znowu zadzwiczał telefon.

Stirron szarpnął się, jakby otrzymał pchnięcie sztyletem i podszedł do aparatu. Zauważył, że stoję bez ruchu koło drzwi, machnął niecierpliwie ręką i powiedział: - Chcesz jechać? A jedź, dokąd chcesz, razem ze swoim więźnym bratem. Co za kraj! Ten głód! Ojczy, ojczy, ojczy!

Złapał za słuchawkę. Zacząłem zginać kolana do pożegnania, ale Stirron ze złością wyprosił mnie z pokoju, wysyłając bez przeszkód i bez zobowiązań ku granicom swego królestwa.

Trzy dni później wyruszyliśmy z Noimem we dwójkę i tylko z paroma osobami ze służby. Pogoda zrobiła się obrzydliwa. Po upalnym, suchym lecie, niebo zasnuły jesienne, szare, ponure chmury, padał deszcz, dając przedsmak zimowej ulewy. - Zapleśniejecie z wilgoci, zanim zobaczycie Glin - powiedziała ze śmiechem Halum. - Chyba że wcześniej utoniecie w błocie na Głównej Autostradzie.

W wigilię odjazdu została z nami w domu Noima, śpiąc niewinnie w pokoiku na poddaszu, a rano zeszła zjeść z nami śniadanie. Nie pamiętam, zęby kiedyś wyglądała pięknie. Tego dnia jej uroda świeciła w mroku deszczowego poranka jak pochodnia w ciemnej jaskini. Być może podniosło ją w moich oczach to, że miała odejść z mego życia na nie wiadomo jak długo - i świadom tej straty, wyolbrzymiałem jej powaby. Przywdziała suknię z delikatnej złotej siateczki, pod którą nosiła tylko cienką jak pajęczyna koszulkę. Ciało jej, przeświecające tu i tam poprzez przejrzyste okrycie, wzbudzało we mnie takie myśli, które pogrążyły mnie we wstydzie. Halum promieniała wtedy świeżą, dojrzałą kobiecością i dziwiło mnie, że wciąż pozostawała niezamężna. Chociaż ona, Noim i ja byliśmy w tym samym wieku - jako pierwsza wyrosła z dzieciństwa, jak to bywa z dziewczętami. Zacząłem o niej myśleć jak o starszej od nas obu, od roku bowiem miała już piersi i miesiąckę. Noim i ja nie mieliśmy jeszcze owłosienia ani na twarzy, ani na ciele. Nawet jeśli doganialiśmy ją w dojrzałości fizycznej, to jednak w zachowaniu pozostawała bardziej dorosła niż my obaj. Głos miała łagodny, ruchy opanowane i nie mogłem pozbyć się wrażenia, że to po prostu nasza starsza siostra, która musi wkrótce przyjąć zalotnika, w przeciwnym bowiem razie zwiędnie i zgorzknieje w panieństwie. Nabrałem nagle pewności, że Halum wyjdzie za mąż, gdy ja będę ukrywał się w Glinie - i myśl o jakimś obcym, spoconym mężczyźnie płodzącym z nią dzieci, doprowadziła mnie do mdłości. Musiałem wstać od stołu, wychylić się przez okno i łykać wilgotne powietrze.

- Zle się czujesz? - spytała Halum.

- Jest się w stanie napięcia, siostrze więźni.

- Ależ na pewno nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Otrzymałeś pozwolenie septarchy, żeby udać się na północ.

- Nie ma dokumentu, który by to stwierdzał - zauważył Noim.

- Jesteś synem septarchy! - wykrzyknęła Halum. - Który strażnik na drodze śmiałby cię zatrzymać?

- Rzeczywiście - odparłem. - Nie ma powodu do obaw.

Mówiący czuje tylko jakąś niepewność. Zaczyna się przecież nowe życie, Halum. -

Zmusiłem się do uśmiechu. - Już pora ruszać.

- Zostańcie jeszcze chwilę - prosiła Halum.

Nie zostaliśmy. Służący czekali na ulicy. Wozy były gotowe. Halum objęła nas, najpierw przyciskając Noim, potem mnie, gdyż ja byłem tym, który nie powróci, i należało mi się dłuższe pożegnanie. Kiedy wziąłem ją w ramiona, oszołomiła mnie gwałtowność, z jaką się do mnie przytuliła: wargi do moich warg, brzuch do mego brzucha i jej piersi wgniatały się w moją pierś. Stała na czubkach palców, żeby całym ciałem przywrzeć do mnie. Przez chwilę czułem, jak drży i sam zacząłem drzeć. Nie był to z pewnością siostrzany pocałunek, był to namiętny pocałunek młodej małżonki wysyłającej męża na wojnę, z której już nie wróci. Palił mnie żar Halum, czułem, że jakaś zasłona została rozdarta i tuliła się do mnie Halum, jakiej dotychczas nie znałem, Halum rozpalona żądzą fizyczną, nie wstydząca się ujawnić zakazanego głodu ciała swego więźnego brata. A może sobie to wszystko tylko wyobraziłem? Wydawało mi się, że w tej przeciągającej się chwili Halum pozbyła się wszelkich zahamowań i pozwoliła swym ramionom i wargom przekazać mi prawdę o swych uczuciach. Ja natomiast, na skutek uporczywych wysiłków, miałem wobec siostry więźnej taki stosunek, jak należało - gdy ją

obejmowałem, byłem daleki i zimny. Może nawet odsunąłem ją trochę zaszokowany jej gotowością. Ale gdy teraz to mówię, myślę, że może ta jej gotowość istniała tylko w mym podnieconym umyśle, a ona okazywała jedynie smutek uzasadniony przy rozstaniu. W każdym razie gorące uczucia szybko opuściły Halum, uścisk jej zelżał, stała się przygnębiona i chłodna.

- Chodź już - zawołał niecierpliwie Noim, starając się jakoś ratować sytuację. Uniosłem rękę Halum i dłonią dotknąłem lekko jej zimnej dłoni, uśmiechnąłem się z przymusem, ona uśmiechnęła się z jeszcze większym przymusem i być może powiedzielibyśmy sobie parę niezręcznych słów, ale Noim chwycił mnie za łokieć i szybko wyprowadził z domu. Tak opuściłem ojczyznę.

Chciałem otworzyć się przed czyścicielem, zanim wyjadę ze stolicy Salli. Nie planowałem tego poprzednio i teraz Noim irytował się, że zabierze nam to sporo czasu. Gdy jednak zbliżaliśmy się do krańców miasta, powstało we mnie nieprzeparte pragnienie otrzymania pociechy religijnej.

Jechaliśmy blisko godzinę. Deszcz rozpadał się na dobre, porywisty wiatr uderzał w przednią szybę samochodu i trzeba było jechać ostrożnie. Ulice brukowane kocimi łbami stały się śliskie. Noim prowadził wóz, a ja, zasępiony, siedziałem obok niego. Drugi wóz ze służbą jechał tuż za nami. Był wczesny ranek i miasto jeszcze spało. Czułem z bólem, jak na każdej mijanej ulicy zostawiam kawałek swego życia: tutaj ogrodzone tereny pałacu, tu Izba Sprawiedliwości, tu wielkie, szare, masywne gmachy uniwersytetu, tutaj dom boży, gdzie mój królewski ojciec wprowadził mnie w Przymierze, tutaj Muzeum Rodzaju Ludzkiego, które tak często odwiedzałem z matką, by oglądać skarby pochodzące z gwiazd. Kiedy objeżdżaliśmy dzielnicę rezydencjonalną nad Kanałem Skangen, wypatrzyłem nawet bogato zdobiony dom miejski księcia Kongoroi, gdzie na jedwabnych prześcieradłach jego pięknej córki, niewiele lat temu, utraciłem dziewictwo. W tym mieście przeżyłem całe swe życie i pewnie nie zobaczę go już nigdy. Od lat chłopięcych wiedziałem, że pewnego dnia mój brat zostanie septarchą i że» to miasto przestanie być moim domem, a jednak me godziłem się z tym i mówiłem sobie: - Teraz mój ojciec leżał martwy w trumnie, brat zginał się pod ogromnym ciężarem korony, a ja uciekałem z Salli, zanim moje życie naprawdę się zaczęło. Ogarnęła mnie taka litość nad sobą samym, że nie śmiałem nawet odezwać się do Noima, chociaż po co istnieje brat więźny, jeśli nie po to, by się przed nim wypłakać? No i kiedy jechaliśmy przez nędzne uliczki Starego Miasta Salli, niedaleko od murów miejskich dojrzałem dom boży i powiedziałem do Noima: - Zatrzymaj się tu, przy rogu. Mówiący musi tam wejść, żeby się oczyścić.

Noim, rozdrażniony, nie chciał tracić czasu i miał zamiar jechać dalej. - Odmówisz komuś bożego prawa? - spytałem go rozgorączkowany i dopiero wtedy, zły i wzburzony, zatrzymał wóz.

Fasada domu bożego niszczała, odpadał z niej tynk. Napis nad wejściem nieczytelny, chodnik krzywy i popękany. Rodowód Starej Salli sięgał tysiąca lat, a niektóre domy zamieszkiwano od założenia miasta, choć większość z nich znajdowała się w ruinie Życie tej dzielnicy zamarło, gdy jeden z średniowiecznych septarchów przeniósł dwór do obecnego pałacu na szczycie -wzgórza Skangen, bardziej na południe. Nocą Stare Miasto Salli nabierało życia, dzięki poszukiwaczom uciech, którzy w mieszczących się po piwnicach kabaretach złopali niebieskie wino, ale teraz, o tej mglistej godzinie, było tu ponuro. Kamienne ściany budynków świeciły gołe, bo w Salli wycinamy tylko szpary na okna, a tutaj zwyczaj ten posunięto do ostateczności. Zastanawiałem się, czy w domu bożym istnieje aparat wyzierniczy w dobrym stanie i da znać, że się zbliżam. Tak się stało. Kiedy podszedłem, drzwi się uchyliły i wyrzął chudy mężczyzna w szacie czyściciela. Był, oczywiście, brzydki. Ale czy kto kiedy widział przystojnego czyściciela? Jest to zawód dla tych, którym się nie powiodło. Ten tutaj miał zielonkawą skórę i dużo krost, ogromny nochał, a na jednym oku bielmo. Typowy przedstawiciel tej profesji. Wybałuszył na mnie oczy i pewnie żałował, że otworzył drzwi. - Pokój wszystkich bogów niech będzie z tobą - powiedziałem. - Przybywa spragniony biegłości czyszczenia.

Zerknął na mój kosztowny strój, skórzany kaftan i ciężkie, bogate ozdoby, ocenił mój wzrost i pewność siebie, doszedł pewnie do wniosku, że jestem młodym byczkiem z arystokratycznej rodziny, który wybrał się na rozróbkę w slumsach. - Jest rano, za wcześnie - powiedział zaniepokojony - Przyszedłeś za wcześnie po pociechę.

- Nie odmówisz cierpiącemu!

- Jest za wcześnie.

- Dajże spokój, wpuść. Stoi tu znekana dusza. Ustąpił. Wiedziałem, że tak będzie.

Krzywiąc się nieprzyjemnie wpuścił mnie do środka. Woniało zgnilizną. Ściany i ozdoby drewniane nasiąknęły wilgocią, draperie zbutwiały, sprzęty ponadgryzane przez robactwo, oświetlenie słabe. Żona czyściciela, tak samo brzydka jak on, czaiła się w kącie. Zaprowadził mnie do kaplicy, małego pokoiku poza częścią mieszkalną i zostawił klęczącego przed pękniętym, pożółkłym zwierciadłem, a sam zapalał świece. Przyodział się w szaty i podszedł do mnie, gdy klęczałem. Wymienił opłatę. Zatkano mnie.

- O połowę za dużo - powiedziałem.

Zredukował o jedną piątą. Kiedy wciąż odmawiałem, powiedział, żebym poszukał sobie duchownego gdzie indziej. Nie chciałem się jednak podnieść. Niechętnie obniżył opłatę za usługę. I tak było to z pewnością pięć razy tyle, ile liczył ludziom ze Starego Miasta Salli, ale wiedział, że mam pieniądze, a ja pomyślałem o Noimie złoszczącym się w samochodzie i przestałem się targować.

- Zgoda - rzekłem.

Następnie przyniósł kontrakt. Mówiłem, że na Borthanie jesteśmy podejrzliwymi ludźmi, ale czy podkreśliłem, jak bardzo polegamy na kontraktach? Ludzkie słowo to tylko nieświeże powietrze. Zanim żołnierz wskoczy do łóżka dziwki, układają między sobą warunki i przenoszą je na papier. Czyściciel dał mi formularz, gdzie napisano, że wszystko, co powiem, zostanie zachowane w najściślejszej tajemnicy, że czyściciel działa jedynie jako pośrednik pomiędzy mną a wybranym przeze mnie bogiem. Ze swej strony zobowiązałem się, że nie pociągnę czyściciela do odpowiedzialności w związku z tym, czego się ode mnie dowie, że nie powołam go jako świadka w procesie sądowym, ani nie będę szukał alibi, powołując się na niego w toku jakiegoś śledztwa i tak dalej, i tak dalej. Podpisałem. On podpisał. Wymieniliśmy kopie i dałem

mu należne pieniądze.

- Jakiego boga pragniesz na pierwszym miejscu? - spytał.

- Boga, który ma pod opieką podróżnych - odpowiedziałem, bo nie wymieniamy na głos imion bożych.

Zapalił świeczkę odpowiedniego koloru - różową - i umieścił ją koło lustra. Miało to oznaczać, że wybrany bóg wysłucha moich słów.

- Obserwuj swą twarz - polecił czyściciel. - Patrz sobie w oczy.

Wpatrzyłem się w lustro. Unikamy próżności, więc nie zdarza się nam poza obrzędami religijnymi patrzeć na własną twarz.

- Otwórz teraz swą duszę - rozkazał czyściciel. - Wydobądź zgryzoty, marzenia, pożądanja i smutki.

- Oto syn septarchy, który ucieka z ojczyzny - zacząłem i czyściciel natychmiast drgnął porażony tą wiadomością. Chociaż nie odwróciłem oczu od zwierciadła, domyśliłem się, że maca koło siebie, żeby spojrzeć na kontrakt i zobaczyć, kto go podpisał. - Strach przed bratem - ciągnąłem - zmusza go udać się za granicę, ale serce mu się kroi, że musi odjechać.

Przez jakiś czas mówiłem na ten temat. Czyściciel Wtrącał się jak zwykle za każdym razem, kiedy się wahałem, wyciągając ze mnie słowa w sprytny zawodowy sposób, ale wkrótce znikła już potrzeba takich zabiegów akuszeryjnych, bo słowa popłynęły swobodnie.

Powiedziałem mu o swojej namiętności do więźnej siostry i jak jej uścisk zakłócił mi spokój; opowiedziałem, jak bliski byłem tego, żeby skłamać Stirronowi; wyznałem, że nie będzie mnie na królewskich zaślubinach i przez to wyrządzą swemu bratu krzywdę; przyznałem się do kilku małych grzechów miłości własnej, jakie każdy codziennie popełnia.

Czyściciel słuchał.

Płacimy im, żeby słuchali, nie mają robić nic innego, tylko słuchać, aż oczyścimy się i

ozdrowiejemy. Taka jest nasza święta komunia: podnosimy te ropuchy z błota, umieszczamy w domach bożych i kupujemy ich cierpliwość za własne pieniądze. Przymierze dozwala powiedzieć czyścicielowi wszystko, nawet jeśli to są bzdury, nawet gdy jest to litania wstydlivych, lubieżnych uczynków i skrywanego plugastwa. Możemy zanudzać czyściciela tak, jak nie mamy prawa nudzić swych krewnych, bo obowiązkiem czyściciela na mocy kontraktu stało się słuchanie ze świętą cierpliwością tego, co mówimy o sobie. Nas nie obchodzi, jakie problemy może mieć czyściciel, ani co on o nas myśli, ani czy akurat wolałby robić co innego. Ma swoje powołanie, otrzymuje swoją zapłatę i musi służyć tym, którzy go potrzebują. Kiedyś uważałem, iż to cudowny pomysł, że dzięki czyścicielowi można się pozbyć bólu serca. I upłynął długi okres mego życia, zanim zdałem sobie sprawę, że otwieranie się przed czyścicielem przynosi nie większą ulgę niż zaspokojenie głodu miłości własną ręką: istnieją lepsze sposoby kochania, istnieją lepsze sposoby otwierania duszy.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem i siedziałem skulony przed zwierciadłem, otrzymując taką pociechę, jaką można mieć za pieniądze. Cokolwiek złego kryło się w mej duszy, wychodziło na wierzch, słowo po słowie, tak jak płynie słodki sok, gdy ktoś natnie kolczastą korę sękatego, odrażającego, mięsożernego drzewa znad Zatoki Sumar. Kiedy mówiłem, ogarnęło mnie urzekające światło płonących świec, które przyciągało mnie do zwierciadła, aż stopiłem się z własnym odbiciem w lustrze. Czyściciel stał się zamazanym konturem w ciemności, nierealnym, nieważnym i teraz zwracałem się bezpośrednio do boga podrózników, który wygoi rany i wyśle mnie w drogę. Wierzyłem, że tak się stanie. Nie powiem, że wyobrażałem sobie dosłownie jakieś miejsce, gdzie nasi bogowie siedzą i czekają na wezwanie, żeby nam służyć, ale naszą religię pojmowałem wtedy w sposób abstrakcyjny i metaforyczny, i w pewnym sensie wydawała mi się równie rzeczywista jak moje prawe ramię. Strumień mych słów przestał płynąć, a czyściciel nie podjął żadnego wysiłku, by go

ożywić. Wymamrotał formułkę rozgrzeszenia. Koniec oczyszczania. Przydusił płomień świeczki pomiędzy palcami i wstał, by zdjąć szaty. Ja wciąż klęczałem, słaby, drżący po oczyszczeniu, zagubiony w myślach. Czułem się czysty i odnowiony, pozbyłem się z duszy wszelkiego śmiecia i moment ten wypełniła taka wzniosłość, że ledwie byłem świadom nędzy i brudu panującego wokół mnie. Kaplica stała się czarownym miejscem, a czyściciel jaśniał boską pięknnością.

- Wstawaj - powiedział, trącąc mnie czubkiem sandała. - Wychodź. Ruszaj w drogę.

Jego skrzeczący głos zniweczył urok chwili. Wstałem potrząsając głową, by pozbyć się z niej owej lekkości, a czyściciel popychał mnie w stronę korytarza. Teraz już się mnie nie bał, obrzydliwy chudzielec, nawet jeśli byłem synem septarchy i mogłem go zabić i napluć na niego, to przecież powiedziałem mu o moim tchórzostwie, o zakazanej namiętności do Halum, o swej wewnętrznej nędzy i ta wiedza pomniejszyła mnie w jego oczach. Żaden człowiek dopiero co oczyszczony nie może wzbudzać szacunku ani lęku u swego czyściciela.

Kiedy opuszczałem budynek ulewa jeszcze się wzmogła. Noim z kwaśną miną siedział w wozie z czołem opartym o drążek przekładni biegów. Uniósł głowę i postukał się w nadgarstek, dając mi znać, że za długo zabawiłem w domu bożym.

- Czujesz się teraz lepiej z pustym pęcherzem? - spytał.

- Co takiego?

- To znaczy, czy miałeś tam dobre duchowe sikanie?

- Obrzydliwe określenie, Noimie.

- Człowiek gotów nawet bluźnić, gdy się wyczerpie jego cierpliwość.

Kopnął starter i potoczyliśmy się naprzód. Wkrótce dotarliśmy do starożytnych murów miasta Salli, do bramy przyozdobionej wieżyczkami znanej jako Odrzwia Glinu, która strzeżona była przez czterech ponurych, sennych wojowników w ociekających wodą

uniformach. Nie zwrócili na nas żadnej uwagi. Noim przejechał przez bramę i minął znak witający nas na Wielkiej Autostradzie Salli. Miasto Salla pozostało za nami, spieszyliśmy na północ, do Glinu.

Wielka Autostrada Salli biegła poprzez najbogatszy okręg rolniczy, urodzajną Równinę Nandu, która każdej wiosny otrzymywała w darze górną warstwę ziemi zmytą przez rwące strumienie z pól Zachodniej Salli. W tym czasie sęp tar cha Nandu był znany dusigrosz. Wskutek jego skąpstwa drogi w kraju znalazły się w bardzo kiepskim stanie i zgodnie z żartobliwą przepowiednią Halum ledwie posuwaliśmy się w lepkim błocie. Oby jak najszybciej rozstać się z Nandem i wjechać do Północnej Salli, tam mieszały się piaski z kamienistym podłożem, a ludzie żywili się chwastami i tym, co wydobyli z morza. Wozy terenowe są niezwyczajnym widokiem w Północnej Salli i posępni, głodni ludzie dwukrotnie obrzucili nas kamieniami, gdyż sam nasz przejazd przez ten nieszczęsny kraj uważali za obrazę. Ale przynajmniej na drodze nie było błota.

Oddziały ojca Noima stacjonowały na samym krańcu Północnej Salli, na niższym brzegu rzeki Huish. To największa z rzek na Veladzie Borthanie. Bierze początek z setek potoczków spływających ze wschodnich zboczy gór Huishtor na północy Zachodniej Salli. Potoki te łączą się u podnóża gór w rwący strumień, szary i spieniony, wijący się w wąskim granitowym wąwozie przeciętym sześcioma skalnymi progami. Po przepłynięciu przez te kaskady na równinę aluwialną, Huish już spokojniej podąża w kierunku północno-wschodnim aż do morza, stając się na płaskim terenie coraz szerszą i szerszą, rozgałęzia się na wielkim obszarze delty, aż wreszcie wpada do oceanu ośmioma ujściami. Odcinek zachodni rzeki, gdzie Huish ma bystry prąd, stanowi granicę pomiędzy Sallą a Glinem; na wschodzie, gdzie płynie spokojnie, oddziela Glin od Krellu.

Na całej długości wielkiej rzeki nie ma ani jednego mostu, uważa się bowiem, iż nie należy fortyfikować jej brzegów jako obrony przed najeźdźcami. Wiele jednak razy w historii Salli ludzie z Glinu przeprawiali się przez Huish łodziami i wszczynali wojnę. Równie często

my z Salli przeprawialiśmy się, żeby pustoszyć Glin. Stosunki sąsiedzkie

Glinu z Krellem również nie układały się lepiej. Z tego powodu wzdłuż biegu Huish rozmieszczone są posterunki wojskowe, a generałowie, jak Luinn Codorit, spędzają całe życie wypatrując, czy w nadrzecznych mgłach nie pojawi się wróg.

W obozie ojca Noima przebywałem krótko. Generał nie był podobny do Noima. Był to człowiek o ciężkiej budowie ciała i o grubych rysach twarzy, którą mijające lata i życiowe zawody poryły bruzdami. Ani razu w ciągu piętnastu lat nie zanotowano poważniejszego starcia na strzeżonej przez niego granicy, przez co próżniactwo zmroziło mu duszę. Mówił mało. Klął często, na wszystko narzekał, z każdej rozmowy wycofywał się tak szybko, jak tylko mógł, pograżając się we własnych myślach. Musiały to być myśli i marzenia o wojnie. Na pewno nie mógł patrzeć na rzekę nie życząc sobie, by zarośla się łodziami z wojskiem Glinu. Po stronie Glinu rzekę patrolowali podobni mu ludzie, aż dziw więc, że straże graniczne choćby co parę lat nie napadały na siebie z samych nudów.

Nie działo się tam nic ciekawego. Noim odwiedzał ojca z synowskiego obowiązku, ale właściwie nie mieli sobie nic do powiedzenia, a dla mnie generał był zupełnie obcy. Powiedziałem Stirronowi, że zatrzymam się u ojca Noima do pierwszych zimowych śniegów i dotrzymałem słowa. Na szczęście nie trwało to długo, gdyż na północy wcześniej przychodzi zima. Piątego dnia mego pobytu zrobiło się białe, co zwolniło mnie od przyjętego zobowiązania.

Promy umożliwiające przeprawę przez rzekę w trzech miejscach łączą Sallę z Glinem, chyba że wybuchła wojna. Pewnego dnia o świtaniu Noim dowiózł mnie do najbliższej przeprawy, uściskaliśmy się serdecznie na pożegnanie. Powiedziałem, że prześlę mu swój adres, jak już go będę miał, w Glinie, aby mógł informować mnie, co się dzieje w Salli. Obiecał opiekować się Halum. Mówiliśmy niejasno o tym, że kiedyś znów się spotkamy we troje i być

może uda im się odwiedzić mnie w przyszłym roku w Glinie, albo nawet może we troje wybierzemy się do Manneranu. Snuliśmy te plany bez większego przekonania.

- Ten dzień rozstania nie powinien nigdy nadejść - powiedział Noim.

- Rozstania prowadzą do ponownego połączenia się - oświadczyłem swobodnie.

- Może zdołasz osiągnąć jakieś porozumienie z bratem, Kinnallu?

- Na to nie ma nadziei.

- Stirron mówi o tobie ciepło, czyżby nieszczerze?

- W tej chwili stać go na serdeczność. Wkrótce jednak brat stałby mu się niewygodny, moja obecność stałaby się krępująca, a wreszcie niemożliwa. Septarcha śpi spokojnie, jeśli nie ma w pobliżu rywala królewskiej krwi.

Prom wezwał mnie sygnałem rogu.

Uścisnąłem Noima i powiedziałem mu jeszcze: - Kiedy zobaczysz septarchę, powiedz mu, że brat go kocha. - Potem wszedłem na pokład.

Przeprawa trwała bardzo krótko. Po niecałej godzinie znalazłem się na obcej ziemi Glinu.

Urzędnik imigracyjny przesłuchiwał mnie szorstko, ale zmiękł na widok mego paszportu w kolorze jaskrawoczerwonym, wskazującym na me szlachetne urodzenie - i ze złotym paskiem, co znaczyło, że należę do rodziny septarchy. Natychmiast otrzymałem wizę na nieokreślony czas pobytu. Tego rodzaju urzędnicy nie należą do osób dyskretnych. Nie ulega wątpliwości, że gdy tylko ich opuściłem, natychmiast rzucił się do telefonu, aby poinformować swój rząd, że książę Salli znalazł się w ich kraju. Przypuszczam, że niewiele później wiadomość ta dotarła do dyplomatycznego reprezentanta Salli w Glinie, który przekazał ją memu bratu, ku jego niezadowoleniu.

Po wyjściu z urzędu celnego natrafiłem na oddział glińskiego Banku Przymierza i wymieniłem swoje pieniądze na tutejszą walutę. Mając już czym płacić wynająłem kierowcę,

żeby zawiózł mnie do ich stolicy, którą nazywają Glain, odległej o pół dnia drogi.

Droga, wąska i kręta, biegła przez kraj posępny, gdzie podmuch zimy już dawno strącił z drzew wszystkie liście. Na poboczach leżały kupy brudnego śniegu. Glin to prowincja mroźna. Osiedlili się tu ludzie o skłonnościach purytańskich, dla których życie w Salli wydało się zbyt łatwe i uważali, że jeśli tam pozostaną mogą ulec pokusie odstąpienia od Przymierza. Nie powiodło im się nakłonić naszych dziadów do większej pobożności, przeto odeszli, przeprawili się na tratwach przez Huish i rozpoczęli trudne bytowanie na północy. Twardzi ludzie na twardej ziemi. Uprawa gleby w Salli dawała nędzne plony, ale tu w Glinie jeszcze gorsze i mieszkańcy utrzymują się głównie z rybołówstwa, rzemiosła, kręactw handlowych i piractwa. Gdyby moja matka nie pochodziła z Glinu, nigdy nie wybrałbym go na miejsce swego zesłania. I tak zresztą więzy rodzinne nie przyniosły mi żadnej korzyści.

O zmroku znalazłem się w Glainie. Miasto tak samo otoczone murami, jak stolica Salli, ale pod innymi względami wcale do niej niepodobne. Salla jest potężna i piękna, domy wzniesione z wielkich bloków kamienia - czarnego bazaltu i różowego granitu dobywanego w górach, ulice szerokie i czyste, umożliwiające spacery i podziwianie pięknych widoków. Pomijając nasz zwyczaj wycinania w murach wąskich szpar zamiast okien, Salla jest otwartym, gościnnym miastem, a jego architektura oznajmia światu, że mieszkańcy to ludzie pewni siebie i zaradni. Ale to nieszczęsne Glain? Och!

Glain zbudowano z kostropatej żółtej cegły, tu i tam przyozdobionej nędznym różowym piaskowcem, który ściera się nawet pod dotknięciem palca. Nie ma tu ulic, tylko wąskie zaułki, gdzie domy tłoczą się jeden na drugi, jakby bały się, że wciśnie się między nie jakiś intruz.

Aleja w Glainie nie zrobiłaby wrażenia na rynsztoku w Salli. Architekci Glainu stworzyli miasto w sam raz dla czyścicieli: wszystko tu krzywe, koślawe, nierówne i chropawe. Mój brat, który był kiedyś w Glainie w misji dyplomatycznej, opisywał mi je po powrocie, ale jego cierpkie uwagi, moim zdaniem, wypływały z uprzedzenia. Jednakże sam zobaczyłem, że ocena Stirrona była nawet zbyt łagodna.

Mieszkańcy Glinu nie byli przyjemniejsi niż ich stolica. W świecie, gdzie podejrzliwość i skrytość są błogosławionymi cnotami, nikt nie oczekuje nadmiaru wdzięku, jednak uważam, że oni przesadzają w cnotliwości. Czarne ubrania, zasępione twarze, ciemne dusze, zamknięte, skurczone serca. Sama ich mowa ujawnia ciasnotę ducha. W Glinie mówią tym samym językiem, co w Salli, chociaż mieszkańcy północy mają twardy akcent, połykają sylaby i zmieniają samogłoski. To mi nie przeszkadza, ale przeszkadza mi ich składnia, pomniejszająca osobowość. Mój kierowca, który nie był mieszczaninem i przez to wydawał mi się nieomal przyjazny, wysadził mnie przed gospodą, gdzie, jak sądził, powinni mnie dobrze przyjąć.

Wszedłem i powiedziałem: - Mówiący chciałby pokój na noc, a może jeszcze na parę dni. - Oberżysta spojrzał na mnie złowrogo, jak gdybym powiedział: Ja chcę pokój - albo coś równie obrzydliwego. Później odkryłem, że nawet nasze uprzejme omówienia wydają się im zbyt chełpliwe. Nie powinienem był powiedzieć: Mówiący będzie jadł to i to. Należy natomiast powiedzieć: Te dania zostały wybrane. I tak dalej i tak dalej, wszystko trzeba zamieniać na niezgrabną formę bierną, żeby uniknąć grzechu uznania własnego istnienia.

Wskutek mojej ignorancji oberżysta dał mi najgorszy pokój i kazał zapłacić dwukrotną cenę. Sposobem mówienia określiłem się jako człowiek z Salli, dlaczego więc miałby okazywać mi uprzejmość? Podpisując kontrakt, musiałem pokazać mu swój paszport. Zatkąło go, kiedy zobaczył, że gości księcia, zmiękł więc i zapytał, czy przysłać mi do pokoju wino lub może dorodną dziewczuchę. Przyjąłem wino, ale odmówiłem dziewczuchy, jako jeszcze bardzo młody przesadnie bałem się, że jakaś choroba może czaić się w lędźwiach cudzoziemki. Noc spędziłem w pokoju, obserwując jak płatki śniegu topią się w mrocznym kanale pod moim oknem. Nigdy dotychczas ani potem nie czułem się tak odizolowany od ludzkości.

Minął tydzień, zanim odważyłem się złożyć wizytę krewnym mojej matki. Co dzień godzinami spacerowałem po mieście opatulony płaszczem, bo wiały silne wiatry, i zdumiewałem się brzydotą wszystkiego, na co patrzałem - ludzi i budynków. Odszukałem ambasadę Salli i włączyłem się w pobliżu. Nie miałem zamiaru wejść, ale widok tego przysadzistego, brudnego budynku dawał mi poczucie łączności z ojczyzną. Kupiłem mnóstwo tanich broszur i czytałem do późnej nocy, żeby dowiedzieć się czegoś o wybranej przeze mnie prowincji: była tam historia Glinu i przewodnik po mieście Glain, nie kończący się poemat epicki o losach pierwszych osadników na północ od Huish i jeszcze wiele innych historyjek. Próbowałem topić swą samotność w winie - nie w winie z Glinu, bo tutaj win nie produkowano, ale w dobrym, słodkim, złotym winie z Manneranu, importowanym w dużych beczułkach. Jednej nocy śniło mi się, że Stirron zmarł wskutek ataku jakiejś choroby i zaczęto mnie poszukiwać. Wiele razy widziałem we śnie, jak rogorzeł zabijał mego ojca. Ten sen wciąż mnie prześladowuje, śni mi się przynajmniej dwa lub trzy razy do roku. Pisałem długie listy do Halum i Noima, potem je darłem, bo za bardzo rozczulałem się w nich nad sobą. Kiedy to wszystko nie pomagało, poprosiłem oberżystę o dziewczuchę. Przysłał mi wychudłą dziewczynę, o rok albo dwa starszą ode mnie, z olbrzymimi piersiami, które zwisały jak nadęte gumowe worki. - Mówią, że jesteś księciem Salli - powiedziała z udawaną skromnością, kładąc się i rozsuwając uda. Bez słowa pokryłem ją i wsunąłem się w nią, a wielkość mego organu sprawiła, że zaczęła pisać zarówno ze strachu, jak z rozkoszy i tak gwałtownie kręcić biodrami, że natychmiast wytrysnęło' ze mnie nasienie. Zły byłem o to na siebie i swą złość obróciłem na nią, odsuwając się i krzycząc: - Kto ci kazał się ruszać? Ja nie byłem gotów, żebyś się ruszała. Ja nie chciałem, żebyś się ruszała! - Wybiegła z pokoju naga, bardziej chyba przestraszona nieprzyzwoitym zwrotem niż moim gniewem. Dotychczas nigdy nie powiedziałem "ja" w obecności kobiety.

Ale przecież to była tylko ladacznica. Potem przez godzinę szorowałem się mydłem. Obawiałem się w swej naiwności, że właściciel gospody wyeksmituje mnie za to, że odezwałem się do niej tak wulgarnie, ale nic nie powiedział. Nawet w Glinie nie trzeba być uprzejmym wobec dziwki.

Zdałem sobie sprawę, że wykrzykując te słowa odczuwałem dziwną przyjemność.

Oddałem się fantastycznym marzeniom, w których wyobrażałem sobie piersiastą dziwkę całą nagą na moim łóżku, a ja stałem nad nią i krzyczałem: Ja! Ja! Ja! Ja! Takie marzenia na jawie powodowały, że mój mały podnosił się i sterczał. Zastanawiałem się, czy nie pójść do czyściciela i pozbyć się brudnych myśli, ale zamiast tego w dwa wieczory później poprosiłem oberżystę o inną dziewczuchę i z każdym pchnięciem wołałem: Ja! Mnie! Ja! Mnie!

W ten sposób trwoniłem swój majątek w stolicy purytańskiego Glinu: bawiąc się z dziewczkami, pijąc i marnując czas. Kiedy już wszystkiego miałem dość, wziąłem się w garść, opanowałem nieśmiałość i poszedłem do swych krewnych.

Moja matka była córką pierwszego septarchy Glinu, który zmarł, jak również jego syn i następca. Obecnie syn jego syna, Truis, bratanek mej matki, zasiadał na tronie. Wydawało mi się arogancją iść wprost do swego królewskiego kuzyna i prosić o przywilej. Truis z Glinu musiał sprawy państwowe ważyć na równi z obowiązkami rodzinnymi i mógł odmówić pomocy zbiegłemu bratu pierwszego septarchy Salli, mogłoby to bowiem doprowadzić do tarć ze Stirronem. Miałem jednak ciotkę Nioll, młodszą siostrę mej matki, która za jej życia często bywała w stolicy Salli i pieściła mnie, kiedy byłem dzieckiem. Może ona mogłaby mi pomóc? Sama bogata, wyszła bogato za mąż. Jej mężem był markiz Huish, który posiadał duże wpływy na dworze septarchy i również - ponieważ w Glinie uważa się za niewłaściwe, by szlachta parała się handlem - kontrolował najbogatszy dom agencyjny w całej prowincji. Domy agencyjne są czymś podobnym do banków, ale banków specjalnego rodzaju. Pożyczają

pieniądze rozbójnikom, kupcom i przemysłowcom, ale tylko na rujnujący procent i zawsze wchodzi w częściowe posiadanie tych przedsiębiorstw, którym udzielają pomocy. W ten sposób zapuszczają swoje macki do setek organizacji i na polu gospodarczym uzyskują ogromne wpływy. W Salli działalność domów agencji została zakazana sto lat temu, ale w Glinie prosperują i występują w roli nieomal drugiego rządu. Nie zachwycał mnie ten system, wolałem jednak włączyć się do niego, niżli żebrać.

Popytałem w gospodzie i powiedziano mi, gdzie mieści się pałac markiza. Jak na stosunki miejscowe, była to imponująca budowla, składająca się z trzech skrzydeł, położona nad gładkim jak lustro sztucznym jeziorem, w arystokratycznej dzielnicy miasta. Nie próbowałem dostać się tam bez uprzedzenia, zaniósłem natomiast wiadomość do markizy, że jej siostrzeniec, Kinnall, syn septarchy z Salli, przebywa w Glinie i prosi o łaskawą audiencję. Można go znaleźć w takiej a takiej gospodzie. Wróciłem do siebie i czekałem. Na trzeci dzień oberżysta z wybałuszonymi ze zdumienia oczami przyszedł do mego pokoju i powiedział, iż mam gościa w liberii markiza Huish. Nioll przysłała po mnie wóz i zostałem zabrany do jej pałacu, o jeszcze bogatszym wystroju w środku niż na zewnątrz. Przyjęła mnie w wielkiej sali tak przemyślnie wyłożonej lustrami, że odbijały się w innych lustrach i tworzyło to złudzenie nieskończoności.

Postarzała się bardzo w ciągu tych sześciu czy siedmiu lat, kiedy jej nie widziałem, ale moje zaskoczenie na widok jej siwych włosów i gęstego meshku na twarzy było niczym wobec jej zdumienia moim przekształceniem się w tak krótkim czasie z dziecka w potężnego mężczyznę. Przywitaliśmy się w stylu, jaki obowiązuje w Glinie - czubki palców do czubków palców, wyraziła mi swe współczucie z powodu śmierci ojca i przeprosiła, że nie uczestniczyła w uroczystościach koronacyjnych Stirrona, a potem spytała, co sprowadziło mnie do Glinu. Wyjaśniłem to, nie okazała zdziwienia. Czy mam zamiar zatrzymać się tu na stałe?

Odpowiedziałem, że tak. A w jaki sposób będę się utrzymywał? Pracując w domu agencyjnym jej męża, oświadczyłem, o ile taka posada będzie mi zaoferowana. Zachowała się, jakby nie uważała mych ambicji za nierozsądne, zapytała tylko, czy mam jakieś umiejętności, które mogłaby zarekomendować markizowi. Na to oznajmiłem, że byłem szkolony w dziedzinie kodeksów prawnych Salli (nie wspomniałem, jak niekompletne było to szkolenie) i mógłbym być użyteczny w prowadzeniu interesów domu agencyjnego tej prowincji. Zaznaczyłem również, że mam związki więznię z Segvordem Helalamem, Najwyższym Sędzią Urzędu Administracyjno-Sądowiczego Portu Manneranu i mógłbym obsługiwać interesy firmy w Manneranie. Zauważyłem wreszcie, że jestem młody, silny i ambitny, a moje usługi dla domu agencyjnego stałyby się obustronnie korzystne. Wydawało się, że moje oświadczenia trafiły ciotce do przekonania i obiecała, że postara się skłonić markiza, by ze mną porozmawiał. Wyszedłem z pałacu zadowolony, pełen najlepszych oczekiwań.

W parę dni później przyszła do gospody wiadomość, że mam stawić się w biurze domu agencyjnego. Moje spotkanie nie odbyło się jednak z markizem Huish, ale z jednym z jego prokurentów, niejakim Sigsarem, co należałoby uznać za zły omen. Człowiek ten był tak gładki, że aż się lepił, miał twarz bez zarostu nawet bez brwi, a jego łysina sprawiła, iż głowa wyglądała jak zrobiona z wosku. Nosił ciemnozieloną szatę, co wyglądało surowo i równocześnie ostentacyjnie. Wypytywał mnie o moje wykształcenie i doświadczenie zawodowe, po paru odpowiedziach odkrył, iż pierwsze było niewielkie, a drugie żadne, ale pomimo tych braków rozmawiał ze mną łagodnie i przyjaźnie. Przypuszczałem, że moje dobre urodzenie oraz pokrewieństwo z markizem zapewni mi jednak tę posadę. Biada zadufanym w sobie! Zacząłem już snuć marzenia o tym, jakie to odpowiedzialne stanowisko zajmę w tym domu agencyjnym i tylko jednym uchem słuchałem słów Sigsara, który powiedział: - Czasy są ciężkie, jak na pewno wasza łaskawość orientuje się, szkoda więc, że przybyliście do nas w

czasie, kiedy konieczne są redukcje. Zatrudnienie was dałoby wiele korzyści, jednak jesteśmy w niezwykle trudnym położeniu. Markiz pragnie, byście wiedzieli, że wasza oferta została wysoko oceniona i że ma nadzieję ujrzeć was w firmie, gdy tylko zmienią się warunki ekonomiczne. - Z licznymi ukłonami i uroczym uśmiechem wyprowadził mnie z biura i znalazłem się na ulicy, zanim zdałem sobie sprawę, jak ostatecznie zostałem załatwiony. Nie dali mi nic, nawet stanowiska podrzędnego urzędnika w jakimś wiejskim oddziale biura! Jak to możliwe? Chciałem już odwrócić się, pobiec z powrotem i zawołać: - To jakaś pomyłka. Macie do czynienia z kuzynem waszego septarchy. Odprawiliście z niczym siostrzeńca markiza! - Ale przecież wiedzieli o tym, a jednak zamknęli mi drzwi przed nosem. Kiedy zatelefonowałem do ciotki, by podzielić się z nią moim wzburzeniem, powiedziano mi, że wyjechała za granicę spędzić zimę w zielonym Manneranie.

W końcu pojąłem, jak to się stało. Ciotka powiedziała o mnie markizowi, markiz powiadomił septarchę Truisa, który doszedłszy do wniosku, że zatrudnienie mnie mogłoby postawić go w kłopotliwej sytuacji wobec Stirrona, polecił więc markizowi odprawić mnie z kwitkiem. W swej wściekłości chciałem pójść do Truisa i protestować, ale po namyśle uznałem to za bezcelowe, bo skoro moja protektorka Nioll wyjechała z Glinu, żeby nie mieć ze mną do czynienia, to znaczy że należało porzucić wszelką nadzieję. Pozostałem więc w Glainie sam, bez posady, moje wysokie urodzenie straciło wszelkie znaczenie - i nadchodziła zima.

Wkrótce spadły na mnie cięższe ciosy.

Któregoś ranka, gdy zjawiłem się w Banku Przymierza Glinu, ażeby podjąć pieniądze na codzienne wydatki, dowiedziałem się, że moje konto zostało zablokowane na żądanie Wielkiego Skarbnika Salli, który prowadził dochodzenie w sprawie możliwości nielegalnego transferu kapitałów z tej prowincji. Krzykiem i wymachiwaniem królewskim paszportem udało mi się wymusić wypłatę sumy pieniędzy wystarczającej na opłatę za siedem dni mieszkania i jedzenie. Reszta mych oszczędności przepadłaś

Następnie złożył mi wizytę w gospodzie dyplomata z Salli, podsekretarz sługus, który z wieloma ukłonami i zapewnieniami szacunku przypomniał mi, że wkrótce odbędzie się ślub mego brata i oczekuje się mego powrotu, mam bowiem podawać obrączki. Wiedząc, że już nigdy nie opuściłbym Salli, gdybym dostał się w ręce Stirrona, wytłumaczyłem, iż pilne interesy wymagają mej obecności w Glainie akurat w czasie uroczystości weselnych i prosiłem, by przekazał septarsze wyrazy mego głębokiego żalu. Podsekretarz przyjął to z zawodową elegancją, ale nietrudno było mi dostrzec pod tą maską błysk dzikiego, przewrotnego zadowolonia: chcę sobie nawarzyć piwa, więc on mi chętnie w tym pomoże.

Czwartego dnia pojawił się oberżysta i powiedział, że nie mogę dłużej przebywać w

gospodzie, ponieważ mój paszport został unieważniony i nie mam już podstaw prawnych, żeby pozostać w Glinie.

Kompletna bzdura. Królewski paszport, taki jak mój, wydaje się na całe życie i pozostaje on ważny w każdej prowincji Velady Borthanu, chyba że wybuchła wojna, a w obecnej chwili nie było wojny między Sallą i Glinem. Oberżysta wzruszył ramionami, pokazał mi pismo z policji, nakazujące mu wyeksmitować przebywającego nielegalnie cudzoziemca i oświadczył, że jeśli mam jakieś zastrzeżenia, to powinienem zwrócić się z tym do odpowiedniego biura władz administracyjnych Glinu. Uznałem, iż nie byłoby rozsądne zostosować się do jego sugestii. Moja eksmisja to nie przypadek i gdybym pokazał się w jakimkolwiek urzędzie, zostałemby prawdopodobnie aresztowany i natychmiast wysłany przez Huish wprost w ręce Stirrona.

Aresztowanie uznałem za najbardziej prawdopodobne posunięcie władz, zastanawiałem się więc, jakby umknąć agentom. Bolesnie odczuwałem teraz brak mojego więźnego rodzeństwa, bo do kogóż mogłem zwrócić się o pomoc i radę? W Glinie nie znałem nikogo, komu mógłbym powiedzieć: - Jest się przerażonym, jest się w poważnym niebezpieczeństwie, prosi się o pomoc. - Wszyscy są odgradzeni ode mnie kamiennym murem prawa zwyczajowego i na całym świecie istniały tylko dwie osoby, którym mógłbym zaufać, ale one były daleko. Sam musiałem szukać ocalenia.

Postanowiłem się ukryć. Oberżysta dał mi parę godzin na przygotowanie się do wyjścia. Zgoliłem brodę, wymieniłem swój królewski płaszcz na jakieś łachmany innego lokatora oberży i udało mi się zastawić swój ceremonialny pierścień. To, co mi pozostało, spakowałem w węzełek, z którego zrobiłem sobie garb na plecach i zgięty we dwoje, z opaską na jednym oku i wykrzywionymi ustami opuściłem oberżę. Trudno mi powiedzieć, czy to przebranie oszukało kogokolwiek, ale nikt nie nastawał, żeby mnie aresztować i bez przeszkód wyszedłem z

Glainu. Mżył deszcz, który wkrótce zamienił się w śnieg.

Poza północno-zachodnią bramą miasta (bo w tamtym kierunku poniosły mnie nogi) wielka ciężarówka przejechała koło mnie z łoskotem, rozbryzgując kołami wpółzamarznięte błoto, które mnie całkowicie zachlapało. Zatrzymałem się, żeby zeskrobać zimną maź z obuwia, ciężarówka zatrzymała się również i kierowca wylazł z szoferki wykrzykując: - Ma się powód do przeprosin. Nie chciałem tak cię upaść!

Ta grzeczność tak mnie zdumiała, że wyprostowałem się na całą wysokość i przestałem wykrzywiać twarz. Kierowca uważał zapewne, że jestem słabym, przygarbionym latami człowiekiem, zdziwił się więc niezmiernie widząc moją przemianę i zaśmiał się serdecznie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wtedy on przerwał milczenie i oświadczył: - Jest miejsce w szoferce, jeśli potrzebujesz, lub masz ochotę jechać.

Od razu przysły mi do głowy fantastyczne myśli: zawiezie mnie na wybrzeże, wsiądę na statek handlowy płynący do Manneranu i w tym szczęśliwym tropikalnym kraju zdam się na łaskę ojca mej więznej siostry i skończą się wszystkie moje udręki.

- Dokąd jedziesz? - spytałem.

- Na zachód, w góry.

A więc nici z Manneranu. Mimo to przyjąłem jego propozycję. Nie podpisał ze mną kontraktu o odpowiedzialności, ale mniejsza z tym. Przez parę minut nie rozmawialiśmy. Z zadowoleniem słuchałem plaskania opon o mokry śnieg na drodze i myślałem o zwiększającej się odległości pomiędzy mną i policją Glainu.

- Cudzoziemiec, prawda? - przemówił wreszcie.

- Istotnie. - Obawiając się, iż wszczęto pogoń za uciekinierem z Salli, zacząłem mówić, trochę za późno, miękkiem śpiewnym akcentem mieszkańców południa, który przejąłem od Halum i miałem nadzieję, że nie zwróci uwagi, iż poprzednio miałem wymowę sallańską. -

Podróżujesz z rodowitym Mannerńczykiem, który uważa, że zima u was jest ciężka, trudna do zniesienia.

- Co sprowadziło cię na północ? - zapytał.

- Sprawy majątkowe matki. Pochodziła z Glainu.

- Jak się z tobą obeszlą prawnicy?

- Och, jej pieniądze roztopiły im się w rękach i nic nie zostało.

- Znana historia. Brakuje ci więc gotówki, co?

- W ogóle nie mam - przyznałem.

- Tak, tak, rozumie się twoją sytuację, bo samemu było się w podobnej. Może uda się coś dla ciebie zrobić.

Po sposobie jego mówienia, niestosowaniu strony biernej powszechnie przestrzeganej w Glinie zorientowałem się, że też musi być cudzoziemcem. Odwróciłem się, żeby spojrzeć mu w oczy i powiedziałem: - Czy mówiący ma rację, że ty również nie jesteś stąd?

- To prawda.

- Mówisz obcym akcentem. Z jakiejś zachodniej prowincji?

- Och, nie, nie.

- Chyba nie z Salli?

- Z Manneranu - oświadczył i wybuchnął głośnym śmiechem. Żeby wybawić mnie ze wstydu i zmieszania, powiedział: - Dobrze naśladujesz ten akcent, przyjacielu. Ale nie musisz się dłużej trudzić.

- W twoim głosie nie słyszy się tego akcentu - wymamrotałem.

- Żyło się długo w Glinie - wyznał - i jego język stał się zlepkiem różnych narzeczy.

Nie zwiodłem go ani przez moment, nie starał się jednak ustalić mej tożsamości i wydawało się, iż nie dba o to, kim jestem ani skąd pochodzę. Rozmawialiśmy swobodnie. Po-

wiedział mi, że posiada tartak w zachodnim Glinie, w górach Huishtor, gdzie rosną wysokie drzewa miodowe o żółtych igłach. Nim ujechaliśmy dalszy kawałek drogi, zaproponował mi pracę drwała w swoim obozie. Płaca marna, przyznał, ale oddycha się świeżym powietrzem i me pojawiają się tam nigdy urzędnicy państwowi, a takie rzeczy, jak dokumenty, nie mają żadnego znaczenia.

Naturalnie zgodziłem się. Obóz jego był pięknie położony nad lśniącem górskim jeziorem, które nigdy nie zamarzało, ponieważ wpadał do niego ciepły strumień mający źródło, jak mówiono, pod Wypaloną Niziną. Wyniosłe, pokryte lodem szczyty Huishtoru wznosiły się ponad nami, a niedaleko znajdowała się Brama Glinu, przejście prowadzące z Glinu na Wypaloną Nizinę. Właściciel zatrudniał setkę ludzi, szorstkich i nie przebierających w słowach, wykrzykujących wciąż bez wstydu "ja" i "mnie", ale pracowali ciężko i byli uczciwi. Nigdy dotychczas nie zetknąłem się z takimi ludźmi. Zaplanowałem sobie, że zostanę tu przez zimę, będę oszczędzał i wyjadę do Manneranu, jak już będę miał czym opłacić przejazd. Od czasu do czasu dochodziły do obozu wieści ze świata i dzięki temu dowiedziałem się, że władze Glinu poszukują pewnego młodego księcia z Salli, który podobno stracił rozum i wędruje gdzieś po Glinie. Septarcha Stirron gorąco pragnie, aby ten nieszczęsny młody człowiek powrócił do ojczyzny i został poddany koniecznej opiece lekarskiej. Podejrzewając, że drogi i porty są pod obserwacją, przedłużyłem pobyt w górach do wiosny, a ponieważ moje obawy pogłębiły się, zostałem również przez lato. W sumie spędziłem tam ponad rok.

Przez ten czas zaszły we mnie wielkie zmiany. Pracowaliśmy ciężko, powalając wielkie drzewa w każdą pogodę, ścinając ich gałęzie i ciągnąc pnie do tartaku. Dzień pracy był długi, często chłodny, ale wieczorem podawano dużo gorącego wina i co dziesięć dni sprowadzano gromadę kobiet z pobliskiego miasta, byśmy mieli rozrywkę. Ciężar ciała wzrósł mi znów o połowę, miałem twarde mięśnie i wyrosłem tak, że przewyższyłem najtęższego drwała w

obozie, żartowano sobie nawet na temat mego wzrostu. Wyrosła mi gęsta broda i zniknęła młodzieńcza pucołowatość twarzy. Towarzystwo drwali odpowiadało mi bardziej, niż obecność dworzan, wśród których dawniej przebywałem. Paru tylko umiało czytać, a o etykiecie żaden nic nie wiedział, ale byli weseli, łatwi w pożyciu i nie nękały ich niezaspokojone potrzeby ciała. Nie chciałbym, żebyś wyobrażał ich sobie jako ludzi otwartych i skorych do zwierzeń, dlatego że mówili "ja" i "mnie". Pod tym względem zachowywali Przymierze i byli może nawet w pewnych sprawach dyskretniejsi niż wykształceni ludzie. Wydawali się bardziej pogodni niż ci, którzy mówią w stronie biernej i używają zaimków nieosobowych i możliwe, iż w czasie pobytu wśród nich zakiełkował we mnie zarodek wywrotowca, ziarno zrozumienia podstawowych błędów Przymierza, które później Ziemianin Schweiz doprowadził do pełnego rozkwitu.

Nic im nie powiedziałem o swojej wysokiej pozycji społecznej, ani o swoim pochodzeniu, widząc jednak, jaką mam delikatną skórę, łatwo mogli wywnioskować, że nigdy w życiu ciężko nie pracowałem, a mój sposób wyrażania się wskazywał, że jestem człowiekiem wykształconym, jeśli nie wysoko urodzonym. Nie ujawniłem też swojej przeszłości i nikt się nią nie zainteresował. Oznajmiłem jedynie, że przybyłem z Salli, bo i tak zdradzał mnie mój akcent. Bynajmniej nie starali się wnikać w szczegóły mego życia. Przypuszczam, że mój pracodawca domyślił się, iż muszę być tym zbiegłym księciem, którego poszukuje Stirron, ale nigdy mnie o to nie pytał. Po raz pierwszy żyłem mając zmienioną tożsamość, przestałem być jaśnie paniczem KinnaUem, drugim synem septarchy, a byłem tylko Darivalem, wielkim chłopem, drwalem z Salli.

Wiele nauczyłem się dzięki tej przemianie. Nigdy nie zachowywałem się jak młody szlachcic - chępliwy i pozwalający sobie na wszystko. Fakt, że jest się drugim synem, zmusza do pewnej pokory nawet arystokratę. Nie mogłem jednak wcześniej opanować uczucia

dystansu wobec zwykłych ludzi. Zawsze mi usługiwano, kłaniano się i rozpieszczano mnie. Ludzie zwracali się do mnie unieście, okazywali mi szacunek, nawet jako dziecku. Byłem przecież synem septarchy, to znaczy króla, septarchowie bowiem są dziedzicznymi władcami i dzięki temu kroczą w poczcie królów, który bierze swój początek od zasiedlenia Borthanu i jeszcze wcześniej, poprzez gwiazdy, aż od samej Ziemi, od wymarłych i zapomnianych dynastii jej starożytnych narodów, a nawet wodzów z przedhistorycznych jaskiń, tatuowanych i noszących maski. Ja stanowiłem część tego pochodzenia, jako mężczyzna krwi królewskiej, wywyższony swoim urodzeniem. A jednak w tym obozie drwali w górach zrozumiałem, że królowie nie są niczym innym, jak tylko wyniesionymi wysoko ludźmi. To nie bogowie ich namaszczają, ale raczej wola ludzi i ludzie mogą pozbawić ich piastowanej godności. Gdyby Stirrona obalono w wyniku powstania, a na jego miejsce został septarchą ten obrzydliwy czyściciel ze Starego Miasta Salli, to czy ten czyściciel nie dołączyłby do mistycznej procesji królów, a Stirron nie byłby zepchnięty w proch? I czy synowie tego czyściciela nie szczyciliby się swą krwią, chociaż ich ojciec był niczym przez większą część życia, a ich dziad czymś jeszcze mniejszym? Wiem, wiem, mędrcy mówiliby, że pocałunek bogów spoczął na tym czyścicielu, wynosząc go, a także jego potomstwo - uświęcając ich na wieki. Kiedy jednak wycinałem drzewa na zboczach gór Huishtor, ujrzałem monarchię w nieco innym świetle, a sam zdegenerowany, zdałem sobie sprawę, że jestem tylko człowiekiem wśród ludzi i że zawsze tak było. To, kim zostanę, zależy tylko od moich wrodzonych zdolności oraz od moich ambicji, a nie od tego czy innego pochodzenia.

Ta nowa wiedza, tak cenna, zmieniła moją świadomość, przez co pobyt w górach przestał wydawać mi się wygnaniem. Opuściły mnie marzenia o tym, żeby uciec do Manneranu i wieść tam wygodne życie - i nawet jak uzbierałem dość pieniędzy, żeby opłacić przejazd, nie miałem ochoty wyruszyć. Nie tylko strach przed aresztowaniem zatrzymywał mnie wśród drwali, ale

również czyste, rześkie powietrze gór i zamiłowanie do nowej pracy, a także sympatia do tych szorstkich, lecz szczerych ludzi, wśród których mieszkałem. Dlatego pozostałem przez całe lato i jesień, oczekiwałem nadchodzącej zimy i ani myślałem o odejściu.

Zostałbym tam do tej pory, ale zostałem zmuszony do ucieczki. Pewnego nieszczęsnego zimowego popołudnia, kiedy niebo stało się stalowe i wisiała nad nami groza burzy, przywieziono, jak zwykle, dziewczyny z miasta, żebyśmy spędzili noc na igraszkach. Tym razem znalazła się wśród nich jakaś nowa, która głosem zdradziła się, że pochodzi z Salli. Usłyszałem ją natychmiast, jak tylko kobiety weszły do naszej sali sportowej, chciałem się zaraz wymknąć, ale ona dostrzegła mnie i krzyknęła z najwyższym zdumieniem: - Patrzcie no! Przecież to nasz zaginiony książę!

Roześmiałem się i zacząłem wszystkim tłumaczyć, że to pijana albo wariatka, ale zdradziły mnie szkarłatne policzki; drwale spoglądali już na mnie inaczej. Książę? Książę? Czy to możliwe? Szeptali, mrugali do siebie i tręcali się łokciami. Zaniepokoiłem się, wziąłem tę dziewczynę, odciągnąłem ją na bok, a kiedy zostaliśmy sami, starałem się przekonać ją, że się myli. - Nie jestem żadnym księciem, tylko zwykłym drwalem - powiedziałem. Nie chciała uwierzyć. - Jaśnie panicz Kinnall szedł w procesji pogrzebowej septarchy - stwierdziła. - Widziała go na własne oczy.

Ty jesteś nim! - Im bardziej protestowałem, tym bardziej się upierała. Nie było sposobu, żeby zmienić jej przekonanie. Nawet kiedy ją obejmowałem, tak była przejęta faktem, że ma się otworzyć dla syna septarchy, że jej wargi pozostały suche i sprawiłem jej ból, gdy w nią wchodziłem. Późno w nocy, gdy już skończyła się hulanka, przyszedł do mnie mój pracodawca, uroczysty i skępowany. - Jedna z dziewczyn opowiadała dziś o tobie dziwne rzeczy - powiedział. - Jeśli to prawda to grozi ci niebezpieczeństwo, bo kiedy wróci do wsi, rozgada to wszystkim i zaraz zjawi się tu policja.

- Musi się więc uciekać? - spytałem.

- Decyzja należy do ciebie. Poszukiwania księcia wciąż trwają, jeśli nim jesteś, nikt tu nie będzie mógł cię ochronić, kiedy władze upomną się o ciebie.

- A więc musi się uciekać. O świcie...

- Natychmiast - oświadczył. - Póki dziewczyny jeszcze śpią.

Wcisnął mi w rękę pieniądze będące w obiegu w Glinie, o wiele więcej niż należało mi się za pracę, wziąłem rzeczy, które do mnie należały i wyszliśmy razem. Noc była bezksiężycowa i wiał ostry, zimowy wiatr. W świetle gwiazd migotały płatki sypiącego śniegu. Mój pracodawca zwiózł mnie ze zbocza, minęliśmy przycupniętą u stóp wzgórza wioskę, skąd przybyły dziewczki, i trafiliśmy na boczną drogę, którą posuwaliśmy się przez parę godzin. O świcie znaleźliśmy się w południowo-centralnym Glinie niedaleko od rzeki Huish. Zatrzymał się wreszcie w wiosce o nazwie Klaek. Wznosiło się tam parę kamiennych domków na skraju ogromnego, zaszypanego śniegiem pola. Zostawił mnie w wozie, a sam wszedł do pierwszej z brzegu chałupy. Po chwili wyszedł w towarzystwie jakiegoś zaszuszonego człowieka, który wylewał z siebie potok informacji i gwałtownie przy tym gestykułował. Przy jego pomocy znaleźliśmy drogę do miejsca, którego szukał mój chlebodawca - domu pewnego farmera o nazwisku Stumwil. Ten Stumwil był jasnowłosym mężczyzną, prawie mojego wzrostu, z wodnistoniebieskimi oczami i przepaszającym uśmiechem. Być może był ziomkiem mego pracodawcy, a może, co bardziej prawdopodobne, jego dłużnikiem - nigdy o to nie spytałem. W każdym razie farmer chętnie przyjął mnie na kwaterę. Pracodawca uścisnął mnie i odjechał. Nigdy go już nie zobaczyłem. Mam nadzieję, że bogowie okazali się dla niego równie łaskawi, jak on dla mnie.

Dom składał się z jednej dużej izby poprzedzielanej na części cienkimi zasłonami. Stumwil zawiesił nową zasłonę, dał mi słomy na legowisko - i miałem mieszkanie. Pod tym jednym dachem żyło nas siedmioro: Stumwil i ja, żona Stumwila, znużona kobieta, która wyglądała na jego matkę, i troje ich dzieci - dwóch chłopaków w wieku młodzieńczym i dziewczyna, prawie dojrzała, a także więzną siostra tej dziewczyny. Byli to pogodni, naiwni, pełni ufności ludzie. Chociaż nic o mnie nie wiedzieli, przyjęli mnie natychmiast jak członka rodziny - nieznanego wujka, który niespodziewanie wrócił z dalekiej podróży. Nie spodziewałem się nawet, że przywitają mnie tak życzliwie. Początkowo przypisywałem to jakimś ich zobowiązaniom wobec mego pracodawcy, z których się w ten sposób wywiązywali, ale nie: byli życzliwi z natury, dyskretni, niepodejrzliwi. Jadałem z nimi przy stole, siadywałem pomiędzy nimi przy ogniu, uczestniczyłem w ich grach i zabawach. Co pięć dni wieczorem Stumwil napełniał wielką balię gorącą wodą dla całej rodziny. Wchodzili do niej po dwoje lub troje. Kąpałem się z nimi, chociaż czułem zakłopotanie, kiedy dotykałem pulchnego, nagiego ciała córki Stumwilla lub jej przyjaciółki. Przypuszczam, że mógłbym mieć tę córkę albo jej więzną siostrą, gdybym tylko chciał, trzymałem się jednak od nich z daleka, bo uważałem, że takie uwiedzenie stałoby się nadużyciem gościnności. Później, kiedy lepiej poznałem wieśniaków, zrozumiałem, że właśnie moja abstynencja okazała się czymś niewłaściwym, bo dziewczyny miały już swoje lata i na pewno chciały to ze mną robić, a ja je zawiodłem. Ale pojąłem to dopiero wtedy, kiedy już opuściłem dom Stumwila. Teraz obie mają już swe własne dzieci i przypuszczam, że dawno wybaczyły mi ten brak galanterii.

Płaciłem za pomieszczenie i pomagałem w porządkach, chociaż w zimie było niewiele roboty, jedynie odgarnianie śniegu i pilnowanie ognia. Nikt z nich nie interesował się, kim jestem ani skąd przybywam. Nie stawiali mi żadnych pytań i sądzę, że żadne pytania nie

przychodziły im do głowy. Również ludzie z miasteczka nie byli wścibscy, obrzucali mnie jedynie badawczymi spojrzeniami, jak każdego obcego.

Od czasu do czasu pojawiały się we wsi gazety, przechodziły z rąk do rąk, aż wszyscy je przeczytali. Wykładano je w winiarni, mieszczącej się przy wjeździe do osady. Przeglądałem je tam, były już zwykle poplamione i podarte, i starałem się poznać wydarzenia ubiegłego roku.

Dowiedziałem się, że ślub mego brata odbył się zgodnie z planem, z odpowiednią królewską pompą. Jego szczupła, zatroskana twarz spoglądała na mnie z kawałka brudnego, zatłuszczonego papieru, a obok niego stała rozpromieniona panna młoda, ale nie mogłem dopatrzeć się jej rysów. Pisano też o napięciu pomiędzy Glinem a Krellem na tle prawa do połowów w spornej strefie przybrzeżnej, gdzie teraz ludzie ginęli w potyczkach granicznych. Żał mi było generała Condorita. Patrolowany przez niego odcinek leżał bowiem po drugiej stronie granicy, nieomal naprzeciw linii Krell - Glin, wskutek czego ominęła go przyjemność udziału w strzelaniu. Potwór morski, pokryty złotą łuską, dziesięciokrotnie dłuższy od człowieka, został dostrzeżony w Zatoce Sumar przez grupę rybaków z Manneranu, którzy złożyli najbardziej uroczystą przysięgę w Kamiennej Kaplicy, że nie kłamią. Pierwszy septarcha z Treish, stary krwiożerczy bandyta (o ile historie, które o nim opowiadają, są prawdziwe), abdykował i zamieszkał w domu bożym w zachodnich górach, w pobliżu Przesmyku Stroin. Służy teraz jako czyszciciel pielgrzymom zdążającym do Manneranu. Takie były wiadomości. O sobie samym nie znalazłem żadnej wzmianki. Może Stirron przestał interesować się schwytaniem mnie i odprowadzeniem do Salli.

Może teraz mógłbym bezpiecznie opuścić Glin?

Chociaż bardzo pragnąłem wydostać się z tej mroźnej prowincji, gdzie moi krewni odwrócili się ode mnie, a tylko obcy okazali mi serce, to jednak powstrzymywały mnie dwie sprawy. Po pierwsze, zamierzałem pozostać u Stumwila, żeby pomóc mu w wiosennych

siewach w podzięce za okazaną mi życzliwość. Po drugie, nie chciałem wyruszyć w tak niebezpieczną podróż nie oczyszczony, aby jeśli przytrafi mi się jakiś nieszczęśliwy wypadek, duch mój nie poszedł do bogów pełen trucizny. Wioska Klaek nie miała własnego czyściciela, mieszkańcy mogli uzyskać pociechę od czyścicieli wędrujących po kraju. W zimie pokazywali się oni rzadko, dlatego nie poddałem się oczyszczeniu od zeszłego lata, kiedy przedstawiciel tego zawodu odwiedził obóz drwali. A czułem potrzebę.

Spadły ostatnie zimowe śniegi, świat wyglądał jak zaczarowany, każdą gałązkę otulało jakby białe futerko. Natychmiast po tym przysła odwilż. Klaek otoczył ocean błota. Taką błotnistą, śliską drogą przyjechał do nas rozklekotanym samochodem pewien czyściciel i otworzył swój zakład w jakiejś starej szopie. Interes szedł dobrze. Poszedłem do niego piątego dnia po jego przybyciu, kiedy kolejki były już krótsze. Przez dwie godziny zrzucałem ciężary z duszy, nie oszczędziłem mu niczego, ani prawdy o tym, kim jestem, ani mojej nowej wywrotowej filozofii o monarchii, ani zwykłych małych grzechów powodowanych żądzą i pychą. Było to najwyraźniej więcej, niż spodziewał się usłyszeć ludowy czyściciel, zaczął sapać i pocić się, kiedy wylewałem swoje brudy, a na końcu drżał tak samo jak ja i prawie nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zastanawiałem się, dokąd chodzą czyściciele, żeby pozbyć się wszystkich grzechów i smutków, którymi obarczają ich klienci. Nie wolno im rozmawiać ze zwykłymi ludźmi o czymkolwiek, czego dowiedzieli się w konfesjonale. Czy wobec tego mają czyściciele, sługi sług, którym mogą zwierzyć to, o czym nie wolno im nikomu wspomnieć?

Duszę miałem już oczyszczoną i teraz musiałem tylko czekać na czas siewów. Okres dojrzwania roślin w Glinie jest krótki. Nasiona wsiewa się do ziemi, zanim całkiem ustąpi zima, żeby wykorzystać każdy promień wiosennego słońca. Stumwil czekał, by nabrać pewności, że po tej odwilży nie przyjdzie ostatnia zamieć śnieżna i wtedy, gdy ziemia była jeszcze trzęsawiskiem, wyszedł wraz z rodziną na pola, żeby siać ziarno chlebowe, korzenne

żyto i niebieskie dynie.

Panował zwyczaj, że do siewu wychodziło się nago. Pierwszego ranka, patrząc z chaty Stumwila, ujrzałem sąsiadów idących nago ze wszystkich stron na zorane pola - dzieci i rodzice, i dziadkowie całkowicie rozebrani z workami ziarna przewieszonymi przez ramię - procesja krzywych kolan, obwisłych brzuchów, wyschniętych piersi, pomarszczonych pośladków, uświetniona tu i tam gładkimi, silnymi ciałami młodych. Myślałem, że śnię na jawie, ale ujrzałem Stumwila, jego żonę i córkę już rozebranych i wzywających mnie, żebym zrobił to samo. Wzięli swoje worki i opuścili chatę. Obaj synowie pobiegli za nimi pozostawiając mnie z siostrą więzną córki Stumwila, która zasnęła i dopiero się zjawiała. Ściągnęła również odzienie, miała gibką, zgrabną figurę, małe piersi z ciemnymi brodawkami i smukłe, dobrze umięśnione uda. Ja też rozebrałem się i spytałem ją: - Dlaczego wychodzi się na dwór nago, skoro jest tak zimno?

- Chodząc po błocie, łatwo się pośliznąć - wyjaśniła - a łatwiej umyć skórę niż uprać ubranie.

Była to prawda. Siewy wyglądały jak komiczna sztuka w teatrze. Wieśniacy, co parę kroków, ślizgali się i przewracali w zdradliwym mule, upadali na bok albo na tyłek i wstawali wysmarowani na brązowo. Uchwycenie worka wymagało dużej sztuki, aby padając nie rozsypać cennego ziarna. Przewracałem się jak i inni, ale szybko opanowałem sztukę bezbolesnego upadku i nawet odczuwałem pewną zmysłową przyjemność w zetknięciu ze śliskim błotem. I tak szliśmy naprzód chwiejnym krokiem, potykając się i ochlapując błotnistą mazią, śmialiśmy się i śpiewaliśmy wciskając ziarna w zimną miękką ziemię, a niejedno z nas już w ciągu paru minut pokryte było od góry do dołu brązowoczną skorupą. Wychodząc trząsałem się z zimna, ale rozgrzałem się wkrótce, niezgrabnie stawiając nogi i pękając ze śmiechu, a kiedy skończył się dzień pracy, stanęliśmy bezwstydnie nadzy przed chatą Stumwila

i oblewaliśmy się wiadrami wody, żeby zmyć brud. Wtedy wydawało mi się rozsądne, że wieśniacy wolą raczej pobrudzić ciało niż odzież, ale okazało się, że to wyjaśnienie nie było słuszne. Dowiedziałem się później od Stumwila, że nagość łączyła się z nakazami religijnymi, miała wyrażać pokorę wobec bogów urodzaju i nic ponad to.

Siewy trwały przez osiem dni. Dziewiątego dnia, życząc Stumwilowi i jego rodzinie obfitych żniw, opuściłem wioskę Klaek i rozpocząłem podróż na wybrzeże.

Pierwszego dnia zabrał mnie na wschód swoim gospodarskim wozem sąsiad Stumwila.

Drugiego dnia prawie cały czas maszerowałem, trzeciego i czwartego prosiłem, żeby mnie ktoś podwiózł, a piątego i szóstego znów szedłem na piechotę. Powietrze było zimne, ale już pachniało wiosną, rozwijały się pąki i powracały ptaki. Ominąłem miasto Glain, bo tam mogło być niebezpiecznie i bez żadnych godnych uwagi wydarzeń podążyłem do Biumaru, głównego portu morskiego Glinu i drugiego miasta najgęściej zaludnionego.

Biumar ładniejszy był niż Glain, choć trudno go nazwać pięknym: szare, stłoczone domy zbyt dużego miasta, wznoszące się nad szarym, groźnym oceanem. Od razu pierwszego dnia dowiedziałem się, że wszystkie przewozy pasażerskie pomiędzy Glinem i południowymi prowincjami zostały przed trzema obrotami księżyca zawieszane ze względu na groźbę napadów piratów, którzy mieli swoje bazy w Krellu, a Krell i Glin były akurat w stanie nie wypowiedzianej wojny. Jedyna droga do Manneranu wiodła przez Salle, ale wolałem ją raczej ominąć. Posiadałem środki finansowe, znalazłem więc sobie pokój w tawernie koło doków i przez parę dni nasłuchiwałem, o czym gadają marynarze. Podróże pasażerskie mogły zostać zawieszane, ale nie przewozy handlowe, jak to odkryłem, ponieważ od nich zależał dobrobyt Glinu. Konwoje statków handlowych, uzbrojonych w ciężkie armaty, wypływały w ustalonych terminach. Kulejący marynarz, który zatrzymał się w tej samej tawernie, powiedział mi, kiedy niebieskie wino dobrze mu już zaszumiało w głowie, że taki konwój handlowy wyruszy w ciągu tygodnia i że on ma na jednym ze statków swoją koję. Rozważałem, czy nie poczęstować go narkotykiem w wigilię odjazdu i podszyć się pod niego, tak jak to się dzieje w pirackich opowieściach dla dzieci. Nasunął mi się jednak o wiele mniej romantyczny sposób: odkupiłem od niego kartę zaokrętowania. Suma, jaką mu zaofiarowałem, przewyższała to, co mógłby zarobić żeglując do Manneranu i z powrotem, ucieszył się więc, wziął pieniądze i zgodził się,

żebym popłynął zamiast niego. Spędziliśmy długą pijacką noc, rozmawiając o obowiązkach, jakie trzeba pełnić na statku, bo nic się nie znałem na sztuce żeglowania. Kiedy nadszedł ranek, okazało się, że żadnej wiedzy nie zdobyłem, a tylko dowiedziałem się, jak udawać, że mam jakieś kwalifikacje.

Bez przeszkód wszedłem na pokład statku, powolnego żaglowca załadowanego wszelkimi towarami z Glinu. Moje papiery sprawdzono powierzchownie, odszukałem wyznaczoną mi kajutę, rozgościłem się i zameldowałem do służby. W ciągu pierwszych paru dni, blisko połowę zleconych mi robót udało mi się jakoś wykonać, trochę naśladowując innych, trochę eksperymentując, resztę partaczyłem, i wkrótce moi towarzysze marynarze przekonali się, że jestem nedorajdą, ale wiedzę tę zatrzymali dla siebie, nic nie mówiąc oficerom. W niższych klasach społecznych przeważa poczucie lojalności. Raz jeszcze przekonałem się, że moja niechlubna ocena rodzaju ludzkiego ukształtowała się w czasie chłopięcych lat spędzonych wśród arystokracji. Ci marynarze, jak drwale, albo rolnicy, żywili wobec siebie uczucia wspólnoty i przyjaźni, czego nigdy nie spotykałem u tych, co ściśle przestrzegali Przymierza. Wykonywali za mnie te roboty, z którymi nie mogłem sobie dać rady, a ja pomagałem im w tym, co leżało w zakresie mych umiejętności i wszystko szło dobrze. Szorowałem pokłady, czyściłem filtry i przez długie godziny czuwałem przy działach na wypadek ataku piratów, zwłaszcza u wybrzeży Krellu. Szczęśliwie jednak obyło się bez takich incydentów i pożeglowaliśmy dalej, wzdłuż brzegów Salli, które już zazieleniła wiosna.

Pierwszym portem, do którego zawinęliśmy, był Cofalon, główny morski port Salli, gdzie przez pięć dni mieliśmy sprzedawać i kupować. Zaniepokoiło mnie to, gdyż nie spodziewałem się postoju w żadnym porcie ojczystym. Pomyślałem najpierw, żeby udawać chorego i przez cały czas pobytu w Cofalonie ukrywać się pod pokładem. Potem jednak odrzuciłem ten plan jako tchórzliwy. Powiedziałem sobie, że mężczyzna powinien wystawiać

się na próby i ryzyko, jeśli chce uszanować swoją męskość. Poszedłem więc śmiało do miasta wraz z kamratami pić wino i zadawać się z dziewczkami, mając nadzieję, iż czas odmienił moją twarz i że nikt nie rozpozna zaginionego brata władcy Stirrona w ordynarnym marynarskim ubraniu i w takim miejscu. I udało się: przez pięć dni nie wydarzyło się nic niepokojącego. Z gazet i przypadkowych rozmów dowiedziałem się wiele o wydarzeniach, jakie zaszły w Salli w ciągu mej półtorarocznej nieobecności. Stirrona, jak wywnioskowałem, uważano powszechnie za dobrego władcę. Przeprowadził swą prowincję przez ciężką zimę i klęskę głodu dzięki nabyciu na korzystnych warunkach nadwyżek żywnościowych z Manneranu. Zostały obniżone podatki. Ludzie byli zadowoleni. Żona Stirrona powiła syna, Jaśnie Panicza Dariva, który teraz był dziedzicem septarchy, a następny syn już w drodze. Jeśli chodzi o Jaśnie Panicza Kinnalla, brata septarchy, to nic o nim nie mówiono. Został zapomniany, jakby nigdy nie istniał. Przybijaliśmy jeszcze do brzegu tu i tam, parę razy w południowej Salli, parę razy w północnym Manneranie. W przewidywanym czasie przyłynęliśmy do wielkiego morskiego portu, położonego w południowo-wschodnim rogu naszego kontynentu, do świętego miasta Manneranu, stolicy prowincji, która nosiła tę samą nazwę. To tu, w Manneranie, zaczęło się od nowa moje życie.

Prowincja Manneran cieszyła się życzliwością bogów. Powietrze było tu łagodne i przez cały rok przesycone zapachami kwiatów. Zima nie sięgała tak daleko na południe i Mannerkańcy, kiedy chcieli zobaczyć śnieg, wyjeżdżali jako turyści w góry Huishtor i ze zdumieniem patrzyli na okrywający wszystko dziwny, zimny, biały płaszcz. Ciepłe morze, z którym Manneran graniczy na wschodzie i południu, dostarcza dość żywności, by wyżywić pół kontynentu, a na południowym zachodzie rozciąga się równie bogata Zatoka Sumar. Klęska wojny rzadko dotyka Manneran, który niby tarczą osłonięty jest górami i wodą przed ludźmi z zachodnich krajów, a od sąsiada z północy oddzielony rwącą rzeką Woyn. Od czasu do czasu podejmowaliśmy wysiłki, żeby najechać na Manneran od strony morza, ale właściwie nigdy nie byliśmy przekonani, że nam się to uda. I rzeczywiście nie udawało się. Kiedy Salla na serio przystępuje do wojny, wrogiem jest zawsze Glin.

Miasto Manneran też zapewne znajduje się pod specjalnym bożym błogosławieństwem.

Usytuowane w głęboko wciętej zatoce, jakby pomiędzy dwoma rozstawionymi palcami, przez co zbędne są falochrony i statki mogą spokojnie zarzucać kotwicę, jest najlepszym naturalnym portem na całej Veladzie Borthanie. Port ten stanowi źródło bogactwa dla całej prowincji,

tworzy główne połączenie prowincji zachodnich ze wschodnimi; lądem bowiem przez

Wypaloną Nizinę nie biegną szlaki handlowe, a w naszym świecie brakuje naturalnych paliw (jak nam dotychczas wiadomo), wskutek czego komunikacja powietrzna jest ograniczona. I tak okręty z dziewięciu zachodnich prowincji zdążają na wschód przez Cieśninę Sumar do portu Manneranu, a statki z Manneranu żeglują regularnie wzdłuż zachodniego wybrzeża.

Mannerkańcy sprzedają zachodnie towary w Salli, Glinie i Krellu, które dostarczają tam własnymi statkami, czerpiąc zyski z pośrednictwa. Port Manneran to jedyne miejsce na naszym świecie, gdzie miesza się ludzie ze wszystkich trzynastu prowincji i gdzie można zobaczyć

równocześnie trzynaście flag. Dzięki tej ożywionej wymianie handlowej do gufrów Mannerńczyków płynie nie kończący się potok bogactw. Na dodatek tereny w głębi lądu są urodzajne i ziemie uprawne ciągną się aż do podnóża gór Huishtor. Rolnicy w Manneranie mają zbiory dwa lub trzy razy do roku, a przez Przełęcz Stroin Manneranci mają dostęp do Podmokłej Niziny i do wszystkich dziwnych owoców i przypraw, jakie się tam rodzą. Trudno dziwić się, że ci, którzy lubują się w luksusie, szukają szczęścia w Manneranie.

Na dodatek Manneranci zdołali przekonać świat, że żyją w najświętszym miejscu na Borthanie i zwiększają swe dochody utrzymując świątynie, będące magnesem dla pielgrzymów. Można by sądzić, że Treish, na zachodnim wybrzeżu, gdzie nasi przodkowie założyli pierwszą osadę i gdzie spisano Przymierze, powinno wysunąć się na pierwsze, nieporównywalne z żadnym innym, miejsce pielgrzymek. Istotnie, w Treish znajduje się jakaś kaplica, którą odwiedzają ci mieszkańcy zachodu, których nie stać na podróż do Manneranu.

Ale Manneran ustalił sobie opinię świętego świątyni. Najmłodsza ze wszystkich prowincji, poza królestwem Krellu, zdołał Manneran dzięki wewnętrznemu przekonaniu i skutecznej reklamie zdobyć opinię świętości. Tkwi w tym pewna ironia, Manneranci bowiem przestrzegają Przymierza mniej rygorystycznie niż ktokolwiek z nas w trzynastu prowincjach. Życie w tropikach uczyniło ich miękkiemi do tego stopnia, iż otwierają nawzajem przed sobą duszę, co w Glinie czy w Salli spowodowałoby wykluczenie ich ze społeczeństwa jako samoobnażaczy. A jednak to oni mają Kamienną Kaplicę, gdzie - jak powiadają - zdarzają się cuda, gdzie przed siedmiuset laty bogowie objawili się w ciele, i każdy ma nadzieję, że jego dziecko w Dzień Nazwania otrzyma swoje dorosłe imię w Kamiennej Kaplicy. Na to święto nadciągają ludzie z całego kontynentu, a mannerańscy hotelarze nabijają sobie kieszenie. Ja sam przecież otrzymałem swoje imię w Kamiennej Kaplicy.

Kiedy wpłynęliśmy do doku w Manneranie i robotnicy portowi zabrali się do władowywania towarów, podjąłem swoją wypłatę, opuściłem statek i udałem się do miasta. Na molo zatrzymałem się, żeby wziąć z mannerańskiego urzędu imigracyjnego zezwolenie zejścia na ląd. - Jak długo zatrzymasz się w mieście? - zapytano mnie, a ja odpowiedziałem grzecznie, że zamierzam zostać tu przez trzy dni, chociaż moim prawdziwym życzeniem było osiedlenie się w tym kraju na resztę życia.

W Manneranie byłem już dwukrotnie: gdy związano mnie z Halum, a potem, kiedy miałem siedem lat w Dniu Nazwania. Moje wspomnienia o tym mieście ograniczały się do wyblakłej palety kolorów: jasnoróżowe, zielone i błękitne barwy budynków, ciemnozielona masa bogatej roślinności, czarne urozyste wnętrza Kamiennej Kaplicy. Kiedy oddaliłem się od dzielnicy portowej, znów znalazłem się wśród tych kolorów i olśniewające obrazy dzieciństwa zamigotały przed moimi zachwyconymi oczami. Manneran nie jest zbudowany z kamienia, jak nasze pomocne miasta, lecz z pewnej odmiany sztucznego gipsu, malowanego następnie jasnymi, pastelowymi farbami, tak że każda ściana i fasada mieni się w blasku słońca tysiącem barw. Dzień był jasny, radosny, ulice zalane promieniami słońca, że musiałem osłaniać oczy. Oszłomił mnie wystrój ulic. Architekci mannerańscy bardzo cenią ornamentykę, budynki dekorują kunsztownie ozdobionymi żelaznymi balkonami, fantazyjnymi ornamentami, błyszczącymi dachówkami, w oknach wiszą jaskrawe draperie. Dla mieszkańca pomocy stanowi to w pierwszej chwili wprawiający w zakłopotanie potworny bałagan, dopiero po pewnym czasie przybiera to wszystko elegancki wygląd, pełen wdzięku i harmonii. I wszędzie mają dużo roślin: obie strony każdej ulicy obsadzone są drzewami, kaskady winnej latorośli spadają ze skrzynek podokiennych, trawniki przed domami pełne są kwiatów, a osłonięte dziedzińce na tyłach domów to bujnie zarośnięte ogrody. Stwarza to subtelne i wyrafinowane

efekty - wzajemne przenikanie się rozbuchanej dżungli i miejskiego porządku. Manneran jest miastem niezwykłym.

Moje dziecięce wspomnienia nie przygotowały mnie na panujący tu upał. Nad ulicami unosiła się mglista para. Powietrze było wilgotne i ciężkie. Wydawało mi się, że prawie mogę dotknąć gorąca, że mogę je uchwycić i wycisnąć z niego wodę. To tak, jakby ciepło spadało kroplami deszczu, jak bym był tym deszczem przemoczony. Ubrałem się w szorstki, ciężki, szary uniform - zwykły zimowy sort mundurowy na statku handlowym w Glinie, a tutaj trwał duszny, wiosenny poranek. Jeszcze parę kroków w tej łaźni parowej, a będę gotów ściągnąć z siebie ubranie i pójść nago!

W książce telefonicznej znalazłem adres Segvorda Hela-lama, ojca mej więznej siostry. Wziąłem taksówkę i pojechałem tam. Helalam mieszkał tuż za miastem, w zadrzewionej okolicy, gdzie wznosiły się wspaniałe domy i połyskiwały jeziora. Wysoki ceglany mur osłaniał jego dom przed wzrokiem przechodniów. Zadzwoiłem do bramy i czekałem, aż zostanę uważnie zbadany. Taksówka czekała również, jakby kierowca przeczuwał, że będę odprawiony c kwitkiem. Głos z domu, jakiegoś lokaja zapewne, zapytał mnie przez mikrofon i odpowiedziałem: - Kinnall Darival z Salli, brat więźny córki Najwyższego Sędziego Helalama, pragnie złożyć wizytę ojcu swej więznej j siostry.

- Jaśnie panicz Kinnall nie żyje - zostałem chłodno poinformowany. - Jesteś jakimś oszustem.

Zadzwoiłem ponownie. - Przeczytaj to i osądź, czy nie żyje - powiedziałem, podnosząc do oczka kamery mój królewski paszport, który do tej pory zdołałem zachować. - Przed tobą znajduje się Kinnall Derival i nie radzę ci bronić mu wstępu do Najwyższego Sędziego!

- Paszporty można skraść. Paszporty można sfalszować.

- Otwórz bramę!

Nie było odpowiedzi. Zadzwoiłem po raz trzeci i tym razem niewidzialny sługa oznajmił mi, że jeśli się natychmiast nie oddalę, zostanie wezwana policja. Mój taksówkarz, który zaparkował wóz po drugiej stronie ulicy, znacząco zakaszłał. Nie zwróciłem na to uwagi. Czy miałem wracać do miasta, zatrzymać się w hotelu i napisać do Segvorda Helalama, prosząc o spotkanie i zobowiązując się dostarczyć dowody, że wciąż jestem żywy?

Szczęśliwy zbieg okoliczności zaoszczędził mi tych kłopotów. Podjechała elegancka, czarna limuzyna, jakiej zwykle używa najwyższa arystokracja i wysiadł z niej Segvord Helalam, Najwyższy Sędzia Portowego Urzędu Administracyjno-Sądowego w Manneranie. W tym czasie znajdował się u szczytu kariery i nosił się z iście królewską godnością. Był to mężczyzna niski, ale dobrze zbudowany, z kształtną głową, rumianą twarzą, grzywą białych włosów, o wyglądzie silnym i zdecydowanym. Oczy jego, intensywnie niebieskie, zdolne były rzucać błyskawice, nos miał zakrzywiony. Te cechy, mogące świadczyć o okrucieństwie, pokrywał jednak miły, ciepły uśmiech. W Manneranie cieszył się opinią człowieka mądrego i powściągliwego. Natychmiast podszedłem do niego z radosnym okrzykiem: - Ojciec więźny! - odwrócił się i spojrzał na mnie zdumiony, a dwóch roślących, młodych ludzi, którzy mu towarzyszyli, stanęło pomiędzy nim i mną, jakby uważali, że jestem jakimś zamachowcem.

- Twoja przyboczna straż niepotrzebnie się niepokoi - powiedziałem. - Czy nie poznajesz Kinnalla z Salli?

- Jaśnie Panicz Kinnall zmarł ubiegłego roku - odparł Segvord bez namysłu.

- Bolesna to wiadomość dla samego Kinnalla - oświadczyłem. Wyprostowałem się na całą wysokość i po raz pierwszy od chwili żalostnego opuszczenia Glainu przybrałem książęcą postawę. Z taką furią postąpiłem ku goryłom Najwyższego Sędziego, że aż przygięli się do ziemi i odstąpili na bok. Segvord spojrzał na mnie uważnie. Ostatni raz widział mnie na

koronacji mego brata. Dwa lata upłynęły od tamtej chwili i opadła ze mnie cała dziecięca miękkość. Po roku pracy przy wyrębie lasu okrzeplem i zmężniałem, zima spędzona wśród wieśniaków zahartowała mnie, a ze statku zszedłem brudny, nieuczesany i ze zmierzwioną brodą. Wzrok Segvorda przenikał stopniowo to, co się na mnie nawarstwiło, aż wreszcie przeniknął moją tożsamość. Wtedy rzucił się do mnie i uścisnął z taką siłą, że o mało nie zwałił mnie z nóg. Wykrzykiwał moje imię, a ja jego. Potem otwarto bramę i weszliśmy do środka. Oczom moim ukazała się wyniosła, kremowego koloru rezydencja, cel moich wszystkich trudów i wędrówek.

Zaprowadzono mnie do pięknej komanty i powiedziano, że będę tu mieszkał. Weszły dwie młode służące, rozebrały mnie z przepoconego marynarskiego odzienia i poprowadziły, chichocząc cały czas, do wielkiej, wykładanej kafelkami wanny, wykąpały, wyperfumowały, podcięły mi włosy i brodę, pozwoliły, żebym je pościskał i poszczypał. Przyniosły mi odzienie z doskonałej tkaniny, jakiej nie nosiłem od czasów królewskich, czystej, białej, miękkiej i chłodnej. Dano mi też klejnoty, pierścień - o czym dowiedziałem się później - ze srebrną płytką z podłogi Kamiennej Kaplicy i mieniący się wiatr z kryształowego drzewa z krainy Treish na skórzanym rzemyku. Wreszcie, po wielu godzinach pucowania, zostałem dopuszczony przed oblicze Najwyższego Sędziego. Segvord przyjął mnie w komnacie, którą nazywał swoim gabinetem. W istocie była to ogromna sala godna pałacu septarchy, siadywał tam na tronie, jak jakiś władca. Przypominam sobie, że rozdrażniła mnie ta pretensjonalność, gdyż nie tylko nie płynęła w nim krew królewska, ale pochodził z niższej arystokracji Manneranu i nie zajmował żadnej pozycji, dopóki nie został powołany na to wysokie stanowisko, które postawiło go na drodze do sławy i bogactwa.

Spytałem natychmiast o mą więźną siostrę Halum.

- Ma się dobrze - odparł - chociaż duszę jej okrył smutek z powodu pogłosek o twej śmierci.

- Gdzie ona teraz przebywa?

- Wyjechała na odpoczynek na wyspę w Zatoce Sumar, gdzie mamy drugi dom.

Wstrząsnął mną zimny dreszcz. - Wyszła za męża?

- Ku ubolewaniu wszystkich, którzy ją kochają, nie wyszła.

- Ma chyba jednak kogoś?

- Nie - oznajmił Segvord. - Wydaje się, iż woli żyć w czystości. Oczywiście jest jeszcze

bardzo młoda. Kiedy wróci, Kinnallu, może byś z nią porozmawiał i zwrócił jej uwagę, że powinna pomyśleć o zamążpójściu, bo teraz mogłaby złapać doskonałą partię, a za parę lat będą do wzięcia już następne młode panny.

- Kiedy powróci z tej wyspy?

- Lada dzień - powiedział Najwyższy Sędzia. - Jakże będzie zdumiona, gdy cię tu spotka!

Spytałem go o te pogłoski na temat mej śmierci. Odparł, że dwa lata temu zaczęto mówić, że oszalałem i że samotny, bezradny powędrowałem do Glinu. Segvord uśmiechnął się, jakby chciał mi dać do zrozumienia, iż doskonale wie, czemu opuściłem Sallę i że moje motywy wcale nie wskazywały na chorobę umysłową. - Potem - ciągnął dalej - doniesiono nam, że Stirron wysłał swych agentów do Glinu, aby odnaleźli cię i sprowadzili z powrotem, by cię poddać leczeniu. Halum ogromnie obawiała się o twe bezpieczeństwo. I wreszcie, ubiegłego lata, któryś z ministrów twego brata ogłosił, że włóczyłeś się gdzieś w górach Huishtor w środku zimy i zginąłeś podczas śnieżycy.

- Oczywiście ciało panicza Kinnalla nie zostało odnalezione w czasie ciepłych miesięcy ubiegłego roku i pozostawiono je, by zczeszło gdzieś w górach, zamiast sprowadzić do Salli i godnie pochować.

- O odnalezieniu ciała nie podano żadnych wiadomości.

- A więc najwyraźniej - powiedziałem - ciało panicza Kinnalla zbudziło się wiosną i powędrowało na południe, aż stanęło na progu domu Najwyższego Sędziego Portu Manneranu.

Segvord roześmiał się: - Duch w ludzkim ciele!

- I do tego bardzo zmęczony.

- Jak ci się żyło w Glinie?

- Zimno i źle pod wieloma względami - odparłem. Opowiedziałem mu, jak niegrzecznie potraktowali mnie krewni mej matki, o pobycie w górach i o wszystkim innym. Gdy to

usłyszał, chciał wiedzieć, jakie mam plany tutaj, w Manneranie. Odpowiedziałem, że nie mam innych planów, jak tylko znaleźć jakieś uczciwe przedsiębiorstwo, dobrze pracować, ustatkować się i ożenić. Salla bowiem jest dla mnie zamknięta, a Glin niczym nie nęci. Segvord przytaknął z powagą. Powiedział, że ma w tej chwili wolne stanowisko urzędnicze w swym biurze. Praca mało płatna, nie przynosząca wielkiego zaszczytu i właściwie jest niedorzecznością proponować ją księciu Salli, ale w zasadzie to zajęcie nie jest takie złe. Daje możliwość awansu i mógłbym zarobić na utrzymanie, zanim przystosuję się do sposobu życia

Mannerańczyków. Sam myślałem o czymś takim, powiedziałem więc natychmiast, że chętnie objąłbym tę posiadłość. Wcale nie zwracam uwagi na swą królewską krew, a zresztą wszystko to już mam poza sobą, już z tym skończyłem, nie mówiąc o tym, że to przecież tylko urojenia. - To, czym ktoś stanie się tutaj - oświadczyłem trzeźwo - będzie wyłącznie jego zasługą.

Okoliczności, stanowiska czy wpływy, nie mają tu nic do rzeczy. Było to, oczywiście, tylko głędzenie: zamiast kupczyć swym wysokim urodzeniem, chciałem zbić kapitał na tym, iż

jestem

więźnym

bratem

córki

Najwyższego

Sędziego

Portowego

Urzędu

Administracyjno-Sądowego. Zawdzięczałem to właśnie swemu dobremu urodzeniu, jakże więc można tu mówić o jakiegokolwiek zasłudze?

Poszukiwacze podchodzą ku mnie coraz bliżej. Wczoraj, podczas długiej przechadzki po tej części Wypalonej Niziny, odkryłem, trochę na południe stąd, świeże ślady wozu terenowego, dobrze widoczne na suchym, czerwonym piasku. A dziś rano, kiedy spacerowałem tam, gdzie gromadzą się rogorły - może zaprowadził mnie tam impuls samobójczy? - usłyszałem w górze warkot, spojrzałem w niebo i dostrzegłem przelatujący wojskowy samolot z Salli. Nieczęsto widuje się tutaj pojazdy powietrzne. Zniżył się gwałtownie, jak spadający rogorzeł, zaczął krążyć, ale ja skuliłem się w jamie pod jakimś pagórkiem i myślę, że mnie nie zauważył.

Naturalnie mogłem się mylić: wóz terenowy mógł należeć do przypadkowo tamtędy przejeżdżających myśliwych, samolot mógł po prostu odbywać lot treningowy. Ale chyba nie. Jeśli znaleźli się tu myśliwi, to polują na mnie. Pętla wokół mnie będzie się coraz bardziej zaciskała. Będę starał się pisać szybciej i bardziej zwięźle. Tyle jeszcze mam do powiedzenia i obawiam się, że nie zdążę, nim mnie wykończą. Stirronie, podaruj mi jeszcze choć parę tygodni!

Najwyższy Sędzia Urzędu Administracyjno-Sądowego Portu jest w Manneranie bardzo ważną osobistością. Jego jurysdykcji podlegają wszystkie sprawy handlowe w stolicy. Jeżeli wymkną jakieś rozbieżności pomiędzy kupcami, rozstrzygane są w jego urzędzie, a na mocy traktatu posiada on władzę nad wszystkimi narodowościami w każdej prowincji, skoro więc kapitan statku z Glinu, Krellu czy Salli, albo jakiś mieszkaniec zachodu zostanie pozwany przed oblicze Najwyższego Sędziego, podlega jego wyrokowi bez prawa apelacji do sądów rodzinnego kraju. Te funkcje sprawuje Najwyższy Sędzia od niepamiętnych czasów, gdyby jednak był tylko arbitrem w sporach handlowych, nie cieszyłby się tym autorytetem, jaki posiada. Ale w ciągu stuleci spadły na niego również inne obowiązki. Tylko on regulował ruch obcych statków zawijających do portu w Manneranie, wydając zezwolenia handlowe dla ściśle określonej liczby statków z Glinu, z Treish i z Salli. Bogactwo dwunastu prowincji zależy od jego decyzji. Dlatego septarchowie zabiegają o jego względy, zarzucają go podarkami, obsypują pochwałami i świadczą mu grzeczności w nadziei, że zezwoli, aby z tego lub innego kraju przybił w ciągu roku dodatkowy statek. W ten sposób Najwyższy Sędzia jest regulatorem ekonomicznym Velady Borthanu, ograniczając lub zwiększając napływ towarów wedle swej woli. Nie robi tego powodując się kaprysem, ale głęboką rozważą i oceną bogactwa każdego kraju, nie sposób więc przecenić jego roli w społeczeństwie.

Urzędu swego nie dziedziczy, ale sprawuje go dożywotnio. Najwyższy Sędzia może być odwołany jedynie w wyniku zawiłej i prawie niewykonalnej w praktyce procedury pociągnięcia go do odpowiedzialności karnej. Najwyższy Sędzia, tak pełen energii jak Segvord Helalam, może stać się osobą potężniejszą w Manneranie niżli sam pierwszy septarcha.

Septarchia w Manneranie znajduje się zresztą w stanie rozkładu. Dwie z siedmiu rezydencji pozostawały nie obsadzone od stu lat, a może dłużej, natomiast pięciu pozostałych władców

scedowało swą władzę na rzecz urzędników administracyjnych w tak znacznym stopniu, iż pozostali jedynie figurantami. Pierwszemu septarsze zostały jeszcze strzępy majestatu, ale wszelkie sprawy o znaczeniu gospodarczym musi omawiać z Najwyższym Sędzią Portu, ten zaś został tak ściśle wprzęgnięty w mechanizm rządzenia Manneranem, że trudno właściwie powiedzieć, kto tu jest władcą, a kto poddanym.

Trzeciego dnia mego pobytu w Manneranie Segvord zabrał mnie do budynku sądowego, by zawrzeć ze mną kontrakt o pracę. Mnie, który wyrosłem w pałacu, ogarnął podziw na widok siedziby władz sędowniczo-administracyjnych Portu, a zachwyciło mnie nie bogactwo jej ozdób (bo nie miała żadnych), ale ogromne rozmiary. Ujrzałem rozległy gmach z żółtej cegły, wysoki na cztery piętra, przysadzisty i masywny. Wewnątrz, w wysokich pokojach, przy zniszczonych biurkach harowała armia urzędników, przesuając góry papierów, stemplując dokumenty i moja dusza zadrżała na myśl, że i ja w ten sposób będę spędzał swoje dni. Segyord prowadził mnie przez nie kończące się sale budynku, przyjmując hołdy od zapoconych, wyglądających niezdrowo pracowników, zatrzymywał się tu i ówdzie, by kogoś pozdrowić, rzucić okiem na jakiś w połowie napisany raport, obejrzeć tablice, na których uwidoczniono trasy wszystkich statków, odległych nawet o trzy dni drogi od Manneranu. Wreszcie doszliśmy do wspaniałych apartamentów, mieszczących się z dala od krzątania i rozgardiaszu, jaki przed chwilą widziałem. Tutaj czołowe miejsce zajmował sam Najwyższy Sędzia. Segyord, pokazując mi chłodny i wspaniale umeblowany pokój sąsiadujący z jego komnatą, oznajmił, że tutaj będę pracował.

Kontrakt, który podpisałem, podobny był do kontraktu czyściciela - zobowiązałem się nie ujawniać nic, czego mógłbym dowiedzieć się w toku pełnienia obowiązków, pod groźbą najbardziej surowych kar. Ze swej strony sędownicze władze Portu obiecywały zatrudnić mnie przez całe życie, zapewniały stały wzrost wynagrodzenia oraz różne inne przywileje.

Szybko przekonałem się, iż wcale nie miałem być zwykłym, poplamionym atramentem urzędasem. Tak jak zapowiedział Segvord, płaca moja była niska, a pozycja w urzędzie prawie żadna, ale obowiązki okazały się poważne, w istocie bowiem zostałem jego prywatnym sekretarzem. Wszystkie poufne raporty przeznaczone dla oczu Najwyższego Sędziego najpierw trafiały na moje biurko. Moje zadanie polegało na odrzuceniu tych, które nie miały większego znaczenia, sporządzaniu notatek z innych, oprócz tych, które uznałem za mające wielką wagę, a które przekazywałem w oryginale. Jeśli Najwyższy Sędzia stanowi gospodarcze sito Velady Borthanu, to ja byłem sitem sita, czytał on bowiem tylko to, co chciałem, aby przeczytał, a decyzje jego zapadały na podstawie materiałów, jakie mu przedstawiałem. Skoro to pojąłem, zrozumiałem, że Segvord postawił mnie na drodze do zdobycia wielkiej władzy w Manneranie.

Z niecierpliwością oczekiwałem powrotu Halum z wyspy w Zatoce Sumar. Od przeszło dwu lat nie widziałem ani więźnej siostry, ani więźnego brata, a czyściciele nie byli w stanie ich zastąpić. Boleśnie tęskniłem do tego, by móc późnym wieczorem usiąść z Halum lub Noimem, jak w dawnych czasach, by otworzyć się przed nimi. Noim przebywał, jak sądziłem, gdzieś w Salli, ale nie wiedziałem gdzie, zaś Halum, chociaż powiedziano mi, że powinna lada chwila wrócić, nie pokazała się ani pierwszego, ani następnego tygodnia mego pobytu w Manneranie. W trzecim tygodniu wyszedłem pewnego dnia wcześniej z biura sądowego, gdyż poczułem się źle z powodu wilgoci oraz napięcia, w jakim żyłem, starając się wejść w swą nową rolę. Zawieziono mnie do posiadłości Segvorda. Kiedy wszedłem na główny dziedziniec, kierując się do swego pokoju, w dali ujrzałem wysoką, szczupłą dziewczynę, która zrywała z winorośli złoty kwiat, by wpiąć go w czarne, lśniące włosy. Nie mogłem rozpoznać jej twarzy, ale figura i sposób poruszania się nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Radośnie zawołałem: Halum! - i pognałem przez dziedziniec. Odwróciła się w mola stronę marszcząc brwi. Zatrzymałem się w pędzie. Czoło miała pobrużdżone i mocno zaciśnięte usta, spojrzenie chłodne i dalekie. Co to miało znaczyć? Twarz jej należała do Halum - czarne oczy, zgrabny, wąski, dumny nos, mocny podbródek, wystające kości policzkowe - a jednak ta twarz była mi obca. Czy moja więźną siostra mogła się tak zmienić przez dwa lata? Różnice pomiędzy Halum, którą pamiętałem, a kobietą, którą miałem przed sobą, były bardzo subtelne: inny wyraz twarzy, uniesienie brwi, drganie nozdrzy, skrzywienie ust. Jakby zmieniła się w niej cała dusza. Kiedy zbliżyłem się jeszcze bardziej, dostrzegłem pewne drobne zmiany w rysach, można je było jednak przypisać upływowi czasu albo brakom mej pamięci. Serce waliło mi w piersi, a palce drżały, moje ramiona i plecy ogarnęły fale gorąca, wywołane zmieszaniem. Pragnąłem podejść i objąć ją, ale nagle poczułem obawę przed tą zmienioną osobą.

- Halum? - spytałem niepewnie. Wyszło mi w gardle i głos miałem chropawy.

- Jeszcze jej tu nie ma - odpowiedział głos głębszy niż głos Halum, dźwięczniejszy i bardziej chłodny.

Byłem oszołomiony. Podobna do Halum, jak jej bliźniaczka! Słyszałem tylko o jednej siostrze Halum, dziewczynce, której jeszcze wtedy nie zaczęły rosnać piersi. Niemożliwe, aby przez całe życie ukrywała przede mną, że ma bliźniaczkę lub nieco starszą siostrę.

Podobieństwo istniało jednak niezwykle i niepokojące. Czytałem, że na starej Ziemi mają sposoby tworzenia sztucznych istot, które podobieństwem do oryginału mogą zawieść nawet matkę lub kochanka. W tamtej chwili gotów byłem uwierzyć, że ta sztuka została nam przekazana poprzez stulecia i przestworza i że ta fałszywa Halum przede mną była diabelskim wymysłem, syntetycznym wizerunkiem mojej prawdziwej siostry więźnej.

Powiedziałem: - Proszę wybaczyć tę głupią omyłkę. Wzięło się ciebie za Halum.

- To się zdarza dość często.

- Jesteście jej krewną?

- Jestem córką brata Najwyższego Sędziego Segvorda. Powiedziała, że nazywa się

Loimel Helalam. Halum nie

mówiła mi nigdy o tej kuzynce (a jeśli mówiła, to zupełnie tego nie pamiętałem). Jakie to

dziwne, że ukryła przede mną istnienie w Mennaranie tej lustrzanej Halum! Zdradziłem

Loimel swoje imię, a ona wiedziała od razu, że jestem bratem więźnym Halum, o którym

tylko słyszała. Trochę zmiękła, jej chłód jakby stajał. Ja też wróciłem do równowagi po

wstrząsie, jaki spowodowało odkrycie, że przypuszczalna Halum to ktoś inny. Zacząłem cieplej

patrzeć na Loimel, bo była piękna, godna pożądania i - w przeciwieństwie do Halum - bardziej

przystępna! Patrząc na nią przymrużonymi oczyma mogłem udawać przed sobą, że to

rzeczywiście Halum i nawet wmówiłem sobie, że słyszę głos mej więźnej siostry. Szliśmy

razem przez dziedziniec rozmawiając. Dowiedziałem się, że Halum wróci do domu dziś wieczór i że Loimel przybyła tutaj, żeby przygotować jej serdeczne przyjęcie. Dowiedziałem się również wielu rzeczy o Loimel, gdyż nieroztropnie, jak większość Mannerancıków, nie strzegła swych prywatnych spraw tak pilnie, jak robili to mieszkańcy zachodu. Powiedziała, ile ma lat: była o rok starsza od Halum (i ode mnie). Powiedziała, że jest niezamężna, że ostatnio zerwała nie mające widoków zaręczyny z pewnym księciem ze starej, ale zubożałej rodziny. Wyjaśnia swe podobieństwo do Halum - jej matka i matka Halum były kuzynkami, zaś jej ojciec był bratem ojca Halum. Po pięciu minutach, kiedy spacerowaliśmy trzymając się pod rękę, wyjawiała skandaliczną wiadomość, że właściwie to Najwyższy Sędzia opanował ślubne łóżę swego starszego brata i wobec tego jest ona siostrą przyrodnią Halum, a nie jej kuzynką. Opowiedziała mi jeszcze inne rzeczy.

Mogłem myśleć tylko o Halum, Halum, Halum, Halum. Loimel istniała dla mnie tylko jako odbicie mej więznej siostry. W godzinę po poznaniu się Loimel i ja znaleźliśmy się w mej sypialni. Kiedy opadła z niej suknia, powiedziałem sobie, że skóra Halum musi być tak samo kremowa, że Halum ma takie same piersi, że uda Halum nie mogą być mniej gładkie, a sutki Halum też zmieniają się w wieżyczki, kiedy muskają je palce mężczyzny. Potem leżałem nagi obok Loimel i podniecałem ją wymyślnymi pieszczotami. Zaraz też zaczęła dyszeć, ruszać biodrami i krzyżeć. Nakryłem ją swym ciałem, ale gdy już miałem w nią wniknąć, nasunęła mi się myśl: nie wolno przecież posiąść własnej siostry więznej! Mój członek oklapł jak kawał sznura. Nastąpił moment zakłopotania. Ale patrząc na jej twarz powiedziałem sobie ostro, że to nie Halum tylko Loimel czeka, żebym się w nią wepchnął. Moja męskość ożyła i nasze ciała połączyły się. Czekąło mnie jednak następne upokorzenie. Po wejściu w nią mój zdradziecki umysł zaraz mi powiedział: roździerasz ciało Halum i mój zdradziecki organ odpowiedział przedwczesną eksplozją namiętności. W jakże zawiły sposób nasze lędźwie połączone są z

mózgiem! Jaka to trudna sprawa obejmować jedną kobietę i wyobrazić sobie, że to inna!

Upadłem na Loimel ze wstydem i obrzydzeniem, kryjąc twarz w poduszce. Ona jednak, opanowana nagłą żądzą, wiała się pode mną, aż odzyskałem tężyznę i tym razem doprowadziłem ją do ekstazy, której pragnęła.

Tego wieczoru moja siostra więźną Halum powróciła wreszcie ze swych wakacji w Zatoce Sumar. Rozpłakała się ze szczęścia, widząc mnie żywym w Manneranie. Kiedy stanęła obok Loimel, jeszcze bardziej zdumiało mnie ich podobieństwo. Wprawdzie talię Halum miała smuklejszą, a Loimel wyższe piersi, ale przecież takie różnice zdarzają się i u rodzonych sióstr. Patrząc na nie wydawało się, iż obie zostały ulepione z tej samej gliny. A jednak istniała między nimi uderzająca, choć subtelna różnica, widoczna zwłaszcza w oczach, przez które, jak mówi poeta, prześwieca światło duszy. Blask, jakim promieniowała Halum, był łagodny i delikatny, jak pierwszy promień słońca przedzierający się przez mgłę letniego poranka. Oczy Loimel surowo błyszczały bladym światłem ponurego zimowego popołudnia. Przenosząc wzrok z jednej dziewczyny na drugą sformułowałem intuicyjną ocenę: Halum to czysta miłość, a Loimel to czysty egoizm. Natychmiast jednak odrzuciłem ten werdykt. Nie znałem Loimel, dotychczas okazała się wobec mnie otwarta i hojna, nie miałem prawa poniżać jej w ten sposób. Przez te dwa lata Halum nie postarzała się, ale nabrała koloru i jej piękność w pełni rozkwitła. Była bardzo opalona i w swej krótkiej, białej, obcisłej sukience wyglądała jak brązowa statuetka, twarz jej stała się nieco bardziej kanciasta, co nadawało jej delikatnego, niemal chłopięcego uroku, poruszała się płynnie, z kocią gracją. Dom pełen był obcych, przybyłych na powitalne przyjęcie, po pierwszym uścisku porwano mi ją. Zostałem z Loimel. Pod koniec wieczoru jednak upomniałem się o swoje więźną prawa i zabrałem Halum do siebie, mówiąc: - Są rozmowy zaległe za dwa lata. - Myśli kłębiły mi się w głowie: jak będę mógł opowiedzieć jej wszystko, co mi się przydarzyło? Jak mi powie o tym, co robiła?

Usiedliśmy naprzeciw siebie w przyzwoitej odległości. Halum siadła na posłaniu, gdzie zaledwie parę godzin temu pieściłem jej kuzynkę, udając przed sobą, że to Halum.

Uśmiechnęliśmy się do siebie z przymusem.

- Od czego zacząć? - powiedziałem i w tej samej chwili Halum wymówiła identyczne słowa. Zaczęliśmy się śmiać

I to rozładowało napięcie. A potem usłyszałem własny głos, stawiający bez żadnych wstępów pytanie, czy Halum sądzi, że Loimel zgodzi się zostać moją żoną.

Zostaliśmy sobie poślubieni - Loimel i ja - przez Segvorda Helalama w Kamiennej Kaplicy w środku lata, po miesiącach przygotowań, obrzędów i oczyszczeń. Zrobiliśmy to na prośbę ojca Loimel, człowieka bardzo pobożnego. Ze względu na niego poddaliśmy się serii rygorystycznych oczyszczeń. Dzień po dniu klękałem i wyznawałem wszystko, co zawierała moja dusza, Jiddowł, najbardziej znanemu (i najbardziej kosztownemu) czyścicielowi w Manneranie. Kiedy to już zostało dokonane, Loimel i ja udaliśmy się na pielgrzymkę do dziewięciu świętych przybytków w Manneranie, gdzie roztrwoiłem swoje skromne dochody na świece i kadzidło. Dopełniliśmy nawet archaicznej ceremonii zwanej Pokazem: pewnego dnia o świcie udaliśmy się na odosobnioną plażę pod nadzorem Halum i Segvorda, gdzie ukryci przed ich wzrokiem pod specjalnie przygotowanym do tego celu baldachimem, oficjalnie ukazaliśmy sobie wzajemnie własną nagość, tak aby żadne z nas nie mogło potem powiedzieć, że wstąpiliśmy w związek małżeński ukrywając jakieś defekty.

Obrzęd połączenia stał się wielkim wydarzeniem, towarzyszyła mu muzyka i śpiewy.

Mój brat więźny Noim został wezwany z Salli i był moim gwarantem, on też włożył nam pierścienie. Na weselu był obecny najwyższy septarcha Manneranu, starzec o woskowej cerze, jak również większość miejscowych notabli. Podarki, jakie otrzymaliśmy, przedstawiały ogromną wartość. Znalazł się między nimi wielki puchar ozdobiony dziwnymi klejnotami, wykonanymi na jakimś innym świecie i przysłany nam przez mego brata Stirrona wraz z serdecznym pismem, w którym wyrażał swój żal, że sprawy państwowe nie pozwalają mu w tej chwili opuścić Salli (skoro ja zlekceważyłem jego ślub, nic dziwnego, że nie przybył na mój). Niespodzianką stał się natomiast przyjazny ton jego listu. Nie wspominał o okolicznościach mego zniknięcia z Salli, ale wyrażał radość, że pogłoski o mojej śmierci okazały się fałszywe. Stirron przesyłał mi swe błogosławieństwo i prosił, bym wraz z żoną przybył, jak tylko

będziemy mogli, z oficjalną wizytą do jego stolicy. Najwidoczniej dowiedział się, że mam zamiar osiedlić się na stałe w Manneranie i nie będę rywalizował z nim o tron. Dlatego mógł znów myśleć o mnie z serdecznością.

Dziwiłem się i po tych wszystkich latach wciąż się dziwię, dlaczego Loimel mnie przyjęła. Odrzuciła przecież księcia ze swego królestwa, bo był biedny, i oto zjawiłem się ja, również księżę, ale wygnany i jeszcze biedniejszy. Dlaczego mnie chciała? Czy uwodziłem ją z takim wdziękiem? Chyba nie. Byłem jeszcze młody i nie potrafiłem czarować kobiet. Czy spodziewała się, że zdobędę bogactwo i władzę? W tym czasie nic tego nie zapowiadało. Czy działałem na nią fizycznie? Z pewnością, ale Loimel była zbyt mądra, żeby wychodzić za mąż tylko dla szerokich ramion i mocnych mięśni, poza tym już nasze pierwsze uściski przekonały ją, że nie jestem najlepszym kochankiem. Później też nie zrobiłem w tym kierunku postępów i dalsze zbliżenia miłosne raczej partaczyłem. Wreszcie doszedłem do wniosku, że istniały dwa powody, które skłoniły Loimel do wybrania mnie na męża. Po pierwsze, odczuwała samotność i zaniepokojenie z powodu zerwania pierwszych zaręczyn. Szukała jakiejś przystani i zwróciła się do mnie, ponieważ byłem silny, przystojny i w moich żyłach płynęła królewska krew. Po drugie, Loimel była zazdrosna o Halum i wiedziała, że poślubiając mnie zdobędzie coś, czego Halum nigdy nie będzie miała.

Moje motywy starania się o rękę Loimel łatwo można było odgadnąć. Kochałem Halum.

Loimel była wizerunkiem Halum. Halum mieć nie mogłem, dlatego wziąłem Loimel. Patrząc na Loimel mogłem sobie wyobrazić, że patrzę na Halum, obejmując Loimel mogłem mówić sobie, że przytulam Halum. Proponując Loimel małżeństwo nie czułem do niej miłości, a nawet podejrzewam, że w ogóle jej nie lubiłem. Przyciągała mnie jednak jako namiastka mego prawdziwego pożądania.

Małżeństwa zawarte z takich powodów rzadko bywają udane. I nasze okazało się marne.

Rozpoczęliśmy je będąc sobie obcy, a im dłużej dzieliliśmy łożę, tym bardziej się od siebie oddalaliśmy. Prawdę mówiąc, poślubiłem tajemne marzenia, a nie żywą kobietę. Ale w rzeczywistym świecie małżeństwo nasze musiało trwać: żoną moją była Loimel.

W tym czasie rozpocząłem pracę w biurze Urzędu Administracyjno-Sądowego Portu, którą dał mi mój ojciec więźny. Każdego dnia spływała na moje biurko sterta raportów i memorandów. Każdego dnia usiłowałem podjąć słuszną decyzję, które z nich przedstawić Najwyższemu Sędziemu, a które zlekceważyć. Z początku oczywiście nie miałem żadnego przygotowania do podejmowania takich decyzji. Pomagał mi Segvord, jak również kilku starszych urzędników, którzy zorientowali się, że więcej wygrają pomagając mi niż usiłując stanąć na drodze mego i tak nieuniknionego awansu. Polubiłem nawet tę pracę i nim pełnia lata zawitała do Manneranu wykonywałem ją z taką pewnością siebie, jakbym przez Dostatnie dwadzieścia lat nic innego nie robił.

Większa część materiałów kierowanych do Najwyższego Sędziego zawierała bzdury. Szybko nauczyłem się je rozpoznawać przebiegając treść wzrokiem, często nawet tylko jedną stroną. Wiele mówił mi styl, w jakim zredagowano pismo zauważyłem, że ktoś, kto nie potrafi jasno sformułować swych myśli na papierze, prawdopodobnie nie ma do powiedzenia nic godnego uwagi. Styl to człowiek. Jeśli zdania są nudne i wloką się, to najprawdopodobniej umysł ich autora jest także ospały i czy w takim razie jego uwagi mogą mieć jakąś wartość dla działalności portowego Urzędu Administracyjno-Sądowego? Pośledni i pospolity umysł zdolny jest tylko do poślednich i pospolitych spostrzeżeń. Sam musiałem bardzo dużo pisać, podsumowując i streszczając raporty o miernej wartości. Mój styl również odzwierciedlał człowieka: poważny, uroczysty, lubowałem się w dwornych gestach, skłonny mówić raczej więcej niż inni chcieliby usłyszeć - wszystkie te cechy odnajdywałem w swojej prozie. To, co pisałem, nie było bez wad, mnie jednak podobało się; sam również posiadam wady, ale jestem z siebie zadowolony.

Niezdługo zdałem sobie sprawę, że najpotężniejszy człowiek w Manneranie stał się

kukiełką, którą ja pociągałem za sznurki. Ja decydowałem, którymi sprawami ma się zająć Najwyższy Sędzia, ja wybierałem podania o przyznanie specjalnych przywilejów, ja sporządzałem zwięzłe komentarze, na których on opierał swe wyroki. Nieprzypadkowo Segvord pozwolił mi skupić w swym ręku tyle władzy. Ktoś musiał wykonywać obowiązek porządkowania dokumentów, który obecnie ja spełniałem. Do czasu mego przybycia do Manneranu zajmował się tym komitet złożony z trzech osób - a każdą z nich pożerała ambicja przejęcia pewnego dnia tytułu Segyorda. Obawiając się tych ludzi, Segvord po-przesuwał ich na stanowiska bardziej honorowe, ale mniej odpowiedzialne, a mnie wprowadził na ich miejsce. Jego jedyny syn zmarł jeszcze jako chłopiec i dlatego właśnie mnie udzielił całkowitego poparcia. Z bezdomnego sallańskiego księcia uczynił jedną z dominujących osobistości w Manneranie.

Wszyscy dobrze wiedzieli (ja zorientowałem się najpóźniej), jak ważną mam się stać figurą. Książęta na mój ślub przybyli nie tyle z szacunku dla rodziny Loimel, lecz by zaskarbić sobie moje względy. Stirron kierując pod moim adresem życzliwe słowa pragnął odwieść mnie od wszelkich nieprzyjaznych dla Salli decyzji. Niewątpliwie mój królewski kuzyn, Truis z Glinu, zastanawiał się teraz z niepokojem, czy wiem, że to na jego polecenie zatrzaskiwano przede mną wrota w jego prowincji (on również przysłał mi wspaniały ślubny prezent). Potok napływających podarków nie ustał wraz z zakończeniem uroczystości weselnych. Wciąż otrzymywałem piękne i wartościowe podarki od tych, których interesy zależały od poczynań Urzędu Administracyjno-Sądowego Portu. W Salli takie prezenty nazywalibyśmy po prostu łapówkami, ale Segvord zapewniał mnie, że w Manneranie wolno je przyjmować, o ile nie mają wpływu na bezstronność podejmowanych decyzji. Wtedy zrozumiałem, w jaki sposób skromne uposażenie sędziego pozwalało Segyordowi żyć na isticie książęcej stopie. Pełniąc swe urzędowe obowiązki starałem się jednakże nie pamiętać o tych wszystkich próbach

przekupstwa i oceniać każdą sprawę tak, jak na to zasługiwała.

W ten sposób utrwaliła się moja pozycja w Manneranie. Zgłębiłem tajniki Urzędu Administracyjno-Sądowego, dostosowałem się do rytmu handlu morskiego i Najwyższemu Sędziemu służyłem wydatną pomocą. Poruszałem się pośród książąt, sędziów i bogaczy. Nabyłem niewielki, lecz wystawny dom w pobliżu posiadłości Segvorda i wkrótce musiałem nająć budowniczych, by go powiększyli. W nabożeństwach uczestniczyłem, jak inni moi, jedynie w Kamiennej Kaplicy i chodziłem w celu oczyszczenia się tylko do sławnego Jidda. Zostałem przyjęty do ekskluzywnego stowarzyszenia atletycznego i na Stadionie Mannerzańskim popisywałem się rzucaniem przystrojonej piórami strzałą.

Gdy na wiosnę po naszym ślubie odwiedziłem Sallę ze swą małżonką, Stirron przyjął mnie, jakbym był mannerzańskim septarchą - przejechał ze mną w paradnym orszaku przez stolicę wśród wiwatujących tłumów i podejmował po królewsku w swoim pałacu. Nie wspomniał ani słowem o mej ucieczce z Salli, był niezmiernie przyjazny, chociaż na dystans i z pewną rezerwą. Memu pierwszemu synowi, który urodził się tamtej jesieni, nadałem jego imię. Potem przyszli na świat dwaj następni synowie, Noim i Kinnall, oraz córki, Halum i Loimel. Chłopcy byli dobrze rozwinięci i silni, dziewczynki zapowiadały się na piękności takie, jak ich imienniczki. Sprawiało mi dużą przyjemność, że stałem się głową rodziny. Z niecierpliwością oczekiwałem chwili, gdy będę mógł zabrać synów na polowanie na Wypaloną Nizinę, albo pokonywać z nimi wodospady na rzece Woyn. Tymczasem polowałem sam i wiele poroży rogorłów zdobyło mój dom.

Loimel, jak już mówiłem, pozostawała mi obca. Nikt nie oczekuje, że pozna duszę swej żony tak, jak duszę siostry więznej, ale jednak pomimo zrozumiałej powściągliwości człowiek spodziewa się, iż nawiąże jakąś łączność duchową z kimś, z kim żyje na co dzień. W Loimel nie udało mi się zgłębić niczego poza jej ciałem. Ciepło i otwartość, jakie okazała mi w czasie

naszego pierwszego zbliżenia, szybko minęły i stała się pełna rezerwy, jak każda zimna seksualnie żona w Glinie. Kiedyś, rozpalony namiętnością podczas stosunku, zwracając się do niej użyłem zaimka "ja", co zdarzało mi się wtedy, gdy obcowałem z dziwkami - a ona uderzyła mnie i zrzuciła z siebie. Po ślubie szybko oddaliliśmy się od siebie. Ona miała swoje życie, ja swoje. Po pewnym czasie nie podejmowaliśmy nawet wysiłków, żeby przebyć dzielącą nas przepaść. Ona spędzała czas oddając się modlitwie, muzyce, kąpiąc się i opalając. Ja polowałem, uprawiałem gry hazardowe, wychowywałem synów i wykonywałem swą pracę. Ona miała kochanków, a ja utrzymanki. Nasze małżeństwo stało się całkowicie oziębłe. Rzadko dochodziło między nami do sprzeczek. Nawet tu nie byliśmy sobie dość bliscy. Wiele czasu spędzałem z Noimem i Halum, oboje byli mi wielką pociechą. Z roku na rok zwiększał się mój autorytet i obowiązki w Urzędzie Administracyjno-Sądowym. Ani nie awansowałem ani moja płaca specjalnie nie wzrosła, a jednak wszyscy w Manneranie wiedzieli, że to ja steruję decyzjami Segvorda - i ja czerpałem wielkopańskie dochody z "podarków". Segvord stopniowo wycofywał się z obowiązków i powierzał je mnie. Całe tygodnie spędzał na wyspie w Zatoce Sumar, a ja stemplowałem i podpisywałem dokumenty w jego imieniu. Gdy dobiegł pięćdziesiątki, a ja miałem dwadzieścia cztery lata, zrezygnował całkowicie z pełnionego urzędu. Nie byłem z urodzenia Mannerńczykiem, nie mogłem więc zostać Najwyższym Sędzią. Segvord jednak postarał się, by na opuszczone przez niego stanowisko mianowano sympatyczne zero, niejakiego Nolodo Kalimola, który oczywiście nie zamierzał uszczuplać mej władzy. Nie pomylisz się, jeśli uznasz, że moje życie w Manneranie było łatwe i bezpieczne, że cieszyłem się poważaniem i byłem bogaty. Tydzień płynął spokojnie za tygodniem i chociaż żadnemu człowiekowi nie jest dane szczęście doskonałe, nie miałem wielu powodów do narzekań. Niepowodzenia małżeńskie przyjmowałem spokojnie, głębokiej bowiem miłości

pomiędzy mężem i żoną nie spotyka się często w takim społeczeństwie jak nasze. Jeśli chodzi o inną zgryzotę, beznadziejną miłość do Halum, to zagrzebałem ją głęboko w sercu, a kiedy boleśnie dawała znać o sobie, szukałem ukojenia u czyściciela Jidda. I tak bez większych wstrząsów mógłbym przeżyć do końca moich dni, gdyby na horyzoncie nie pojawił się Ziemianin Schweiz.

Ziemiańskie rzadko przybywali na Borthana. Przed Schweizem widziałem tylko dwóch, kiedy jeszcze mój ojciec był septarchą. Najpierw pojawił się wysoki, rudobrody mężczyzna, który odwiedził Sallę, gdy miałem około pięciu lat. Był to podróżnik przemierzający się z jednego świata na drugi tylko dla swej przyjemności. Właśnie przewędrował Wypaloną Niziną, samotnie i pieszo. Pamiętam, z jaką napiętą uwagą wpatrywałem się w jego twarz, szukając jakichś oznak pochodzenia z innego świata - jakiegoś dodatkowego oka, może rogów, albo jadowitych zębów.

Oczywiście nic takiego nie posiadał i dlatego otwarcie zważyłem, że przybywa z Ziemi. Stirron, który o dwa lata dłużej niż ja zdobywał wiedzę, wyjaśnił mi wśród drwin, że wszystkie światy, włącznie z naszym, zostały zasiedlone przez ludzi z Ziemi i to tłumaczy, czemu Ziemiańskie wygląda jak jeden z nas. Pomimo to parę lat później, kiedy drugi Ziemiańskie pojawił się na dworze, wciąż wpatrywałem, czy nie ma wystających zębów i wąsatych wyrostków, jak u suma. Ten był krzepkim, wesołym człowiekiem o jasnobrązowej skórze. Był naukowcem zajmującym się zbieraniem okazów naszej dzikiej przyrody dla jakiegoś uniwersytetu w odległej części galaktyki. Ojciec zabrał go na Wypaloną Nizinę, mieli upolować rogorła. Napraszałem się, żeby też jechać, za co dostałem w skórę.

Marzyłem o Ziemi. Szukałem jej w różnych książkach i widziałem obraz niebieskiej planety, na której znajdowało się wiele kontynentów, a nad nią krążył ogromny, ospowaty księżyc. Myślałem wtedy - stąd wszyscy pochodzimy. To początek wszystkiego. Czytałem o królestwach i narodach starej Ziemi, o niszczących wojnach, o zabytkach i tragediach. O wyprawach w przestrzeń międzyplanetarną i dotarciu do gwiazd. W pewnym okresie wyobrażałem sobie, że sam jestem Ziemiańskim, że urodziłem się na tej starej, pełnej cudów planecie i że sprowadzono mnie na Borthana jako niemowlę, żeby wymienić na prawdziwego

synka septarchy. Mówiłem sobie wtedy, że gdy dorosnę, odbędę podróż na Ziemię, odwiedzę miasta mające po dziesięć tysięcy lat i będę wędrował tym samym szlakiem, który zaprowadził dziadów moich dziadów z Ziemi na Borthana. Pragnąłem posiadać jakiś kawałek Ziemi, choćby skorupę z garnka, jakiś kamień bądź monetę, coś, co stanowiłoby dotykalne ogniwo łączące mnie ze światem mej wyobraźni. Wyczekiwałem, aż znów jakiś Ziemianin przybędzie na Borthana i będę mógł zadać mu tysiące pytań i poproszę go o coś pochodzącego z Ziemi; ale żaden nie przybył. Wydoroślałem i przestały mnie gnębić natrętne myśli o pierwszej planecie człowieka.

Wówczas na mojej drodze stanął Schweiz. Schweiz był handlowcem. Wielu Ziemian zajmuje się handlem. Kiedy go poznałem, przebywał na Borthanie już od paru lat jako reprezentant firmy eksportowej z centralą na jakiejś planecie w pobliskim systemie słonecznym. Sprzedawał wyroby przemysłowe i poszukiwał w zamian naszych futer oraz wonnych korzeni. Podczas pobytu w Manneranie wdał się w spór z miejscowym eksporterem o ładunek futer z północno-zachodniego wybrzeża. Człowiek ten usiłował wtrynić Schweizowi gorsze gatunki za wyższą cenę. Schweiz pozwał go do sądu i sprawa zawędrowała do Urzędu Administracyjno-Sądowego Portu. Stało się to jakiejś trzy lata temu, już po odejściu Segvorda Helalama.

Fakty w tej sprawie nie budziły zastrzeżeń, nie było też wątpliwości, jaki zapadnie wyrok. Jeden z niższych sędziów zgadzał się z argumentami Schweiza i nakazał eksporterowi dotrzymać kontraktu z oszukanym Ziemianinem. Normalnie nie powinienem się w to mieszać. Ale kiedy dokumenty w tej sprawie, w drodze zwykłej procedury przedstawiono przed zatwierdzeniem wyroku do wglądu Najwyższemu Sędziemu Kalimolowi, rzuciłem na nie okiem i zobaczyłem, że powodem jest Ziemianin.

Opanowała mnie wielka pokusa. Ożyła znów dawna fascynacja tamtą rasą, moje urojenia

o wystających kłach, wąsowatych wyrostkach i dodatkowym oku. Musiałem z nim pomówić.

Czego spodziewałem się od niego? Odpowiedzi na 1, pytania, które zadawałem sobie jako chłopiec? Jakiegoś wyjaśnienia, co to za siły pognały ludzki rodzaj do gwiazd? A może tylko szukałem rozrywki, chwilowej odmiany w nazbyt spokojnym życiu? Poleciłem, żeby Schweiz stawił się do mego biura.

Przybiegł nieomal natychmiast, drobny, energiczny człowieczek, w wyszukanym stroju.

Krzywiąc się w uciesznym grymasie pozdrowił mnie plaśnięciem w dłoń, wbił knykcie w blat mego biurka, potem odstąpił parę kroków do tyłu i zaczął chodzić po pokoju.

- Niech bogowie zachowają waszą łaskawość - zawołał.

Pomyślałem, że jego dziwne zachowanie, gwałtowne ruchy i dzikie wejrzenie spowodowane są obawą przede mną, miał bowiem powód do niepokoju, skoro wezwał go tak wysoki rangą urzędnik, żeby przedyskutować sprawę, którą uważał już za wygraną. Później przekonałem się, że maniery Schweiza odzwierciedlały jego gwałtowną, bujną naturę, nie zaś jakieś chwilowe napięcie.

Był mężczyzną średniego wzrostu, szczupłej budowy, bez odrobiny tłuszczu. Skórę miał brunatną, a włosy koloru ciemnego miodu, proste, sięgające do ramion. Oczy miał bystre i złośliwe, uśmiech chytry, promieniował chłopięcym wigorem i dynamiczną energią, co mnie wtedy oczarowało, chociaż później okazał się dla mnie męczącym towarzyszem. Nie był już jednak chłopcem, na twarzy rysowały się pierwsze zmarszczki, a włosy, wciąż gęste, zaczynały przerzedzać się na czubku głowy.

- Proszę usiąść - powiedziałem, bo denerwowały mnie jego łamańce. Zastanawiałem się, jak rozpocząć rozmowę. Co zdołam z niego wyciągnąć, zanim zasłoni się Przymierzem i zamknie usta? Czy zechce mówić o sobie i swoim świecie? Czy w ogóle mam prawo wnikać w duszę cudzoziemca w sposób, w jaki nie pozwoliłbym sobie wobec mieszkańca Borthana?

Zobaczmy. Paliła mnie ciekawość. Wziąłem plik dokumentów dotyczących jego sprawy, ponieważ przyglądał się im niespokojnie, wyciągając je w jego stronę i powiedziałem: - To co najważniejsze załatwia się najpierw. Wyrok został zatwierdzony. Dzisiaj Najwyższy Sędzia Kalimol położył pieczęć i do wschodu księżyca będziesz miał swoje pieniądze.

- Szczęśliwa wiadomość, wasza łaskawość. .

- To zamyka kwestię prawną.

- Takie krótkie posłuchanie? Prawie zbyt szybkie wydaje się moje przybycie, skoro otrzymałem tak zwięzłą informację, wasza łaskawość.

- Należy przyznać - oświadczyłem - że zostałeś tu wezwany w celu przedyskutowania innych spraw, a nie twego procesu sądowego.

- Słucham, wasza łaskawość? - Wydawał się zakłopotany i zaniepokojony.

- Żeby pomówić o Ziemi - oznajmiłem. - Żeby zaspokoić ciekawość znudzonego biurokraty. Rozumiesz? Możesz chwilę porozmawiać, jeśli już zostałeś tu zwabiony pod pretekstem interesu? Wiesz, Schweiz, zawsze było się zafascynowanym Ziemią i Ziemianami. - Chciałem go lepiej usposobić, bo w dalszym ciągu krzywił się i był nieufny, opowiedziałem mu przeto o tamtych dwóch Ziemianach, których poznałem i o swym dziecięcym przekonaniu, że powinni być jacyś inni. Odprężył się i słuchał z przyjemnością, a zanim skończyłem, śmiał się serdecznie. - Kły! - wykrzykiwał. - Wyrostki wąsowate! - Przeciągnął ręką po twarzy. - Doprawdy tak myśleliście, wasza łaskawość? Że Ziemianie są tak cudacznymi stworzeniami? Na wszystkich bogów, wasza łaskawość, sam chciałbym być jakimś cudakiem, żeby was zabawić!

Wzdrygałem się za każdym razem, kiedy Schweiz używał pierwszej osoby czasownika.

Wypowiadane przez niego obojętnie nieprzyzwoitości psuły nastrój, jaki próbowałem wytworzyć. Chociaż usiłowałem udawać, że nie zaszło nic niewłaściwego, Schweiz

natychmiast rozpoznawał swój błąd, zrywał się na nogi i z wyraźnym strapieniem powiadał:

- Tysiącokrotne przeprosiny! Ma się czasem skłonność do zapominania gramatyki, kiedy nie jest się przyzwyczajonym do...

- Nikt się nie, obraża - śpieszyłem go zapewnić.

- Musicie zrozumieć, wasza łaskawość, że trudno pozbyć się starych przyzwyczajzeń i mówiąc waszym językiem, używa się czasem formy najbardziej dla siebie naturalnej, choćby...

- Ależ oczywiście, Schweiz. Wybaczone potknięcie. - Trząśnięcie. - Poza tym -

powiedziałem mrugając okiem jestem dorosły. Czy sądzisz, że tak łatwo się gorszę? - Celowo użyłem wulgarnych słów, żeby poczuł się swobodniej. Poskutkowało. Uspokoił się. Tego dnia nie pozwolił już sobie jednak w rozmowie ze mną na rynsztokową gwarę i potem przez dłuższy czas uważał, aby przestrzegać niuansów gramatycznych, aż do chwili, kiedy te sprawy przestały mieć między nami jakiegokolwiek znaczenie.

Poprosiłem go teraz, aby opowiedział o Ziemi, matce nas wszystkich.

- Mała planeta - powiedział. - Daleko. Dusząca się własnymi odpadami, trucizny dwóch tysięcy lat bezmyślnej nadprodukcji skaziły jej niebo, wody i ziemię. Ohydne miejsce.

- Naprawdę ohydne?

- Są jeszcze atrakcyjne obszary. Niewiele ich i właściwie nie ma się czym chwalić.

Trochę drzew, tu i tam, trochę trawy. Jakieś jezioro. Wodospad. Dolina. Ale ta planeta to głównie gnojowisko. Ziemianie często chcieliby móc odkopać swych przodków, przywrócić ich do życia, a potem udusić. Za ich samolubstwo. Za brak troski o następne pokolenia.

Uważali, że świat należy tylko do nich i wszystko wykorzystali.

- Czy dlatego Ziemianie zbudowali imperia w Kosmosie, żeby uciec od brudu rodzinnego świata?

- Po części tak - odparł Schweiz. - Było tyle miliardów ludzi. Ci, którzy mieli dość siły, wywędrowali w górę. Ale to nie tylko była ucieczka. Był to również głód poznania innych

spraw, głód przygód, chęć rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Stworzenia ludziom nowych, lepszych światów. Sznur Ziemi rozciągnięty poprzez Kosmos.

- A ci, którzy nie odeszli? - spytałem. - Na Ziemi wciąż są miliardy ludzi. - Myślałem o Veladzie Borthanle i tych ledwie czterdziestu czy pięćdziesięciu milionach

- Och, nie, nie! Teraz Ziemia jest prawie pusta, świat-widmo, zrujnowane miasta, zapuszczone autostrady. Mało kto już tam żyje. I każdego roku rodzi się tam coraz mniej

- Ale ty się tam urodziłeś?

- Na kontynencie zwanym Europą, tak. Ale nie widziało się Ziemi od blisko trzydziestu lat. Od czasu, gdy miało się czternaście lat.

- Nie wyglądasz na takiego starca - zauważyłem.

- Mówiący liczy czas w latach ziemskich - wyjaśnił Schweiz. - Według waszych obliczeń, zbliża się dopiero do trzydziestki.

- Ten również - oznajmiłem. - I ten także opuścił swą ojczyznę przed dojściem do dojrzałości. - Mówiłem swobodnie, bardziej swobodnie, niż było to właściwe, a jednak nie mogłem się powstrzymać. Pociągnąłem Schweiza za język i czułem, iż powinienem czymś mu się zrewanżować. - Mówiący uciekł z Salli będąc chłopcem w poszukiwaniu szczęścia w Glinie, potem, po pewnym czasie, znalazł lepsze warunki w Manneranie. Wędrowiec, Schweiz, tak samo jak ty.

- A więc istnieje pomiędzy nami więź.

Czy mogę wykorzystać tę więź? I postawiłem mu pytanie: - Dlaczego Opuściłeś Ziemię?

- Z tych samych powodów, co inni. Żeby udać się tam, gdzie powietrze czyste i gdzie człowiek ma szansę stać się kimś. Na Ziemi całe życie spędzają tylko ci, którzy nie potrafią się stamtąd ruszyć.

- A przecież to planeta, którą czci cała galaktyka - zdziwiłem się. - Świat tylu mitów!

Planeta marzeń wszystkich chłopców! Centrum wszechświata - pryszcz i czyrak?

- Dobrześ to ujął.

- A jednak jest czczona.

- Och, czcisz ją, szanuj, oczywiście! - wykrzykiwał Schweiz. Oczy mu gorzały. -

Fundament rodzaju ludzkiego! Dostojna rodzicielka wszelkich gatunków! Czemu jej nie szanować, wasza łaskawość? Należy szanować śmiałe początki, które tam uczyniono.

Szanować wielkie ambicje, które wyrosły z tego błota. I szanować również te straszne omyłki.

Ziemia w starożytności popełniała błąd po błędzie i dzięki temu zostało wam oszczędzone

przejście przez te ogniowe próby i udręki. - Schweiz zaśmiał się cierpko. - Ziemia umarła, by

wybawić was, gwiazdne ludy, od grzechu. Czy możliwa jest taka koncepcja religijna? Wokół

tej idei można rozbudować całą liturgię. Kapłaństwo Ziemi wybawicielki. - Nagle pochylił się

do przodu i spytał: - Jesteś, wasza łaskawość, człowiekiem religijnym?

Intymność tego pytania zaskoczyła mnie. Nie chciałem jednak wznosić żadnych barier.

- Oczywiście - odparłem.

- Chodzisz do domu bożego, rozmawiasz z czyścicielami, robisz te wszystkie rzeczy!

Złapał mnie. Nie mogłem mu nie odpowiedzieć.

- Tak - przyznałem. - Czy to cię dziwi?

- Wcale nie. Wydaje się, iż wszyscy na Borthanie są prawdziwie nabożni. To zdumiewa.

Wiesz, wasza łaskawość, samemu nie jest się w najmniejszym stopniu religijnym. Mówiący próbuje, zawsze próbował, najusilniej starał się zdobyć przekonanie, że istnieją jakieś wyższe byty, które rządzą losem i czasem. Już mu się to prawie udało, już prawie wierzył, wasza łaskawość, wręcz przebił się do wiary, ale potem za każdym razem sceptycyzm wszystko obalał. I mówiący stwierdzał: Nie, to niemożliwe, nie może tak być, to przeczy logice i zdrowemu rozsądkowi!

- Jak możesz żyć przez wszystkie swoje dni bez zbliżenia z czymś świętym?

- Przeważnie jakoś sobie radzę. Przeważnie.

- A przez resztę czasu?

- Przez resztę mówiący czuje, że jest zgnębiony świadomością całkowitej samotności

we wszechświecie. Nagi pod gwiazdami, ich światło uderza w jego obnażoną skórę, pali zimnym ogniem i nie ma przed nim osłony, nie ma gdzie się skryć, nie ma do kogo się modlić.

Rozumiesz? Niebo jest lodem i ziemia jest lodem i dusza jest zmrożona. Kto ją rozgrzeje? Nikt.

Sam siebie przekonałeś, że nie istnieje nikt, kto może cię pocieszyć. Mówiący pragnie, żeby

istniał jakiś system wiary, chce się poddać, upaść na kolana, chce, by rządziły nim siły

metafizyczne. Wierzyć, mieć wiarę! I nie potrafi. Ogarnia go przerażenie. Dusi w sobie płacz.

Noce są bezsenne. - Schweiza ogarnęło podniecenie, twarz mu płonęła. Sięgnął poprzez biurko

i chwycił moje ręce - ten gest oszołomił mnie, ale rąk nie cofnąłem. Powiedział zachrypniętym

głosem: - Wierzysz w bogów, wasza łaskawość?

- Z pewnością.

- W sposób dosłowny? Myślisz, że istnieje bóg podróżnych i bóg rybaków i bóg

pracujących na roli oraz taki, który ma pod swą pieczęią septarchów, i...

- Jest jakaś siła - powiedziałem - która zapewnia ład i porządek we wszechświecie. Siła ta

manifestuje się w wieloraki sposób i żeby przerzucić most nad przepaścią pomiędzy nami

samymi i tą siłą, uznajemy każde z jej wcieleń za "boga", tak, zwracamy się do tego, czy innego

wyobrażenia, zależnie od potrzeby. Ci z nas, którzy są nie-uczeni, przyjmują tych bogów

dosłownie, jako istoty osobowe, obdarzone twarzami. Inni zdają sobie sprawę, że to metafory

dla wyrażenia tej boskiej mocy, a nie plemię potężnych duchów żyjących ponad naszymi

głowami. Na Veladzie Borthanie nie znajdzie się jednak nikt, kto przeczyłby istnieniu tej siły.

- Mówiący odczuwa wielką zazdrość o to - przyznał Schweiz - że można wyrosnąć w

kulturze posiadającej spoistość i sens, mieć pewność istnienia ostatecznych wartości, czuć się częścią składową boskiego planu - jakież to musi być cudowne! Żeby mieć coś takiego, dać się ogarnąć takiemu systemowi wiary, warto chyba nawet pogodzić się z wielkimi skazami tego społeczeństwa.

- Ze skazami? - Poczuję się nagle w defensywie. - Z jakimi skazami?

Schweiz zmrużył oczy i zwilżył wargi. Może podejrzewał, że zrani mnie lub rozgniewa tym, co zamierzał powiedzieć. - Skazy, to może za silne określenie - odpowiedział. - Można zamiast tego powiedzieć: ograniczenia tego społeczeństwa, jego... no, ciasnota. Mówiący ma na myśli obronę własnego ja przed bliźnimi, którą sobie narzucacie. Tabu przeciwko powoływaniu się na siebie, przeciwko otwartej rozmowie, przeciwko otwarciu duszy...

- Czy ktoś nie otworzył przed tobą duszy dzisiaj i w tym pokoju?

- Ach - odrzekł Schweiz - mówiłeś z cudzoziemcem, z kimś, kto nie stanowi części waszej kultury, z kimś, kogo tajemnie podejrzewasz, że ma czułki i jadowite kły. Czy byłbyś tak samo swobodny rozmawiając z obywatelem Manneranu?

- Nikt w Manneranie nie ośmieliłby się zadawać takich pytań, jakie ty postawiłeś.

- Możliwe. Brak treningu w samorepresji. A więc te pytania dotyczące filozofii religii... czy one zakłócają spokój twej duszy, wasza łaskawość? Czy uznałeś je za obraźliwe?

- Nie zgłasza się sprzeciwu wobec rozmowy o takich sprawach - powiedziałem bez większego przekonania.

- Ale taka rozmowa to tabu, nieprawdaż? Nie używaliśmy brzydkich słów, poza tym wypadkiem, gdy mi się jedno takie słowo wymknęło, ale roztrząsaliśmy brzydkie idee, nawiązywaliśmy naganny wzajemny stosunek. Zburzyłeś nieco swój mur obronny, prawda? Jest ci się za to wdzięcznym. Jest tu się już długo, całe lata, a nigdy nie rozmawiało się swobodnie z rodowitym mieszkańcem Borthana, ani razu! Aż dziś odniosło się wrażenie, że

jesteś skłonny trochę się otworzyć. To niezwykle przeżycie, wasza łaskawość. - Szelmowski uśmiezek powrócił na jego twarz. Podrygując zaczął spacerować po biurze. - Nie ma się zamiaru wyrażać krytycznie o waszym sposobie życia - mówił dalej. - Pragnie się właściwie pochwalić pewne aspekty tego życia i zrozumieć inne.

- Które chwalić, a które zrozumieć?

- Zrozumieć wasz zwyczaj wznoszenia wokół siebie muru. Chwalić prostotę, z jaką akceptujecie boską obecność. Tego wam się zazdrości. Jak się powiedziało, nie jest się wychowanym w wierze i nie jest się w stanie poddać działaniu wiary. Głowa mówiącego zawsze pełna jest obrzydliwych sceptycznych pytań. Jest on z natury niezdolny dawać wiarę temu, czego nie może zobaczyć czy odczuć, dlatego zawsze musi być samotny i dlatego wędruje po całej galaktyce poszukując furtki prowadzącej do wiary, próbuje się tu i tam i nie może znaleźć... - Schweiz zrobił pauzę. Był podniecony i spocony. - Widzisz więc, wasza łaskawość, że posiadasz coś cennego: zdolność stania się częścią wielkiej potęgi. Mówiący pragnąłby nauczyć się tego od ciebie! Jest to oczywiście sprawa kulturowego uwarunkowania Borthan wciąż zna bogów, na Ziemi już oni się przeżyli. Na tej planecie cywilizacja jest jeszcze młoda. Potrzeba tysięcy lat, by popędy religijne uległy erozji.

- I - odezwałem się - planeta ta została zasiedlona przez ludzi mających silne wierzenia religijne, którzy specjalnie! przybyli tutaj, ażeby te wierzenia zachować i którzy podjęli ogromne trudy, żeby wpoić je swym potomkom.

- To również. Wasze Przymierze. Było to jednak ile, półtora tysiąca, dwa tysiące lat temu? Do tej pory mogło się to wszystko wykruszyć, ale tak się nie stało. Jest silniejsze niż dotychczas. Wasza nabożność, wasza pokora, wasze zaparcie się siebie...

- Ci, co nie potrafili przyjąć i przekazywać dalej ideałów pierwszych osadników - wtrąciłem - nie mogli wśród nich pozostać. Miało to wpływ na model kultury, jeśli zgodzisz się,

że takie cechy jak wojowniczość i ateizm można wykluczyć ze społeczności. Jedni pozostali, drudzy odeszli.

- Mówisz o wygnańcach, którzy powędrowali do Sumary Borthanu?

- A więc znasz tę historię?

- Naturalnie. Należy zaznajomić się z historią planety, na którą jest się przydzielonym.

Sumara Borthan, tak. Byłeś tam kiedykolwiek, wasza łaskawość?

- Niewielu z nas odwiedza ten kontynent - odparłem.

- A myślałeś kiedy, żeby tam pojechać?

- Nigdy.

- Są tacy, którzy tam jeżdżą - powiedział Schweiz i dziwnie się do mnie uśmiechnął.

Chciałem go o to zapytać, ale wszedł sekretarz ze stertą dokumentów i Schweiz pośpiesznie

wstał. - Nie należy zabierać zbyt wiele cennego czasu waszej łaskawości. Czy byłoby możliwe kontynuować tę rozmowę o innej porze?

- Liczy się na tę przyjemność - odpowiedziałem mu.

Kiedy Schweiz odszedł, siedziałem dłuższy czas plecami oparty o biurko. Zamknąłem oczy i powtarzałem sobie w myśli to, cośmy sobie powiedzieli. Jak łatwo zmylił moją czujność! Jak szybko zaczęliśmy mówić o sprawach duchowych! To prawda, że pochodził z innego świata i przebywając z nim nie czułem się tak mocno związany naszymi zwyczajami. Staliśmy się jednak szybko dla siebie niebezpiecznie bliscy. Jeszcze dziesięć minut, a byłbym otworzył się przed nim jak przed więźnym bratem. Byłem zdumiony i zatrwożony, że tak łatwo zszedłem z drogi przyzwoitości i że w tak chytry sposób skłonił mnie do takiej poufałości.

Czy była to całkowicie jego sprawka? To ja po niego posłałem, ja pierwszy zadałem mu intymne pytanie. Ja nadałem ton spotkaniu. Wyczuł we mnie pewną chwiejność, wykorzystał to i tak pokierował rozmową, że ja stałem się tematem, a on stawiał pytania. I ja na to przystałem. Opornie, ale jednak chętnie otworzyłem się przed nim. Coś mnie do niego ciągnęło - a jego do mnie. Schweiz-kusiciel, Schweiz-wyzyskiwacz mojej tak długo ukrywanej słabości, nawet przed sobą samym! Skąd mógł wiedzieć, że pragnąłem otworzyć się?

Jego słowa wypowiedane szybko wysokim głosem zdawały się wciąż trwać echem w pokoju. Pytania. Pytania. Pytania. A potem objawienie. Jesteś człowiekiem religijnym? Czy dosłownie wierzysz w bogów? Gdybym tylko sam mógł znaleźć wiarę! Jakże ci zazdroszczę! Ale te skazy twojego świata. Zaparcie się siebie. Czy byłbyś tak swobodny z obywatelem Manneranu? Mów ze mną, wasza łaskawość. Otwórz się przede mną. Tak długo żyłem tutaj samotny.

Skąd on mógł wiedzieć, skoro ja sam nie wiedziałem?

Zrodziła się dziwna przyjaźń. Poprosiłem Schweiza do domu na obiad, ucztowaliśmy i rozmawialiśmy, lało się niebieskie wino z Salli i złote wino z Manneranu, a kiedy rozgrzaliśmy się trunkiem, znów zaczęliśmy dyskutować na temat religii, trudności Schweiza w wierze i

mojego przekonania o rzeczywistym istnieniu bogów. Przyszła Halum j i posiedziała z nami godzinę, a potem poczyniła uwagę o umiejętności Schweiza rozwiązywania języków, mówiąc do mnie: - Wydawałeś się, Kinnallu, bardziej pijany niż kiedykolwiek. A przecież wypiliście tylko trzy butelki wina, zapewne więc coś innego sprawiło, że błyszczały ci oczy i tak łatwo płynęły słowa. - Roześmiałem się i powiedziałem jej, że w towarzystwie Ziemianina opanowuje mnie taka niefrasobliwość, iż trudno mi w jego obecności przestrzegać naszych zwyczajów.

W czasie następnego spotkania w tawernie koło sądów, Schweiz powiedział: - Kochasz swą więzną siostrę, tak?

- Naturalnie, każdy kocha swoją więzną siostrą.

- Ma się na myśli, że ty ją kochasz. - Znacząco zachichotał. Aż odrzuciło mnie.

- Mówiący był aż tak pijany tamtego wieczoru? Co ci mówił o niej?

- Mnie nic - odpowiedział. - Jej to mówiłeś. Wzrokiem, uśmiechem. Nie trzeba było słów.

- Możemy porozmawiać o czymś innym?

- Jeśli wasza łaskawość sobie życzy.

- To delikatny i bolesny temat.

- Proszę mi wybaczyć, wasza łaskawość. Chciało się tylko potwierdzić własne przypuszczenie.

- Taka miłość jest u nas zabroniona.

- Co nie znaczy, że czasem nie istnieje, hm? - stwierdził Schweiz i stuknął swym kielichem o mój.

W tym momencie powziąłem postanowienie, że nigdy więcej się z nim nie spotkam.

Patrzył zbyt wnikliwie i mówił zbyt swobodnie o tym, co zobaczył. Po czterech dniach ujrzałem go na molo i znów zaprosiłem na obiad. Loimel nie była zadowolona z tego zaproszenia, Halum

również nie chciała przyjść, tłumacząc się jakimiś zajęciami. Kiedy nalegałem, powiedziała, że w obecności Schweiza czuje się niezręcznie. Noim szczęśliwie był w Manneranie i usiadł z nami do stołu. Piliśmy niewiele, rozmowa była sztuczna i bezosobowa dopóty, dopóki bez jakiejś zauważalnej zmiany tonu zaczęliśmy opowiadać o czasach, kiedy uciekałem z Salli w obawie przed zazdrością brata, a Schweiz mówił o tym, jak opuścił Ziemię. Gdy późnym wieczorem Ziemianin poszedł do domu, Noim powiedział z pewną przyganą:

- W tym człowieku siedzą diabły, Kinnallu.

- To tabu, dotyczące samoekspresji - spytał Schweiz, kiedy spotkaliśmy się następnym razem. - Czy możesz mi je wyjaśnić, wasza łaskawość?
- Masz na myśli zakaz mówienia "ja" i "mnie"?
- Nie tylko to, chodzi o cały charakter myślenia, który skłania was do kwestionowania "ja" i "mnie" - powiedział. - Przykazanie, które nakazuje wam sprawy prywatne zachowywać zawsze jako prywatne, i z nikim się nimi nie dzielić, poza więźnymi i czyścicielami. Zwyczaj wznoszenia wokół siebie muru, który oddziałuje nawet na waszą gramatykę.
- Masz na myśli Przymierze?
- Przymierze - odrzekł Schweiz.
- Powiadasz, że znasz naszą historię.
- W dużym stopniu.
- Wiesz, że nasi przodkowie byli twardym ludem, pochodzącym z surowej północy, przyzwyczajonym do trudów, nie uznającym luksusu i łatwizny. Przybyli na Borthana, gdyż świadomi byli skażenia i chylenia się ku upadkowi ich rodzinnego świata.
- Tak było? Mówiący myślał, iż byli oni uchodźcami, którzy schronili się tu przed prześladowaniami religijnymi.
- Uchodźcami przed rozleniwieniem i samopobłażaniem - stwierdziłem. - A przybywszy tutaj ustalili kodeks postępowania mający chronić dzieci ich dzieci przed zepsuciem.
- Przymierze.
- Tak, Przymierze. Przymierzenie, które złożyli jedni wobec drugich, przyrzeczenie, które każdy z nas składa wobec współziomków w Dzień Nazwania. Wtedy przysięgamy nie zrzucić nigdy swych ciężarów na barki innych, obiecujemy mieć silną wolę i dzielnego ducha, aby

bogowie uśmiechali się patrząc na nas. Jesteśmy ćwiczeni w odczuwaniu odrazy do demona własnego ja.

- Demona?

- Tak. Demona kusiciela, skłaniającego nas do wykorzystywania innych, zamiast polegania na własnych siłach.

- Gdzie nie ma miłości własnej, nie ma ani przyjaźni, ani dzielenia się z innymi - oświadczył Schweiz.

- Być może.

- I wtedy nie istnieje zaufanie.

- Określamy sfery odpowiedzialności za pomocą kontraktów - poinformowałem go. - Nie ma potrzeby poznawania duszy innych tam, gdzie rządzi prawo. Na Veladzie Borthanie nikt nie kwestionuje rządów prawa.

- Powiadasz, że żywicie odrazę do własnego ja, choć wydaje się, że raczej je gloryfikujecie - powiedział Schweiz.

- W jaki sposób?

- Żyjąc z dala od siebie, każdy w twierdzy własnego rozumu. Dumni. Nieugięci.

Wyniośli. Nie troszczący się o nikogo. Toż to królestwo własnego ja, a nie pogarda dla niego!

- Stawiasz rzeczy na głowie - zaprotestowałem. - Fałszywie tłumaczysz nasze zwyczaje, wydaje ci się, że mówisz mądrze.

- Czy zawsze tak było - spytał Schweiz - od początków zasiedlania Velady Borthanu?

- Tak - przyznałem. - Tylko nie wśród tych malkontentów, o których wiesz, tych, co zbiegli na południowy kontynent. Reszta z nas zachowuje Przymierze. Nasze zwyczaje stały się bardziej surowe, obecnie nie wolno nam mówić w pierwszej osobie liczby pojedynczej, jest to bowiem nieprzyzwoite obnażanie własnego ja - ale w czasach średniowiecznych można było. Z

drugiej strony, pewne rzeczy uległy złagodzeniu. Niegdyś wystrzegaliśmy się nawet ujawniać obcym swoje imiona. Mówiliśmy do siebie tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

Teraz istnieje więcej zaufania.

- Ale nie za dużo.

- Nie za dużo - zgodziłem się.

- Nie sprawia ci to bólu? Każdy człowiek odgradzony od innych? Nigdy nie mówisz sobie, że musi istnieć szczęśliwszy sposób życia dla ludzi?

- Zachowujemy Przymierze.

- Z łatwością, czy z trudem?

- Z łatwością - powiedziałem. - Ból nie jest taki wielki, gdy weźmie się pod uwagę, że mamy więźnych krewnych, wobec których wolni jesteśmy od reguły bezosobowości. To samo odnosi się do naszych czyścicieli.

- Wobec innych jednak nie możesz narzekać, nie możesz zrzucić smutku i trosk z duszy, nie możesz szukać ich rady, ani powiedzieć im o swych pragnieniach i potrzebach, opisać swe marzenia i fantazje. Nie wolno ci mówić o niczym, jak tylko o zimnych, bezosobowych sprawach. - Schweizem wstrząsnął dreszcz. - Wybacz, wasza łaskawość, ale mówiący uważa to za odrażający sposób życia. On sam bezustannie szuka ciepła i miłości, kontaktu z człowiekiem, żeby móc się dzielić, otwierać nawzajem. Ten świat, wydaje się czcić wartości wprost przeciwne do tych, które mówiący najbardziej ceni.

- Dużo miałeś szczęścia - spytałem - w odnajdywaniu ciepła, miłości i kontaktu z człowiekiem?

Schweiz wzruszył ramionami. - Nie zawsze było to łatwe.

- My tu nigdy nie odczuwamy samotności, bo mamy więźnych krewnych. Z Halum, z Noimem, z takimi jak oni, którzy są osłodą życia, na co komu gromada obcych?

- A jeśli twoich więźnych nie ma akurat pod rękę? Jeśli ktoś wędruje, powiedzmy, z dala od nich, gdzieś w śniegach Glinu?

- Wtedy cierpi. I umacnia się jego charakter. Są to jednak sytuacje wyjątkowe. Słuchaj, Schweiz, nasz system może zmuszać nas do izolacji, ale za to gwarantuje nam miłość.

- Ale nie miłość męża dla żony, ani miłość ojca do dziecka.

- Być może.

- Nawet miłość więźnych krewnych jest ograniczona.

Sam przecież przyznałeś, że czujesz tęsknotę do swej więźnej siostry Halum; taką tęsknotę, która nie może być...

Przerwałem mu ostro: - Zmieńmy temat. - Krew napłynęła mi do twarzy i zrobiło mi się gorąco.

Schweiz skinął głową i uśmiechnął się niewinnie.

- Wybacz, wasza łaskawość. Rozmowa stała się zbyt gwałtowna. Brak kontroli, ale nie było zamiaru zranienia cię.

- W porządku.

- Odnośnik był zbyt osobisty. Jest się zawstydzonym.

- Nie zamierzałeś nic złego - powiedziałem. Czuję wyrzuty sumienia z powodu tego wybuchu. Ugodził mnie w bolesne miejsce, ale zareagowałem silnie, zbyt gwałtownie.

Dolałem wina. Tym razem wypiliśmy w milczeniu.

Potem Schweiz powiedział: - Można wysunąć pewną propozycję, wasza łaskawość?

Można zaprosić cię, byś uczestniczył w eksperymencie, który może okazać się interesujący i wartościowy?

- Mów dalej - poprosiłem, marszcząc brwi, wciąż zakłopotany.

- Wiesz - rozpoczął - że tu obecny od dawna miał dręczącą świadomość swej samotności

we wszechświecie i że poszukiwał, bez skutku, jakiegoś sposobu umożliwiającego zrozumienie jego związku z tym wszechświatem. Dla ciebie sposobem tym jest nabożna wiara, ale mówiącemu to nie wystarczyło ze względu na jego nieszczęsną skłonność do całkowitego racjonalizmu. Nie może on dotrzeć do głębszego pojęcia "przynależności" jedynie poprzez same słowa, modlitwę, obrzędy. Jak ty to możesz czynić - czego ci się zazdrości.

Rozmawiający z tobą czuje się w potrzasku, odizolowany, zamknięty w sobie, skazany na metafizyczną samotność: człowiek na boku, człowiek zdany na siebie. Nie uważa się tego stanu bezbożności za dający zadowolenie albo pożądany. Wy na Borthanie potraficie znosić to uczuciowe odosobnienie, jakie sobie narzucacie, macie bowiem pociechę w swej religii, macie czyścicieli i to mistyczne połączenie z bóstwem, do jakiego prowadzi akt oczyszczenia.

Mówiący do ciebie nic takiego nie posiada.

- Wiele już razy dyskutowaliśmy o tym - oświadczyłem. - Wspomniałeś o jakiejś propozycji, o jakimś eksperymencie.

- Miej cierpliwość, wasza łaskawość. Musi nastąpić pełne wyjaśnienie, punkt po punkcie.

Schweiz obdarzył mnie swym najbardziej czarującym uśmiechem i skierował na mnie oczy rozpalone jak u nawiedzonego, jego ręce poruszały się niespokojnie w powietrzu.

Odezwał się: - Być może wiadome jest waszej łaskawości, że istnieją pewne chemiczne substancje, narkotyki, tak, nazwijmy je narkotykami, które umożliwiają jednostce otwarcie się na nieskończoność, albo przynajmniej dają takie złudzenie, i umożliwiają króciutkie, jakby próbne wejrzenie w mistyczne królestwa tego, co nieuchwytnie, rozumem. Hm? Narkotyki znane od tysięcy lat, używane były już w czasach, nim Ziemianie zawędrowali na gwiazdy.

Wykorzystywano je podczas starodawnych obrzędów religijnych. Przez innych stosowane były jako namiastka religii, jako świecki sposób wierzenia, brama do nieskończoności dla takich jak

ten, co mówi, dla takich, co nie mogą tam dostać się w inny sposób.

- Takie narkotyki zabronione są na Veladzie Borthanie - oświadczyłem.

- Oczywiście, oczywiście! Dla was bowiem stanowiłyby sposób odstępowania od przyjętych zachowań religijnych. Po co tracić czas u czyściciela, jeśli można rozprężyć duszę za pomocą pigułki? Tu wasze prawo jest mądre. Nie przetrwałoby wasze Przymierze, gdybyście zezwolili na używanie tych preparatów chemicznych.

- Twoja propozycja, Schweiz - ponaglałem go.

- Trzeba ci najpierw powiedzieć, że przyjmowało się te narkotyki i nie uważa się ich za całkowicie zadowalające. To prawda, że otwierają nieskończoność. Prawda, że pozwalają zatopić się w boskości. Ale tylko na moment, w najlepszym przypadku na kilka godzin. A potem jest się znów samotnym, jak poprzednio. To tylko złudzenie otwarcia duszy, a nie samo otwarcie. Na tej planecie natomiast produkuje się narkotyk, który może spowodować ten właściwy stan, o który chodzi.

- Co takiego?

- Na Sumarze Borthanie - oznajmił Schweiz - mieszkają ci, którzy zbiegli spod władzy Przymierza. Mówiący słyszał, że są oni dzikusami, chodzą nago i żywią się korzeniami, nasionami i rybami. Otoczka cywilizacji spadła z nich i powrócili do stanu barbarzyństwa. Dowiedział się tego od pewnego podróżnika, który niedawno odwiedził ten kontynent. Dowiedział się też, że na Sumarze Borthanie przyjmują narkotyk sporządzony ze sproszkowanego korzenia jakiejś rośliny, który jednemu umysłowi umożliwia wgląd w drugi - jeden człowiek może odczytać najbardziej tajemne myśli drugiego. To absolutnie sprzeciwia się waszemu Przymierzcu, rozumiesz? Oni znają się wzajemnie aż do głębi duszy dzięki narkotykowi, który spożywają.

- Słyszało się różne historie o dzikości tych ludzi - powiedziałem.

Schweiz zbliżył swą twarz tuż do mojej. - Mówiący musi się przyznać, że kusi go ten sumarański narkotyk. Ma nadzieję, że gdyby mógł wejrzeć w umysł innego człowieka, mógłby doświadczyć tej komunii dusz, której tak długo szuka. Mogłoby to być mostem do nieskończoności, do duchowej transformacji. W poszukiwaniu takiego objawienia próbował już wielu substancji. Dlaczego by nie tej?

- O ile ona istnieje.

- Istnieje, wasza łaskawość. Ten podróżnik, który przybył z Sumary Borthanu, przywiózł jej trochę ze sobą do Manneranu i sprzedał zaciekawionemu Ziemianinowi. - Schweiz wydobył z kieszeni małą, błyszczącą kopertę i wyciągnął w moją stronę. Zawierała niewielką ilość jakiegoś białego proszku, mógł to być cukier. - Oto jest - powiedział.

Wpatrywałem się w tę torebkę, jakby to była flaszka z trucizną.

- Twoja propozycja? - zażądałem odpowiedzi. - Twój eksperyment, Schweiz?

- Zażyjmy razem sumarański narkotyk.

Mógłbym wytrącić ten proszek z jego ręki i kazać go aresztować. Mógłbym rozkazać mu, żeby odszedł ode mnie i nigdy więcej się nie zbliżył. Mógłbym ostatecznie zawołać, że to niemożliwe: nawet nie dotknę tej substancji. Nie zrobiłem jednak nic podobnego. Zamiast tego przybrałem pozę chłodnego intelektualisty, wykazującego niedbałe zainteresowanie, pozostałem spokojny i prowadziłem z nim lekką rozmowę. W ten sposób ośmieliłem go, żeby wciągnął mnie głębiej w to bagno.

Powiedziałem: - Myślisz, że ktoś jest na tyle lekkomyślny, żeby naruszyć Przymierze?

- Odpowiadający ci myśli, że jesteś człowiekiem o silnej woli i dociekliwym umyśle, który nie ominię sposobności zdobycia wiedzy.

- Nielegalnej sposobności zdobycia wiedzy?

- Często dążenie do zdobycia prawdziwej wiedzy bywa nielegalne. Weźmy choćby religię” Przymierza: czy twoi przodkowie nie zostali wypędzeni z innych światów za to, że ją praktykowali?

- Takie analogie nie budzą zaufania. Nie mówimy teraz o religii. Mówimy o niebezpiecznym narkotyku. Chcesz, żeby ktoś wyrzekł się tego, co praktykował przez całe życie, otworzył się przed tobą, jak nigdy nie zrobił tego nawet wobec więznej rodziny, nawet wobec czyściciela.

- Tak.

- I wyobrażasz sobie, że ktoś chciałby zrobić coś takiego?

- Mówiący wyobraża sobie, że gdybyś zdecydował się na tę próbę, mógłbyś doznać przemiany i oczyszczenia - oświadczył Schweiz.

- Ktoś może równie dobrze wypaczyć się i doznać obrażeń.

- Wątpliwe. Wiedza nigdy nie krzywdzi duszy, tylko oczyszcza ją z brudu i narośli.

- Łatwo ci mówić, Schweiz, ale pomyśl: czy wierzysz, że to możliwe powierzyć swoje najgłębsze tajemnice obcemu, cudzoziemcowi, przybyszowi z innego świata?
- A dlaczego nie? Lepiej obcemu niż przyjacielowi, lepiej Ziemianinowi niżli współziomkowi. Nie masz się czego obawiać, Ziemianin nie będzie cię sądził według standardów Borthana. Nie będzie żadnej krytyki ani negacji tego, co kłębi się w twojej głowie. A zresztą Ziemianin opuści tę planetę za rok lub dwa i jakie wtedy będzie miało znaczenie, że kiedyś twój umysł zatopił się w jego umyśle?
- Dlaczego tak ci zależy, żeby doszło do tego scalenia umysłów?
- Od ośmiu obrotów księżyca narkotyku ten znajduje się w kieszeni mówiącego, a on poszukuje kogoś, z kim mógłby go podzielić. Poszukiwanie to wydawało się bezowocne, ale wtedy spotkał ciebie, dojrzał twoje możliwości, twą siłę i skrywaną buntowniczość...
- Twój rozmówca nie uważa się za buntownika, Schweiz, całkowicie akceptuje swój świat.
- Czy można poruszyć delikatną sprawę twego stosunku do siostry więźnej? Wydaje się to symptomem zasadniczego niezadowolenia z ograniczeń obowiązujących w tutejszym społeczeństwie.
- Może tak, a może nie.
- Poznasz lepiej sam siebie po skosztowaniu sumarańskiego narkotyku. Będziesz miał mniej wątpliwości, a więcej pewności.
- Jak możesz tak mówić, skoro sam nie zażywałeś tego narkotyku?
- Tak się wydaje.
- To niemożliwe - oświadczyłem.
- Eksperyment. Sekretna umowa. Nikt się nie dowie.
- Niemożliwe.

- Czy to znaczy, że obawiasz się podzielić z kimś swą duszą?

- Nauczono mówiącego, że takie dzielenie się jest bezbożne.

- Ta nauka może być niesłuszna - stwierdził. - Nigdy nie czułeś pokusy? Nigdy, wasza łaskawość, w czasie oczyszczania nie przeżyłeś takiej ekstazy, jaką chciałbyś przeżyć z kimś, kogo kochasz?

Znów ugodził mnie w bolesne miejsce. - Ma się czasem takie uczucia - przyznałem. -

Siedząc przed jakimś szpetnym czyścicielem człowiek wyobraża sobie, że to zamiast niego jest Noim, albo Halum i że proces oczyszczania się jest dwutorowy...

- A więc już pragniesz tego narkotyku, choć sobie tego nie uświadamiasz!

- O, nie, nie.

- Być może - zasugerował Schweiz - przeraża cię myśl otwarcia się przed obcym, a nie sam zamysł otwarcia się. Może wolałbyś przyjąć ten narkotyk z kimś innym, a nie z Ziemianinem, co? Ze swym więźnym bratem? Z więźną siostrą?

Zastanowiłem się. Gdyby tak usiąść z Noimem, moim drugim ja, dotrzeć do naszych umysłów na płaszczyźnie, jaka dotychczas nigdy nie była nam dostępna? Albo z Halum... albo z Halum...

Schweitz, ty kusicielu!

Pozwolił mi przez chwilę myśleć, a potem odezwał się:

- Podoba ci się ten pomysł? No więc proszę. Wykorzystaj tę okazję. Weź, zażyj, podziel się z kimś, kogo kochasz. - Wcisnął mi tę kopertę do ręki. Przeraziło mnie to, wypuściłem ją, jakby mnie parzyła. Spadła na stół.

- Ależ to pozbawi cię długo wyczekiwanego dopełnienia - powiedziałem.

- Mniejsza o to. Można się jeszcze postarać. Może znajdzie się innego partnera. A wasza łaskawość dozna ekstazy. Nawet Ziemianin może być bezinteresowny. Proszę, weź to, wasza

łaskawość. Weź to.

Spojrzałem na niego ponuro. - A może, Schweiz, to całe twoje opowiadanie, że sam przyjmiesz narkotyk, to tylko podstęp? Może chodzi tylko o znalezienie kogoś w rodzaju królika doświadczalnego, żebyś mógł przekonać się, czy narkotyk jest bezpieczny, zanim sam go przyjmiesz?

- Opacznie rozumujesz, wasza łaskawość.

- A może nie. Może właśnie do tego zmierzałeś. - Zobaczyłem siebie, jak podaję narkotyk Noimowi, jak Noim pada i wije się w konwulsjach, zanim ja zdołałem donieść dawkę do swych warg. Odsunąłem kopertę w stronę Schweiza. - Nie. Propozycja została odrzucona. Ceni się twą wielkoduszność, Schweiz, ale nie będzie się przeprowadzało doświadczeń na tych, których się kocha.

Twarz zrobiła mu się purpurowa. - Ta sugestia nie jest niczym usprawiedliwiona, wasza łaskawość. Propozycja zrezygnowania z własnej dawki narkotyku wysunięta została w dobrej wierze i nie bez uszczerbku dla własnych zamierzeń. Skoro jednak ją odrzucasz, powróćmy do pierwotnego planu. My dwaj potajemnie zażyjemy ten narkotyk, żeby przekonać się, jakie ma właściwości. Zobaczmy jak działa i jakie nam otworzy drzwi. To doświadczenie na pewno da nam wiele.

- Wiadomo, co da tobie - powiedziałem. - Ale jaki jest w tym cel dla...

- Dla waszej łaskawości? - Schweiz zachichotał i stuknął mnie pod żebro. -

Przeprowadzając to doświadczenie dowie się wasza łaskawość, że narkotyk jest bezpieczny w użyciu, jaka powinna być dawka, a nade wszystko, że nie trzeba bać się ujawnienia swego wnętrza. A potem, po otrzymaniu dalszych dostaw narkotyku, będziesz odpowiednio przygotowany, żeby wykorzystać go do tego, przed czym obecnie powstrzymuje się strach. Będziesz mógł przyjąć narkotyk razem z tą osobą, którą naprawdę kochasz. Dzięki niemu

będziesz mógł otworzyć swój umysł wobec więźnej siostry, Halum, a ona otworzy się przed tobą.

Istnieje taka legenda, którą opowiada się dzieciom uczącym się Przymierza. Legenda o czasach, kiedy bogowie chodzili jeszcze po świecie w ludzkiej postaci, a na Borthana nie dotarli jeszcze pierwsi przybysze. Bogowie nie wiedzieli wtedy, że są bogami, bo nie było wokół żadnych śmiertelników, z którymi mogliby się porównać i dlatego byli istotami niewinnymi, nieświadomymi swej potęgi. Żyli sobie całkiem zwyczajnie. Zamieszkiwali w Manneranie (ta właśnie przypowieść o tym, że był tu kiedyś dom bogów, leży u podstaw pretensji Manneranu do szczególnej świętości), żywili się jagodami i liśćmi, chodzili nago, a tylko w czasie łagodnej mannerańskiej zimy narzucali na ramiona skóry zwierząt. Wcale nie wyglądali na bogów.

Pewnego dnia, dwoje z tych bogów niepodobnych do bogów postanowiło wybrać się na wędrowkę i zobaczyć, jak wygląda świat. Pomysł takiej podróży nasunął się najpierw bogu, którego imię brzmi Kinnall i który obecnie jest bogiem opiekującym się podróżnikami. (Tak, to po nim noszę swoje imię). Ten to Kinnall poprosił boginią Thirge, aby mu towarzyszyła. Teraz bogini ta ma pod swą pieczęią zakochanych. Thirga podzielała ciekawość Kinnalla i wyruszyli w drogę.

Z Manneranu powędrowali na zachód wzdłuż południowego wybrzeża, aż doszli do Zatoki Sumar. Potem skręcili na pomoc i przeszli przez Przełęcz Stroin, tuż koło tego miejsca, gdzie kończą się Góry Huishtor. Znaleźli się na Podmokłej Nizinie, która nie bardzo im się podobała, a potem zapuścili się na Zamarzniętą Nizinę i tam nieomal zginęliby z zimna. Zawrócili więc na południe i znów poszli na zachód, aż dotarli do zboczy Gór Threishtor. Wydawało się, że nie zdołają przebyć tego potężnego pasma. Najpierw posuwali się u jego podnóża kierując się na południe, ale nie mogli dostać się na Wypaloną Nizinę i dopiero po pokonaniu wielu trudności przeszli przez Bramę Threish i dotarli do zimnej, mglistej prowincji

Threish.

Pierwszego dnia w Threish bogowie odkryli miejsce, gdzie z gór spływał strumień. W skałach znajdowała się jaskinia, a wejście do niej otaczały kamienie, tak błyszczące, że wprost oślepiały oczy, lśniły tysiącem barw, bezustannie pulsujących i zmieniających się: czerwoną, zieloną i fioletową, kości słoniowej, turkusową i wieloma innymi. Płynąca woda również migotała wszystkimi możliwymi kolorami. Strumień jednak po przebyciu krótkiej drogi wpadał do większego potoku i tam wszystkie kolory ginęły.

Kinnall odezwał się: - Tak długo już wędrujemy przez Wypaloną Nizinę i gardła wyschły nam z pragnienia. Może napijemy się? - Thirga odparła: - Tak, napijmy się - i uklękła obok skały, podstawiła dłonie, napełniła je połyskującą wodą i wlała do ust. Kinnall napił się również, a smak tej wody był tak słodki, że zanurzyli twarze w strumieniu i pili do woli. Pijąc, zaczęli odczuwać dziwne sensacje, coś działo się z ich ciałami i w ich umysłach.

Kinnall spojrzał na Thirgę i zdał sobie sprawę, że widzi jej myśli i zna jej uczucia, a były to uczucia miłości do niego. Ona spojrzała na niego i też czytała jego myśli. - Jesteśmy teraz inni - powiedział Kinnall, ale właściwie słowa były zbędne, bo Thirga zrozumiała go natychmiast, zanim cokolwiek powiedział. - Nie, nie jesteśmy teraz inni - oświadczyła - tylko potrafimy wykorzystywać te dary, które mieliśmy zawsze.

Była to prawda. Posiadali bowiem wiele darów, z których dotychczas nie korzystali.

Mogli unosić się w powietrzu i wędrować jak ptaki, mogli zmieniać kształt swego ciała, mogli przemierzać Wypaloną Nizinę i Zamarzniętą Nizinę nie odczuwając znużenia, mogli żyć bez jedzenia, mogli powstrzymać starzenie się ciała i zachować młodość i mogli mówić nie wypowiadając słów. Wszystko to mogli robić, zanim przybyli do źródła, ale nie wiedzieli o tym, a teraz zdolni byli wykorzystywać te wszystkie umiejętności, którymi zostali obdarzeni od urodzenia. Pijąc wodę z lśniącego źródła nauczyli się, jak być bogami.

Sami jednak nie wiedzieli jeszcze, że są bogami.

Po pewnym czasie przypomnieli sobie o tych, którzy pozostali w Manneranie i pofrunęli, aby powiedzieć im o źródle. Podróż trwała zaledwie chwilę. Przyjaciele zgromadzili się, kiedy Kinnall i Thirga opowiadali o cudownym źródle i demonstrowali, jaką są teraz obdarzeni potęgą. Kiedy skończyli, wszyscy w Manneranie postanowili udać się do tego źródła.

Uformowała się długa procesja przez Przełęcz Stroin i przez Podmokłą Nizinę, aż do wschodnich zboczy gór Threishtor i do Bramy Threish. Kinnall i Thirga każdego dnia unosili się nad nimi i wskazywali im drogę. Wreszcie doszli do źródła i po kolei pili z niego, stając się bogami. Potem rozproszyli się, niektórzy powrócili do Manneranu, inni poszli do Salli, a jeszcze inni udali się nawet do Sumary Borthanu, albo na dalsze kontynenty - Umbis, Dabis i Tibis. Kinnall i Thirga osiedlili się koło źródła na wschodzie w prowincji Threish i z radością poznawali nawzajem własne dusze.

Minęło wiele lat i statek gwiazdny naszych przodków wylądował w Threish, na zachodnim wybrzeżu. Nareszcie na Borthana przybyli ludzie. Zbudowali niewielką osadę i zajęli się gromadzeniem pożywienia. Pewien człowiek imieniem Digant, który żył między osadnikami, zapuścił się w głąb lasu w poszukiwaniu zwierzyny łownej. W lesie zgubił się, wędrował tu i tam, aż doszedł do miejsca, gdzie żyli Kinnall i Thirga. Nigdy nie widział istot takich jak oni, a oni nigdy nie widzieli nikogo, kto byłby do nich podobny.

- Co z was za stworzenia? - zapytał. Odpowiedział mu Kinnall: - Kiedyś byliśmy zupełnie zwyczajni, ale teraz jest nam o wiele lepiej, nie starzejemy się, możemy latać szybciej niż ptaki, nasze dusze nie mają dla siebie tajemnic i możemy przybierać taki kształt, jaki nam się spodoba.

- W takim razie jesteście bogami! - wykrzyknął Digant.

- Bogami? A jacy są bogowie?

I Digant wytłumaczył im, że on jest człowiekiem, bo nie ma takich mocy jak oni. Ludzie muszą używać słów, żeby mówić i nie mogą ani fruwać, ani zmieniać swych kształtów, starzeją się z każdym obrotem planety wokół słońca, aż nadejdzie czas śmierci. Kinnall i Thirga słuchali uważnie, porównując się z Digantem, a kiedy przestał mówić, wiedzieli, że to prawda, że on jest człowiekiem, a oni bogami.

- Niegdyś sami byliśmy prawie tacy jak ludzie - przyznała Thirga. - Odczuwaliśmy głód, starzeliśmy się i porozumiewaliśmy się za pomocą słów, stawialiśmy jedną nogę przed drugą, żeby przenosić się z miejsca na miejsce. Z nieświadomości żyliśmy jak ludzie, gdyż nie znaliśmy tkwiącej w nas potęgi. Ale potem wszystko się zmieniło.

- Dlaczego się zmieniło? - zapytał Digant.

- Dlatego - odparł w swej niewinności Kinnall - że napiliśmy się z połyskującego źródła i woda z niego otworzyła nam oczy, poznaliśmy swoją moc i staliśmy się jako bogowie. To wszystko.

Wtedy Diganta ogarnęło wielkie podniecenie, bo powiedział sobie, że on też może napić się ze źródła i osiągnąć boskość. Po powrocie do osadników na wybrzeżu zatrzymałby dla siebie tajemnicę źródła, a oni czciliby go jako ich żyjącego boga i darzyli szacunkiem, bo inaczej zniszczyłby ich. Digant jednak nie śmiał poprosić Kinnalla i Thirgi, żeby zezwolili mu napić się ze źródła, gdyż bał się, że mu odmówią z zazdrości o swoją boskość. Obmyślił więc plan, aby jakoś się ich pozbyć.

- Czy to prawda - spytał - że podróżujecie tak szybko, że możecie w ciągu jednego dnia odwiedzić wszystkie części tego świata?

Kinnall zapewnił go, że to prawda.

- Trudno w to uwierzyć - oświadczył Digant.

- Możemy ci dowieść - powiedziała Thirga, dotknęła ręki Kinnalla i oboje unieśli się w

powietrze. Popłynęli na najwyższy szczyt gór Threihor i zerwali tam śnieżne kwiaty, potem zniżyli się na Wypaloną Nizinę i wzięli garść czerwonej ziemi, na Podmokłej Nizinie nazbierali ziół, koło Zatoki Sumar utoczyli trochę soku z krwistego drzewa, a na wybrzeżu Zatoki Polarnej odrąbali kawałek wiecznego lodu. Potem przelecieli nad szczytem świata do mroźnego Tibisu i rozpoczęli podróż nad dalekimi kontynentami, aby z każdego z nich przynieść coś wąpiącemu Digantowi.

W chwili gdy Kinnall i Thirga wyruszyli w drogę, Digant pognał do cudownego źródła.

Wahał się przez krótki moment w obawie, że bogowie mogą nagle powrócić i ukarać go srogo za jego śmiałość. Nie wrócili jednak i Digant zanurzył twarz w strumieniu, pijąc chciwie wodę. Myślał sobie, że teraz też będzie jak bóg. Wypił tyle mieniającej się wody, że zakręciło mu się w głowie, zachwiał się i upadł na ziemię.

Czy to stan boskości, zastanawiał się? Próbował pofrunąć, ale nie mógł. Starał się zmienić swój kształt, też mu się nie udało. Usiłował stać się młodszy i nie powiodło mu się. Nie zdołał uczynić żadnej z tych rzeczy, bo był człowiekiem, a nie bogiem, a źródło nie mogło przemienić człowieka w boga, mogło tylko pomóc bogu, by zdał sobie sprawę z całej swej potęgi.

Ale jeden dar otrzymał Digant od źródła - dar umożliwiający mu wejście w umysły innych ludzi, którzy osiedlili się w Treish. Kiedy tak leżał na ziemi, odrętwiały i zawiedziony, posłyszał delikatny dźwięk wewnątrz głowy, zaczął się przysłuchiwać i zdał sobie sprawę, że to myśli jego przyjaciół. Potem znalazł sposób, żeby wzmocnić ten dźwięk i wszystko słyszeć wyraźnie: tak, to były myśli jego żony, a to jego siostry, a to były myśli męża siostry i Digant mógł je wszystkie poznać, również najtajniejsze myśli innych ludzi. To jest boskość, powiedział sobie. Zaglądał głęboko w ich umysły, wydobywając wszelkie sekrety. Stopniowo rozszerzał zakres swej mocy i mógł już równocześnie połączyć się z każdym umysłem. Poznał

teraz skryte zakątki ich dusz i wiedza ta oraz świadomość nowych mocy napełniła go taką dumą, że wysłał do tych wszystkich umysłów posłanie: - Słuchajcie głosu Diganta. To Digant, bóg, którego macie czcić.

Kiedy ten straszny głos do nich doszedł, wielu osadników w Threish padło martwych z przerażenia, wielu postradało zmysły, a inni biegali płacząc i wykrzykując: Digant opanował nasze umysły! Digant opanował nasze umysły! A fale strachu i bólu, jakie z nich promieniowały, były tak silne, że sam Digant ogromnie cierpiał i wpadł w odrętwienie, ale jego oszołomiony umysł nie przestawał wołać wielkim głosem: Słuchajcie głosu Diganta; to Digant, bóg, którego macie czcić. Za każdym razem rozlegał się wielki płacz i wielkie rzesze osadników umierały, a jeszcze więcej traciło rozum. Digant, z powodu zamieszania umysłów, jakie spowodował, skręcał się z bólu, trząsł w śmiertelnej udreće i nie był już w stanie kontrolować mocy swego mózgu.

Kiedy to się stało, Kinnall i Thirga przebywali w Dabis.

Dobywali z mokradeł trójgłowego robaka, żeby go pokazać Digantowi. Wycie umysłu Diganta pobiegło przez świat, docierając nawet do Dabisu. Kinnall i Thirga, gdy je usłyszeli, porzucili swe zajęcia i pospieszyli z powrotem do Threish. Znaleźli Diganta bliskiego śmierci z nieomal doszczętnie wypalonym mózgiem, a osadników z Threish nieżywych lub oszalałych - i od razu poznali, co się stało. Położyli natychmiast kres życiu Diganta i wreszcie w Threish nastąpiła cisza. Potem weszli pomiędzy ofiary samozwańczego boga, wskrzesili wszystkich zmarłych i uleczyli zranionych. A na końcu zamknęli otwór w zboczu góry pieczęcią, której nie będzie można złamać, stało się bowiem dla nich jasne, że z tego źródła nie wolno pić ludziom, a jedynie bogom. Mieszkańcy Threish upadli na kolana przed tym dwojgiem i pytali z nabożną czcią: - Kim jesteście? - a Kinnall i Thirga odpowiedzieli: - Jesteśmy bogami, a wy jesteście tylko ludźmi. I to było początkiem końca niewinności bogów. Potem zostało zakazane ludziom

poszukiwanie sposobów bezpośredniej rozmowy umysłów, a to z powodu szkód, jakie wyrządził Digant. Zostało również zapisane w Przymierzu, że dusza każdego człowieka musi pozostać oddzielona od dusz innych ludzi, gdyż tylko bogowie mogą łączyć dusze nie niszcząc ich - a my nie jesteśmy bogami.

Znalazłem oczywiście wiele powodów, by odsunąć moment zażycia sumarańskiego narkotyku w towarzystwie Schweiza. Najpierw Najwyższy Sędzia Kalimol pojechał na polowanie i powiedziałem Schweizowi, że nawał pracy spowodowany jego nieobecnością uniemożliwia mi w tej chwili dokonanie tego eksperymentu. Kalimol powrócił, zachorowała Halum. Wykorzystałem troskę o jej zdrowie jako następną wymówkę. Halum wyzdrowiała, Noim zaprosił mnie i Loimel, byśmy wypoczęli w jego posiadłości na południu Salli. Wróciliśmy z Salli, wybuchła wojna między Sallą a Glinem i narosło wiele skomplikowanych spraw morskich, które należało rozwiązać w Urzędzie Sądowo-Administracyjnym. I tak mijały tygodnie. Schweiz stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Czy w ogóle mam zamiar zażyć ten narkotyk? Nie potrafiłem dać mu odpowiedzi. Sam nie wiedziałem. Bałem się. Ale wciąż odczuwałem pokusę, którą we mnie zaszczeplił. Nabrać cech boskich, by móc wejrzeć w duszę Halum...

Poszedłem do Kamiennej Kaplicy, poczekałem aż Jidd mnie dojrzy i dokonałem oczyszczenia. Ukryłem jednak przed Jiddem każdą wzmiankę o Schweizu i narkotyku, bo bałem się ujawnić te niebezpieczne zachcianki. Dlatego oczyszczenie nic nie dało, nie otworzyłem bowiem całkowicie duszy przed czyścicielem. Opuściłem Kamienną Kaplicę z ciężkim sercem, napięty i ponury. Widziałem teraz wyraźnie, że muszę podporządkować się Schweizowi, że to, co on proponuje, będzie dla mnie ciężką próbą, przez którą muszę przejść, bo już nie ma dla mnie żadnej ucieczki. On poznał mój prawdziwy charakter. Pod maską pobożności kryłem twarz zdrajcy Przymierza. Poszedłem do niego.

- Dzisiaj - powiedziałem. - Zaraz.

Potrzebowaliśmy

jakiegoś

ustronnego

miejsca.

Portowy

Urząd

Administracyjno-Sądowniczy posiada wiejski dom w górach, o dwie godziny na północny-zachód od miasta Manneranu, gdzie podejmuje się przybywających z wizytą dygnitarzy i negocjuje umowy handlowe. Wiedziałem, że obecnie dom ten był wolny i zarezerwowałem go na trzy dni. W południe spotkałem Schweiza i służbowym samochodem wywiozłem go szybko z miasta. W domu zastaliśmy troje służby - kucharkę, pokojową i ogrodnika. Powiedziałem im, że odbędą się tu niezmiernie delikatne rozmowy, nie wolno im więc pod żadnym pozorem przerywać nam i przeszkadzać. Potem Schweiz i ja zamknęliśmy się w części mieszkalnej. - Będzie lepiej - powiedział - jeśli dziś wieczorem powstrzymamy się od jedzenia. Wskazane też, żeby ciało było absolutnie czyste.

W domu była doskonała łaźnia parowa. Szorowaliśmy się energicznie, a po wyjściu wdzialiśmy luźne, wygodne, jedwabne szaty. Oczy Schweiza stały się błyszczące i szkliste, jak zawsze, kiedy był bardzo podniecony. Ja czułem się niezręcznie, bałem się, zaczynało mi świtać w głowie, że dziś wieczór doznam strasznej krzywdy. Uważałem się za kogoś, kto ma niebawem poddać się operacji, której szansę powodzenia są znikome. Zawładnęła mną ponura rezygnacja: sam tego chciałem, znalazłem się tutaj, by skoczyć na łeb i szyję, by wreszcie z tym skończyć.

- Ostatni moment - powiedział Schweiz, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. - Możesz

się jeszcze wycofać.

- Nie.

- Rozumiesz jednak, że istnieje pewne ryzyko? Obaj nie mamy żadnych doświadczeń z tym narkotykiem.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Zakłada się także, iż poddajesz się temu dobrowolnie, bez żadnego przymusu?

Rzekłem: - Po co ta zwłoka, Schweiz? Wyjmijże ten swój napój.

- Chciano się tylko upewnić, że wasza łaskawość jest w pełni przygotowana na wszelkie możliwe konsekwencje.

Odpowiedziałem mu tonem sarkastycznym: - Może powinniśmy podpisać kontrakt, jak to się robi, zwalniający cię od wszelkich odpowiedzialności na wypadek, gdyby mówiący miał zamiar później wysunąć przeciwko tobie oskarżenie o spowodowanie strat osobowości...

- Jeśli wasza łaskawość sobie życzy. Mówiący uważa, że nie jest to konieczne.

- To były żarty - zapewniłem go. Byłem niespokojny. - Czy ty się też denerwujesz, Schweiz? Masz jakieś wątpliwości?

- Decydujemy się na śmiały krok.

- A więc zróbmy go, nim minie ta chwila. Wyjmij napój, Schweiz. Daj go.

- Dobrze - powiedział i patrzył mi długo w oczy. Potem zaklaskał w ręce z dziecięcą radością i roześmiał się triumfalnie. Zrozumiałem, jak mną zręcznie pokierował. Teraz ja prosiłem go o ten narkotyk! Szatan, istny szatan!

Z podróżnej torby wyjął torebkę białego proszku. Poprosił o wino, kazałem więc przynieść z kuchni dwie butelki ochłodzonego, złotego mannańskiego. Wsypał połowę zawartości torebki do mojej butelki, a połowę do swojej. Proszek rozpuścił się natychmiast, przez moment tylko widniała w butelce szara smużka, ale zniknęła, nie pozostawiając żadnego śladu.

Chwyciliśmy swoje butelki. Pamiętam, że spojrzałem poprzez stół na Schweiza i obdarzyłem go przelotnym uśmiechem. Mówił mi potem, że był to blady uśmiech nieśmiałej dziewczicy na pierwszej randce z kochankiem.

- Trzeba wypić duszkiem - powiedział Schweiz i przełknął swoje wino, a ja wypilem swoje. Usiadłem i sądziłem, że narkotyk zaraz podziała. Poczułem lekki zawrót głowy, ale to tylko zamroczyło mnie wino wypite na pusty żołądek. - Kiedy zaczniesz działać? - spytałem. Schweiz wzruszył ramionami. - Jeszcze nie teraz - odrzekł. Czekaliśmy w milczeniu.

Próbowałem zmusić swoje myśli, by wybiegły naprzeciw i spotkały się z jego myślami, ale nic z tego nie wyszło. Zwiększyło się natomiast natężenie dźwięków słyszanych w pokoju:

skrzypienie podłogi, bzykanie owadów za oknem, delikatny szum elektrycznego oświetlenia. -

Czy możesz wytłumaczyć - odezwałem się chrapliwie - w jaki sposób ma działać ten narkotyk?

- Schweiz odparł: - Można powiedzieć to, co się samemu słyszało. Mianowicie, że potencjalna siła wiążąca jeden umysł z drugim istnieje w nas od urodzenia, musimy jedynie wydalić

substancję chemiczną znajdującą się we krwi, która hamuje tę siłę. Są tacy, bardzo nieliczni,

którzy rodzą się bez tego inhibitora i posiadają dar czytania myśli, ale większość z nas nigdy by nie dostąpiła tego milczącego porozumiewania się, chyba że z jakiegoś powodu ustaje

produkcja wspomnianego hormonu i wtedy nasz umysł otwiera się. Kiedy to zachodzi,

uważane bywa za utratę zmysłów. Powiadają, że ten narkotyk z Sumary Borthanu neutralizuje

naturalnie inhibitory w krwi, przynajmniej na krótki czas, co pozwala na nawiązanie z drugą

osobą takiego kontaktu, jaki moglibyśmy mieć, gdyby we krwi nie było tego czynnika

hamującego. - Na to odezwałem się: - A więc wszyscy moglibyśmy być nadludźmi, gdyby nie

okaleczyły nas własne gruczoły. - Schweiz gwałtownie gestykulując oświadczył: - Może

istniały słuszne powody biologiczne, żeby wytworzyła się taka ochrona przeciwko naszym

własnym siłom? A może nie. - Roześmiał się. Jego twarz stała się ciemnoczerwona. Spytałem,

czy naprawdę wierzy w to opowiadanie o inhibicyjnym hormonie i antyinhibicyjnym nar-
kotyku, a on odparł, że nie ma żadnych podstaw do wydania sądu. - Nic jeszcze nie czujesz? -
spytałem. - Tylko wino - odpowiedział. Czekaliśmy. Czekaliśmy. Może nic się nie stanie i będę
uratowany. Czekaliśmy. Wreszcie Schweiz oznajmił: - Chyba się zaczyna.

Po raz pierwszy byłem w pełni świadomy funkcjonowania własnego ciała: buch-buch, biło serce, krew uderzała o ściany arterii, głęboko w uszach przelewały się płyny, w polu mojego widzenia przesuwały się ciałka krwi. Stałem się niezwykle wrażliwy na bodźce zewnętrzne: prądy powietrza muskające moje policzki, fałdy płaszcza spływające wzdłuż mych ud, chropawość podłogi, której dotykały moje stopy. Usłyszałem nieznaną mi odgłos wody płynącej w odległym wąwozie. Straciłem kontakt z otoczeniem, bo wprawdzie zwiększył się zasięg mego postrzegania, ale równocześnie zawężił - i stałem się niezdolny do określenia kształtu pokoju, bo nic nie widziałem wyraźnie. Przede mną był tylko wąski tunel, a na jego końcu znajdował się Schweiz, poza obrzeżem tego tunelu była już tylko mgła. Teraz naprawdę przeraziłem się i starałem się wszelkimi sposobami rozjaśnić umysł, jak ktoś, kto wypił za dużo wina i próbuje pozbyć się zamroczenia. Im bardziej jednak walczyłem, żeby wrócić do normalnego stanu, tym szybciej postępowały zmiany. Wkroczyłem w stan świetlistego upojenia, jarzące się smugi kolorowego światła opływały mi twarz i nabrałem pewności, iż musiałem napić się ze źródła Diganta. Miałem wrażenie, jakby w moje uszy uderzały silne fale powietrza. Słyszałem wysoki, wibrujący dźwięk, początkowo bardzo cichy, nabierał mocy, aż wypełnił sobą cały pokój, choć wcale nie był przykry. Krzesło, na którym siedziałem, drżało i pulsowało stałym, stonowanym rytmem, jakby pulsowaniem naszej planety. Potem, bez żadnego zauważalnego uczucia przekraczania jakiejś granicy, zdałem sobie sprawę, że od pewnego czasu moje postrzeganie stało się podwójne: obecnie miałem świadomość bicia drugiego serca, drugiego przepływu krwi w żyłach, pracy innych jelit. Nie było to jednak zwykłe podwojenie zachodzących we mnie procesów fizjologicznych, bo tamte rytmy były inne i wraz z rytмами mego ciała tworzyły cudowną symfonię, skomplikowane akordy perkusyjne, które roztopiały się w moim umyśle, gdy usiłowałem je śledzić. Zacząłem kołysać

się w takt tych uderzeń, uderzać dłońmi o uda, strzelać palcami, a patrząc przez swój tunel, widziałem, że Schweiz również kołysze się i strzela palcami - i zrozumiałem wtedy, czyje to ciało wysyła rytmy odbierane przeze mnie. Byliśmy złączeni. Miałem teraz trudności, żeby odróżnić bicie jego serca od bicia mego, a czasem patrząc poprzez stół na Schweiza widziałem własną, zaczerwienioną i wykrzywioną twarz. Doświadczałem stanu ogólnego rozpląnięcia się rzeczywistości, zwalania wszystkich murów i zwolnienia hamulców. Nie byłem już w stanie uważać Kinnalla Darivala za odrębną jednostkę, nie myślałem w terminach "on" i "ja", ale "my". Straciłem nie tylko swą tożsamość, ale wręcz samo pojęcie własnej jaźni.

Przez dłuższy czas pozostawałem na tym poziomie i już zaczynałem myśleć, że siła działania narkotyku słabnie. Kolory stawały się mniej jaskrawe, pokój zaczynał się wydawać taki jak zwykle i mogłem znów odróżnić Schweiza od siebie. Zamiast jednak odczuć ulgę, że najgorsze jest poza mną, doznałem zawodu, iż nie osiągnąłem takiego połączenia naszych świadomości, jakie obiecywał Schweiz.

Ale myliłem się.

Początkowe gwałtowne działanie narkotyku skończyło się, to prawda, ale dopiero teraz zaczynaliśmy wstępować w prawdziwą komunię. Schweiz i ja byliśmy osobno, a jednak złączeni. Było to rzeczywiste samoobnażenie się. Widziałem jego duszę, jakby leżała przede mną na stole, mogłem podejść do tego stołu i obejrzeć to, co się na nim znajdowało. Mogłem wziąć to naczynie, tamten wazon, różne ozdoby, by przyjrzeć im się z bliska.

Tutaj majaczyła twarz matki Schweiza. Nabrzmiała, blada pierś porysowana błękitnymi żyłkami, ze sterczącym wielkim sutkiem. Wszystkie zmory dzieciństwa. Tu wspomnienia o Ziemi. Oczyma Schweiza widziałem tę matkę światów, okaleczoną, zniekształconą i pozbawioną barw. Spod jej szpetoty gdzieś jeszcze przeświecało piękno. To było miejsce jego urodzenia, to zaniedbane miasto; te drogi miały po dziesięć tysięcy lat. A tutaj

ruiny starożytnych świątyń. Tu wspomnienia pierwszej miłości, zawodów i rozstań. Tutaj zdrady i wzajemne wyznania. Znaki upływu czasu. Gryzące troski i rozpacz. Podróże. Zawody. Uwiedzenia. Spowiedzi. Zobaczyłem słońca stu światów.

Przemierzałem warstwy duszy Schweiza, napotykałem piaszczyste złoża chciwości, kamienie oszustw, tłuste zagłębienia złośliwości, gnijącą pianę oportunistu. Tu oto była wcielona jaźń, tu był człowiek żyjący wyłącznie dla siebie. t A jednak nic mnie nie odrzucało od ciemnego wnętrza Schweiza.

Sięgałem wzrokiem głębiej, poza granice spraw. Dostrzegałem w tym człowieku tęsknotę, pragnienie boga. Schweiz samotny na księżycowej równinie, na platformie czarnej skały pod purpurowym niebem, wyciągający ręce i nie mogący nic uchwycić. Może był z niego chytry oportunistą, tak, ale również był wrażliwy, żarliwy i uczciwy mimo swych wyskoków. Nie potrafiłem ostro osądzać Schweiza. Był mną. Ja byłem nim. Gdybym miał potępić Schweiza, musiałbym też potępić Kinnalla Darivala. Duszę miałem przepełnioną serdecznością dla niego.

Czułem, że on również mnie bada. Nie odgradzałem ducha żadnymi barierami, kiedy przychodził, żeby go poznać. I jego własnymi oczyma widziałem to, co dostrzegał we mnie. Mój strach przed ojcem, przed własnym bratem. Moją miłość do Halum. Ucieczkę do Glinu. Małżeństwo z Loimel. Moje drobne skazy i małe zalety. Wszystko. Schweiz, patrz, patrz, patrz. A kiedy odbiło się to w jego duszy jak w zwierciadle i wracało do mnie, nie sprawiało mi już bólu. Miłość bliźniego rozpoczyna się od miłości siebie samego, pomyślałem nagle. W tym momencie Przymierze legło dla mnie w gruzach. Stopniowo Schweiz i ja zaczęliśmy się od siebie odsuwać. Choć przez jakiś czas jeszcze pozostawaliśmy w styczności, to więź między nami stale słabła. Kiedy zerwała się ostatecznie, poczułem wstrząs, jakby pękła napięta nić. Siedzieliśmy w milczeniu. Oczy miałem zamknięte, czułem mdłości i byłem

świadomy, jak nigdy dotychczas, że na zawsze dzieli nas przepaść. Po długim czasie spojrzałem na Schweiza.

Obserwował mnie, czekał na mnie. Miał ten swój szatański wygląd, uśmiechał się dziko, oczy mu błyszczały, tyle że teraz nie uważałem tego za wyraz szaleństwa, lecz za odbłask wewnętrznej radości. Wydawał się teraz młodszy. Twarz mu wciąż płonęła.

- Kocham cię - powiedział miękko.

Te niespodziewane słowa spadły na mnie obuchem. Ukryłem twarz za skrzyżowanymi rękami z dłońmi zwróconymi na zewnątrz.

- Co cię tak zatrwożyło? - spytał. - Gramatyka czy treść?

- Jedno i drugie.

- Czy to naprawdę takie straszne powiedzieć: kocham cię?

- Nigdy nie... nie wie się, jak...

- Zareagować? Odpowiedzieć? - Schweiz śmiał się. - Nie miałem na myśli jakiejś miłości fizycznej. Co zresztą wcale nie jest obrzydliwe. Ale nie. Mam na myśli to, co mówię, Kinnallu. Zagłębiłem się w twojej duszy i spodobało mi się to, co tam zobaczyłem. Ja kocham cię.

- Używasz zaimka ja - przypomniałem mu.

- A czemuż by nie? Czy nawet teraz muszę wypierać siebie? Dajże spokój, Kinnallu, przełam się, bądź wolny.

Wiem, że tego pragniesz. Czy uważasz za sprośne to, co właśnie do ciebie powiedziałem?

- Jest w tym coś dziwnego.

- W moim świecie znajduje się w tych słowach coś świętego - wyznał Schweiz. - A tutaj są one obrzydliwe. Nigdy nie wolno powiedzieć "kocham cię"? Cała planeta odmawia sobie tej małej przyjemności. Och, nie, Kinnallu, nie, nie i nie!

- Proszę - powiedziałem słabym głosem. - Mówiący jeszcze się w pełni nie przystosował

do tego, co sprawił narkotyk. Kiedy na niego tak krzyczysz...

Ale on nie zamierzał ustąpić.

- Ty też gościłeś w moim umyśle - powiedział. - Co tam znalazłeś? Było to takie odrażające? Wydobądź to z siebie, Kinnallu. Teraz nie masz przede mną żadnych sekretów.

Mów prawdę. Tylko prawdę!

- Wiedz w takim razie, że mówiący znalazł tam więcej rzeczy godnych podziwu, niż się spodziewał.

Schweiz zachichotał. - Ja tak samo! Dlaczego więc te-i raz mamy się wzajemnie siebie obawiać? Powiedziałem ci, Kinnallu: kocham cię! Nawiązaliśmy łączność, zobaczyliśmy, że istnieją obszary zaufania. Musimy się zmienić, Kinnallu. Ty bardziej niż ja, bo ty masz dłuższą drogę. Śmiało. Wyraź słowami to, co masz w sercu. Mów!

- Niemożliwe.

- Powiedz "ja".

- To takie trudne.

- Powiedz. Powiedz, nie jako coś plugawego, ale tak, jakbyś kochał sam siebie.

- Proszę.

- Wymów to.

- "Ja" - powiedziałem.

- Czy to takie straszne? A teraz powiedz mi, co do mnie czujesz. Ale prawdą. Z głębi duszy.

- Czuję ciepło... czułość, zaufanie...

- Miłość?

- Tak, miłość - przyznałem.

- No, więc, powiedz to.

- Miłość.
- Nie to chcę, żebyś powiedział.
- Co w takim razie?
- Coś, czego nie mówi się na tej planecie od dwóch tysięcy lat. Teraz ty, Kinnallu, powiedz to. Ja...
- Ja...
- Kocham cię.
- Kocham cię.
- Ja kocham cię.
- Ja... kocham... cię.
- To dopiero początek - oznajmił Schweiz. Pot spływał mu po twarzy, po mojej zresztą również. - Rozpoczęliśmy stwierdzeniem, że możemy kochać. Rozpoczęliśmy stwierdzeniem, że posiadamy osobowość zdolną do miłości. A więc zaczynamy kochać, tak? Zaczynamy kochać.

Później zapytałem: - Czy narkotyk dał ci to, czego oczekiwałeś, Schweiz?

- Częściowo.

- Jak to, częściowo?

- Szukałem Boga, Kinnallu, ale chyba go nie odnalazłem. Ale teraz wiem lepiej, gdzie go szukać. Odkryłem natomiast, w jaki sposób na zawsze pozbyć się samotności, jak otwierać się wobec drugiej osoby. To pierwszy krok na drodze, którą pragnę iść.

- Jest się szczęśliwym ze względu na ciebie, Schweiz.

- Czy musisz wciąż mówić do mnie tym żargonem? W trzeciej osobie?

- Nic na to nie poradzę - powiedziałem. Byłem okropnie zmęczony. Znowu zaczynałem obawiać się Schweiza. Odczuwałem do niego miłość, ale pomału wkradała się podejrzliwość, czy on mnie przypadkiem nie wykorzystywał? Czy z naszego wzajemnego obnażania się nie wyciągał jakiejś brudnej przyjemności? Przecież to on skłonił mnie do tego, że stałem się samoobnażaczem. To jego upieranie się, abym mówił "ja" i "mnie" - czy była to zapłata za moje wyzwolenie, coś pięknego i czystego, jak on utrzymywał, czy grzebanie się w brudach? Nie byłem do tego przyzwyczajony. Nie potrafiłem usiedzieć spokojnie, kiedy mężczyzna mówił mi "kocham cię".

- Ćwicz - rozkazał Schweiz. - Ja. Ja. Ja. Ja.

- Przestań. Proszę cię.

- Czy to takie bolesne?

- Jest dla mnie nowe i dziwne. Muszę... rozumiesz? Muszę wejść w to stopniowo.

- A więc nie śpiesz się. I nie pozwalaj, żebym cię popędział. Ale nie przestawaj posuwać się naprzód.

- Będzie się próbowało. Ja będę próbował - powiedziałem.

- Świetnie. - Po chwili dodał: - Czy zażyjesz znów kiedyś tego narkotyku?

- Z tobą?

- Sądzę, że już nie ma potrzeby. Myślę o kimś takim, jak twoja więźna siostra. Jeśli dam ci trochę, zażyjesz razem z nią?

- Nie wiem.

- Boisz się tego narkotyku?

Potrząsnąłem głową. - Niełatwo mi odpowiedzieć. Potrzebuję trochę czasu, żeby oswoić się z tym przeżyciem. Czasu, Schweiz, żeby to przemyśleć.

- Próbę masz już za sobą i przekonałeś się, że płynie z tego tylko dobro.

- Być może. Być może.

- Bez wątpienia - Jego żarliwość była wprost ewangeliczna. I udzielił mi się jego zapach.

Ostrożnie powiedziałem: - Gdyby można było mieć tego więcej, to zastanowiłbym się, czy jeszcze raz spróbować. Może z Halum.

- Doskonale!

- Nie zaraz. Po pewnym czasie. Za jakieś dwa, trzy, cztery obroty księżyca.

- Chyba jeszcze później.

- Dlaczego?

- Bo tamtego wieczoru zużyliśmy cały zapas narkotyku - wyjaśnił Schweiz. - Nie mam więcej.

- Ale możesz dostać jeszcze trochę?

- O, tak. Oczywiście.

- Skąd?

- Z Sumary Borthanu - odpowiedział.

Kiedy ktoś zakosztuje nowego rodzaju przyjemności, to nic dziwnego, że po pierwszym doznaniu rozkoszy nawiedza go poczucie winy i skrupuły. Tak samo było ze mną. Rankiem, drugiego dnia po pobycie w letnim domu, zbudziłem się z niespokojnego snu, czując taki wstyd, że modliłem się, aby pochłonęła mnie ziemia. Co ja zrobiłem? Dlaczego pozwoliłem, żeby Schweiz doprowadził mnie do uczestniczenia w takim plugastwie? Żeby tak się samoobnażyć! Siedzieć z nim przez całą noc i powtarzać "ja" i "mnie", "mnie" i "ja" i jeszcze sobie życzyć uwolnienia z ciasnych konwenansów! W świetle dnia trudno mi było w to wszystko uwierzyć. Czy rzeczywiście byłem w stanie tak się otworzyć? Najwyraźniej tak, gdyż tkwiły teraz we mnie wspomnienia o przeszłości Schweiza, o której poprzednio nie miałem pojęcia. A więc i ja byłem w nim. Modliłem się, żebym mógł w jakiś sposób odwrócić to, co uczyniłem. Czułem, że utraciłem część siebie, wyrzekając się swej izolacji. Wiesz, że wśród nas nie jest chwalebny stać się samoobnażaczem i ci, którzy to robią, przeżywają jedynie chwilę plugawej przyjemności i moment ulotnej ekstazy. Wmawiałem w siebie, że nic takiego nie zrobiłem, że była to tylko dociekliwość duchowa. Ale gdy tylko sformułowałem to zdanie, wydało mi się hipokryzją - papierową maską kryjącą podłe motywy. Wstydzilem się swego uczucia ze względu na siebie, ze względu na swych synów, z powodu królewskiego ojca i jego królewskich przodków. Myślę, że to "ja kocham cię" wypowiedziane przez Schweiza, bardziej niż cokolwiek innego, co wydarzyło się tamtego wieczoru, wpędziło mnie w tak niewypowiedzianą żalność, gdyż moja stara osobowość odbierała te słowa jako karygodną nieprzyzwoitość, a nowa, która wyłaniała się dopiero z wielkim wysiłkiem, upierała się, że Ziemianin nie miał nic zdrożnego na myśli, ani mówiąc "ja", ani "kocham". Odrzuciłem jednakże własną argumentację i dopuściłem do siebie poczucie winy. Co się ze mną stało, że pozwoliłem sobie na wymianę czułych słów z innym mężczyzną, z urodzonym na Ziemi kup-

cem, z wariatem? Jakże mogłem ofiarować mu swą duszę? Jak mogłem tak całkowicie zdać się na jego łaskę? Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zabić Schweiza, żeby odzyskać spokój. Poszedłem tam, gdzie spał, zobaczyłem go z uśmiechem na twarzy i nie potrafiłem już żywić do niego nienawiści. > Ten dzień spędziłem przeważnie w samotności. Udałem się do lasu i wykąpałem w zimnym jezioru, potem ukląknąłem przed czerwonym ciernistym drzewem wyobrażając sobie, że to czyściciel. Wyznałem wszystko nieśmiałym szeptem. Później przedzierałem się przez głogi i kolczaste zarośla, aż wybrudzony i pokłuty wróciłem do myśliwskiego domku. Schweiz spytał, czy przypadkiem nie jestem chory. Odpowiedziałem, że nie, nic mi nie jest. Mało co mówiłem tego wieczoru, siedziałem skulony w nadmuchiwanym fotelu. Ziemanin, bardziej gadatliwy niż zwykle, zagłębił się w szczegóły wielkiego planu, mającego na celu zorganizowanie wyprawy do Sumary Borthanu i przywiezienie tylu worków narkotyków, żeby można było przemienić każdą duszę w Manneranie. Słuchałem tego, nie czyniąc żadnych uwag, bo wszystko stało się dla mnie jakieś nierealne, a zwłaszcza ten projekt wydawał mi się dziwaczny i obcy.

Miałem nadzieję, że ból mej duszy ustąpi, kiedy powrócę do Mannerami, do pracy przy biurku w Urzędzie Administracyjno-Sądowniczym. Ale nie. Poszedłem do domu, zastałem Halum z Loimel. Na ich widok, omal nie zawróciłem na pięcie i nie uciekłem. Uśmiechnęły się do mnie ciepło, po kobiecemu. Między sobą wymieniały jakieś tajemnicze uśmieszki, wyraz zażyłości, która wzrastała przez całe ich życie. W rozpaczy przenosiłem wzrok z żony na siostrę więźną, z jednej na drugą, a ich piękność godziła we mnie jak obosieczny miecz. Te uśmiechy! Te rozumiejące oczy! Nie potrzebowały żadnego narkotyku, by wydobyć ze mnie całą prawdę.

- Gdzie się podziewałeś, Kinnallu?

- W domku w lesie, zabawiałem się z Ziemaninem w samoobnażanie.

- I pokazałeś mi swą duszę?

- O, tak, a on pokazał mi swoją.

- A potem?

- Potem mówiliśmy o miłości. Ja kocham cię, powiedział, i odpowiedziało mu się: ja kocham cię.

- Jaki paskudny z ciebie dzieciak, Kinnallu!

- Tak, tak. Gdzie można ukryć ten wstyd?

Taki niemy dialog chodził mi po głowie, kiedy zbliżałem się tam, gdzie siedziały, na dziedzińcu koło fontanny. Jakby nigdy nie uściskałem Loimel i sztywno objąłem siostrę więźną, ale oczy miałem odwrócone, bo tak wielkie tkwiło we mnie poczucie winy. To samo w biurze. W spojrzeniach podrzędnych urzędników widziałem oskarżenie. "Oto Kinnall Darival, który wydał nasze tajemnice Schweizowi z Ziemi. Spójrzcie na tego sallańskiego samoobnażacza, jak się chyłkiem wśród nas przemyka! Jak on może znieść swój odór?" Trzymałem się na uboczu, praca szła mi jak po grudzie. Na moim biurku znalazł się jakiś dokument, dotyczący pewnej transakcji Schweiza, i napełniło mnie to trwogą. Myśl, że mógłbym znów stanąć z nim twarzą w twarz, napełniła mnie przerażeniem. Bez większego trudu mógłbym odwołać zezwolenie na jego dalszy pobyt w Manneranie, wykorzystując w tym celu uprawnienia Najwyższego Sędziego, podła zapłata za zaufanie, jakie mi okazał, ale kiedy już miałem to uczynić, powstrzymał mnie wstyd większy od tego, który już odczuwałem. Trzeciego dnia po powrocie, kiedy nawet moje dzieci zaczynały dostrzegać, że dzieje się ze mną coś złego, udałem się do Kamiennej Kaplicy, by szukać uzdrowienia u czyszciciela Jidda.

Dzień był parny i gorący. Niebo zdawało się zwisać nad Manneranem jak pofałdowane, kosmate skrzydło. Na wszystkim skrzyły się perełki wilgoci. Słońce tego dnia miało dziwny

kolor, prawie biały, a starodawne, czarne bloki kamienne świętej budowli odbijały oślepiająco wszystkie kolory widma słonecznego. Skoro jednak wkroczyłem do kaplicy, znalazłem się od razu w mroku, chłodzie i ciszy. Cela Jidda znajdowała się w godnym miejscu, w absydzie kaplicy za głównym ołtarzem. Oczekiwał mnie odziany już w szaty, z góry umówiłem się, żeby poświęcił mi swój czas. Kontrakt był już gotów. Podpisałem szybko i wręczyłem mu opłatę.

Ten Jidd wcale nie był przystojniejszy niż inni w jego fachu, ale właśnie wtedy jego brzydota sprawiała mi przyjemność, jego sterczący, pokryty wielkimi brodawkami nos, cienkie, długie wargi, oczy przysłonięte ciężkimi powiekami i odstające uszy. Po co wyśmiewać się z twarzy człowieka? Wybrałby sobie przecież inną, gdyby mógł. Traktowałem go życzliwie, gdyż miałem nadzieję, że mnie uleczy. Uzdrawiacze są świętymi mężami. ”Jidd, daj mi to, czego od ciebie potrzebuję, a będę błogosławił twoją wstrętną gębę!” Odezwał się: - Pod czym znakiem będziesz się oczyszczał?

- Boga przebaczenia.

Dotknął kontaktu. Same świece były za mało uroczyste dla Jidda. Bursztynowe światło przebaczenia wychodzące , Z jakiegoś ukrytego gazowego zasilacza wypełniło komnatę. Jidd skierował moją uwagę na lustro i polecił mi wpatrywać się w moją twarz, oczy w oczy. Patrzyły na mnie oczy kogoś obcego. Kropelki potu występowały mi na policzkach i spływały ku brodzie. ”Kocham cię” powiedziałem/ bezgłośnie do nieznamomej twarzy w lustrze. Miłość do innych zaczyna się od miłości własnej. Kaplica przygniatała mnie swoim ciężarem, bałem się strasznie, że zmiążdży mnie jej kamienny strop. Jidd wygłaszał wstępną formułę. Nie było w niej nic o miłości. Nakazał mi, bym otworzył przed nim swą duszę.

Jąkałem się. Język stawał mi kołkiem w gardle. Ogarniały mnie mdłości. Dusiałem się.

Schyliłem głowę i przywarłem nią do zimnej posadzki. Jidd dotknął mego ramienia i mamrotał pocieszające formułki, aż wreszcie nieco się uspokoiłem. Rozpoczęliśmy rytualne czynności

po raz drugi. Teraz już wstęp poszedł gładko, a kiedy kazał mi mówić, zacząłem recytować, jakbym wypowiadał tekst napisany dla mnie przez kogoś innego. ”W ubiegłych dniach mówiący udał się wraz z drugą osobą w miejsce odosobnione i tam podzieliliśmy się pewnym narkotykiem z Sumary Borthanu, który otwiera duszę. Obnażaliśmy się wobec siebie i teraz mówiący odczuwa wyrzuty sumienia wskutek popełnionego grzechu i pragnie uzyskać przebaczenie.”

Jidd ciężko dyszał, choć nie tak łatwo wprowadzić czyściciela w zdumienie. To dyszenie omal nie sparaliżowało mojej woli wyznania win, Jidd jednak odzyskał panowanie nad sobą i łagodnymi słowami zachęcał mnie do dalszej spowiedzi. Po paru chwilach moje szczęki nieco rozluźniły się i mogłem wszystko wygadać. O swoich pierwszych rozmowach ze Schweizem (nie wymawiałem jego nazwiska, bo chociaż ufałem, że Jidd zachowa tajemnicę oczyszczenia, nie widziałem dla siebie żadnej duchowej korzyści w ujawnieniu wobec kogokolwiek nazwiska współnika w grzechu. O zażyciu narkotyku w domku myśliwskim. O sensacjach wywołanych narkotykiem. O odkryciu duszy Schweiza. O jego zagłębieniu się w moją duszę. O rozpalaniu się uczucia między nami, w miarę jak zacieśniał się związek duchowy. O oderwaniu się od Przymierza w czasie, kiedy pozostawałem pod działaniem narkotyku. O nagłym dojściu do przekonania, że wyparcie się własnej osobowości, które u nas obowiązuje, to katastrofalny błąd i że powinniśmy raczej wyrzec się samotności i próbować wznosić mosty nad przepaścią, która oddziela nas od drugich, nie zaś chlubić się izolacją. Wyznałem także, iż do zażycia narkotyku skłoniła mnie myśl o ewentualnej możliwości sięgnięcia w głąb duszy Halum. Moja tęsknota za siostrą więzną nie stanowiła dla Jidda żadnej nowości. Potem mówiłem o zaburzeniach, jakie odczuwałem po wyjściu z narkotycznego transu, o poczuciu winy, o wstydzie, wątpliwościach. Wreszcie zamilkłem. Przede mną, jak połyskująca w mroku blada kula, zawisły moje złe uczynki, widoczne i dotykalne. Już przez to, że je ujawniłem, czułem się czystszy.

Pragnąłem powrócić do Przymierza. Chciałem obmyć się z brudu samo-obnażenia.

Postanowiłem odbyć pokutę i prowadzić uczciwe życie. Ogromnie mi zależało, żeby zostać uzdrowionym. Błagałem o rozgrzeszenie i przywrócenie do społeczności. Nie byłem jednak w stanie odczuć obecności boga. Patrząc w zwierciadło, widziałem tylko swoją własną twarz, wychudzoną i pożółkłą, ze zmierzwioną brodą. Kiedy Jidd zaczął recytować formułę absolucji, jego słowa nie były zdolne podźwignąć mej duszy. Utraciłem wiarę. Uderzyła mnie kryjąca się w tym ironia: Schweiz zazdroszczący mi wiary, poszukujący przy pomocy narkotyku możliwości zrozumienia tajemnicy uległości wobec ponadnaturalnych mocy, pozbawił mnie dostępu do mych bogów. Klęczałem twardymi kolanami na twardej podłodze, wypowiadałem jakieś frazesy i równocześnie życzyłem sobie, żeby Jidd mógł razem ze mną zażyć narkotyku, żeby mogła zaistnieć między nami prawdziwa komunia. Wiedziałem, że jestem zgubiony.

- Niech pokój bogów będzie z tobą - powiedział Jidd.

- Pokój bogów jest nad klęczącym.

- Nie szukaj nigdy więcej fałszywej pomocy i zachowaj Własne ja dla siebie samego, inne bowiem ścieżki prowadzą Jedynie do wstydu i zepsucia.

- Klęczący nie będzie już szukał innych ścieżek.

- Masz więzną siostrę i więźnego brata, masz czyściciela, masz miłosierdzie boże. Nic więcej ci nie potrzeba. - Mówiący nie potrzebuje nic więcej.

- Idź więc w pokoju.

Poszedłem, ale bez spokoju, oczyszczenie okazało się bezduszne, bezsensowne i nic nie znaczące. Jidd nie zdołał pojednać mnie z Przymierzem, ukazał mi jedynie stopień oddalenia się. Chociaż samo oczyszczanie nie poruszyło mną, to jednak wyszedłem z Kamiennej Kaplicy w jakiś sposób uwolniony od winy. Nie żałowałem już swego samoobnażenia. Być może był to szcątkowy efekt oczyszczenia, odwrócenie celu mego pójścia do Jidda, nie starałem się jednak

głębiej tego analizować. Zadowolony byłem, że wróciłem do siebie i że mogę swobodnie myśleć. Moja przemiana w tym momencie była całkowita. Schweiz zabrał mi moją wiarę, ale na to miejsce dał mi inną.

Tego popołudnia wyniknął pewien problem, dotyczący statku z Threish i fałszywych wykazów frachtowych o załadunku, udałem się przeto do portu, żeby sprawdzić fakty. Tam przypadkiem natknąłem się na Schweiza. Od chwili, kiedy rozstaliśmy się parę dni temu, ogromnie bałem się, że go znów spotkam. Jak bowiem spojrzeć w oczy człowiekowi, który przemknął całe moje wnętrze. Tylko trzymając się z dala od niego mógłbym w końcu wytłumaczyć sobie, że w rzeczywistości, nie zrobiłem tego, co wspólnie popełniliśmy. Ale wtedy ujrzałem go z bliska na molo. Trzymał plik faktur w jednej ręce, a drugą wymachiwał wściekle przed jakimś kupcem o zażawionych oczach w stroju z Glinu. Ku swemu zdziwieniu, nie odczułem bynajmniej tego zakłopotania, jakiego oczekiwałem, raczej serdeczną przyjemność, że go widzę. Podeszedłem do niego. Poklepał mnie po ramieniu, ja uczyniłem to samo.

- Wyglądasz teraz o wiele lepiej - powiedział.

- Zaiste.

- Pozwól, niech skończę z tym łajdakiem i wypijemy butelkę złotego, co?

- Bardzo chętnie - odpowiedziałem. Po godzinie, siedzieliśmy w portowej knajpce.

Odezwałem się: - Kiedy możemy pojechać do Sumary Borthanu?

Podróż na południowy kontynent odbywała się jakby we śnie. Ani razu nie zadałem sobie pytania, czy to rozsądne przedsięwzięcie, nie zastanowiłem się też, czy istnieje konieczność, abym uczestniczył w niej osobiście. Mogłem pozwolić Schweizowi, żeby pojechał sam po ten narkotyk, albo najął kogoś i wysłał w naszym imieniu. Zabrałem się po prostu do przygotowania wyjazdu.

Pomiędzy Veladą Borthanem a Sumarą Borthanem nie kursują regularnie statki handlowe. Ten, kto chce odbyć podróż na południowy kontynent, musi wynająć statek czarterowy. Uczyniłem tak, wykorzystując środki, jakimi dysponuje Najwyższy Sędzia: przez pośredników i podstawione osoby. Statek, który wybrałem, nie należał do floty man-nerańskiej, nie chciałem bowiem by mnie rozpoznano, gdy będziemy odpływać. Frachtowiec należał do zachodniej prowincji Velis, w porcie mannerańskim został unieruchomiony wskutek toczącego się procesu sądowego, dotyczącego tytułu prawnego do statku. Kapitan i załoga rozgoryczeni przymusową bezczynnością, wystosowali już protest do władz sądowniczo-administracyjnych. Sędzia Najwyższy nie miał niestety jurysdykcji nad sądami w Velis i trzeba było czekać, aż sprawa się wyjaśni. Wiedząc o tym, wydałem dekret w imieniu Najwyższego Sędziego, który zezwalał pechowej załodze na wynajmowanie statku w celu odbywania podróży pomiędzy Rzeką Woyn a wschodnim brzegiem Zatoki Sumar, co oznaczało możliwość dopłynięcia do każdej przystani prowincji Manneranu; dodałem też, że kapitan może wynająć się również w rejs do północnego brzegu Sumary Borthanu. Bez wątpienia, ta ostatnia klauzula zdumiała go niepomiarnie, a jeszcze bardziej to, że w parę dni później zjawili się u niego moi agenci z pytaniem, czy może odbyć podróż do tego właśnie miejsca.

Ani Loimel, ani Halum, ani Noimowi i nikomu innemu nie powiedziałem, dokąd się wybieram. Oznajmiłem tylko, że muszę służbowo udać się na krótko za granicę. W Urzędzie

Sądowo-Administracyjnym nie udzieliłem nawet takiej informacji, zwróciłem się po prostu do siebie samego z prośbą o urlop i natychmiast go otrzymałem, a Najwyższego Sędziego powiadomiłem w ostatniej chwili, że w najbliższym czasie będę nieuchwytny.

Żeby uniknąć komplikacji z urzędnikami celnymi, jako port naszego odjazdu wybrałem Hilminor, w południowo-zachodnim Manneranie, nad Zatoką Sumar. Hilminor to miasto średniej wielkości, utrzymujące się głównie z rybołówstwa, ale będące też punktem postojowym statków kursujących między Manneranem a zachodnimi prowincjami. Z kapitanem wynajętego statku umówiłem się przeto na spotkanie w Hilminor, dokąd on podążył morzem, a ja ze Schweizem samochodem terenowym.

Była to dwudniowa podróż nadmorską autostradą, przez tereny porośnięte tym bogatszą, bujniejszą, tropikalną roślinnością, im bardziej zbliżaliśmy się do Zatoki Sumar. Schweiz był w doskonałym nastroju, ja również. Ustawicznie zwracaliśmy się do siebie w pierwszej osobie, co oczywiście dla niego nie było niczym niezwykłym, ale ja czułem się jak nieznośny chłopak szepczący ukradkiem "ja" i "mnie" do ucha koleżki. Zastanawialiśmy się, jaką ilość narkotyku uda nam się uzyskać i co z nim zrobimy. Nie było już wątpliwości, że pewną część wykorzystam razem z Halum. Teraz mówiliśmy o nawróceniu każdego, o obdarowaniu wolnością moich współziomków, którzy sami nałożyli sobie pęta. To ewangeliczne posłannictwo wkradało się stopniowo i niezauważalnie w nasze plany, wkrótce zajęło pozycję dominującą.

Do Hilminoru przybyliśmy w dzień wyjątkowo upalny. Niebo wydawało się migoczącą, pokrywającą wszystko kopułą żaru. Zatoka Sumar, rozpościerająca się przed nami w blasku słońca, pokryta była jakby złotą łuską. Hilminor otacza pasmo niewysokich wzgórz, gęsto zadrzewionych od strony morza, a od strony lądu zgoła pustynnych. Nasza droga biegła zakrętami poprzez te wzgórza i w pewnym miejscu zatrzymaliśmy się, bo chciałem pokazać

Schweizowi mięsodrzewie, rosnące na wyprazonym słońcem stokach. W jednym miejscu widniała kępa dwunastu chyba drzew. Stąpaliśmy po chrzęszczącym, suchym jak pieprz poszyciu lasu. Mięsodrzew wznosił się na wysokość dwóch mężczyzn, miał poskręcane gałęzie i grubą, bladą korę, gąbczastą w dotknięciu jak ciało starej kobiety. Drzewa nosiły blizny pozostałe po częstym upuszczaniu z nich soku, co sprawiało, że wyglądały jeszcze bardziej odrażająco. - Możemy skosztować tego płynu? - spytał Schweiz. Nie mieliśmy jednak żadnych narzędzi, żeby zrobić nacięcie, ale akurat wtedy nadeszła jakaś dziewczynka z miasta, miała z dziesięć lat, na wpół naga, opalona na ciemny brąz, co czyniło brud niewidocznym. Niosła świder i butelkę, zapewne posłała ją rodzina, żeby przyniosła soku z mięsodrzewia. Spojrzała na nas z kwaśną miną. Wyjąłem monetę i zwróciłem się do niej: - Mówiący chciałby dać poznać swemu towarzyszowi smak soku mięsodrzewia. - Wciąż cierpkie spojrzenie. Wbiła jednak świder ze zdumiewającą siłą w najbliższe drzewo, zakreśliła i podstawiła flaszkę pod tryskający strumień czystego, gęstego soku, niechętnie podała Schweizowi. Powąchał, polizał na próbę, a potem wypił. - Ach, jakie dobre - zawołał. - Dlaczego nie sprzedają tego na całej Veladzie Borthanie?

- Cała dostawa pochodzi z tego małego obszaru wzdłuż Zatoki - objaśniłem. - Większą część spożywa się na miejscu, dużo wysyła się do Threish, gdzie picie tego soku stało się prawie nałogiem, dla reszty kontynentu pozostaje bardzo niewiele. W Manneranie można go oczywiście kupić, trzeba tylko wiedzieć gdzie.

- Wiesz, Kinnallu, co ja chciałbym zrobić? Ja chciałbym założyć plantację mięsodrzewi, tysiące drzew, by produkować tyle butelek soku, żeby starczyło na cały rynek Velady Borthana, a nawet na eksport. Ja...

- Diabeł - wrzasnęła dziewczynka i dodała jeszcze coś niezrozumiałego w miejscowym narzeczu. Wyrwała mu butelkę z ręki i uciekła jak dzika, unosząc wysoko kolana i odstawiając

łokcie. Obejrzała się parę razy wytykając nas palcem z wyraźną pogardą. Schweiz zmieszany pokręcił głową. - Zwariowała, czy co? - zapytał.

- Trzy razy powiedziałeś "ja" - wyjaśniłem mu. - To bardzo nierozważne.

- Nabieram złych przyzwyczajęń rozmawiając z tobą. Ale czy to naprawdę aż tak plugawe?

- Bardziej plugawe, niż sobie wyobrażasz. Dziewczyna prawdopodobnie będzie powiedziała braciom, że jakiś nieprzyzwoity stary człowiek na wzgórzu zachował się wobec niej po świńsku. Chodź, musimy zdążyć do miasta, zanim ściągnie tu tłum.

- Nieprzyzwoity stary człowiek - mamrotał Schweiz. - Ja!

Wepchnąłem go do samochodu i pojechaliśmy w kierunku portu Hilminor.

Nasz statek stał na kotwicy, mały, płaskodenny, dwie śruby, pomocniczy żagiel, kadłub pomalowany na niebiesko i złoto. Przedstawiliśmy się kapitanowi - nazywał się Khrisch - wymieniając nazwiska, które przybraliśmy. Późnym popołudniem wyszliśmy w morze. Ani razu kapitan Khrisch nie zapytał o cel naszej podróży, nie zrobił też tego nikt z załogi.

Ciekawiło ich na pewno, jakie motywy mogą skłonić kogoś do wyprawy na Sumarę Borthan, ale byli też wdzięczni, że choć na krótko mogli wypłynąć w morze. Uważali więc, aby zbytnim wścibstwem nie obrazić pracodawców.

Brzegi Velady Borthana zniknęły poza mną, przede mną rozciągała się wielka, otwarta Cieśnina Sumaryjska. Nigdzie nie można było dostrzec nawet skrawka lądu. To mnie przerażało. W swej krótkiej karierze marynarza w Glinie nie żeglowałem daleko, a w czasie sztormu mogłem pocieszać się, że zdołam dopłynąć do brzegu, jeśli łajba się wywróci. Tutaj wydawało się, że cały wszechświat wypełnia woda. Z zapadnięciem wieczoru ogarnął nas szaroniebieski mrok, niebo zlało się z morzem. Czułem się jeszcze gorzej. Teraz pozostał nam tylko ten mały drgający, kołyszący się stateczek, zdany na łaskę fal i wiatru w niezmierzonej pustce, w tym migocącym antyświecie, gdzie wszystko stawało się jakimś niebytem. Nie spodziewałem się, że ta cieśnina będzie taka szeroka, przypuszczałem, że skały Sumary Borthana będą widoczne już od pierwszych godzin podróży, tymczasem znaleźliśmy się w pustce. Potykając się, zszedłem do kabiny, rzuciłem się twarzą na koję i drżący leżałem, wzywając boga podróźnych, by miał mnie w swojej opiece. Stopniowo zacząłem odczuwać do siebie wstręt za tę słabość. Przypominałem sobie, że jestem synem septarchy, bratem septarchy oraz kuzynem jeszcze innego septarchy, że w Manneranie cieszę się poważaniem, jestem głową rodziny, że zabiłem rogorła. Nic to jednak nie pomogło. Jakie znaczenie ma rodowód dla człowieka, który tonie? Na co zdadzą się szerokie ramiona, silne mięśnie, umiejętność

pływania, skoro ziemia zapadła się w otchłań i nie ma dokąd płynąć? Drżałem. Myślałem, że się rozplącę. I wtedy jakaś ręka spoczęła lekko na moim ramieniu. To był Schweiz. - Statek jest mocny - wyszeptał. - Przeprawa nie będzie trwała długo. Spokojnie. Spokojnie. Nic się nie stanie.

Gdyby jakiś inny mężczyzna, poza Noimem, znalazł mnie w takim stanie, byłbym chyba zabił jego albo siebie, żeby mój wstyd pozostał tajemnicą, bądź poszedł ze mną do grobu.

- Jeśli tak wygląda przepłynięcie Cieśniny Sumar - powiedziałem - to jak można podróżować między gwiazdami i nie zwariować?

- Można się przyzwyczaić do takich podróży.

- Strach... Pustka...

- Chodź na pokład - mówił łagodnie. - Noc jest bardzo piękna.

Nie skłamał. Ustąpił zmrok i nad nami rozpięty był czarny baldachim wysadzany płonącymi klejnotami. W pobliżu miast gwiazdy nie są tak dobrze widoczne, przeszkadzają opary i miejskie światła. Oglądałem już niebo w całej wspaniałości w czasie polowań na Wypalonej Nizinie, to prawda, ale wtedy nie umiałem nazwać tego, na co patrzę. Teraz stał koło mnie Schweiz i kapitan Khrisch i jeden przez drugiego wykrzykiwali nazwy gwiazd i konstelacji, rywalizując między sobą, tłocząc mi do uszu całą swoją wiedzę astronomiczną, jakbym był przerażonym dzieckiem, które można powstrzymać od płaczu tylko przez zajęcie czymś jego uwagi. Widzisz? Widzisz? A tam, widzisz? Widziałem. Zastępy sąsiadujących z nami słońce, cztery czy pięć sąsiednich planet naszego systemu i nawet wędrowną kometę. Zapamiętałem na zawsze to, czego mnie wtedy nauczyli. Mogę teraz wyjść z chaty tu, na Wypalonej Nizinie i nazwać wszystkie gwiazdy na niebie. Zastanawiałem się, ile jeszcze przede mną nocy, ile razy będę mógł patrzeć na gwiazdy?

Ranek przyniósł koniec wszystkim strachom. Słońce świeciło jasno, po niebie płynęły

baranki, a szeroka cieśnina tchnęła spokojem i wcale nie przejmowałem się tym, że nie widać lądu. Sunęliśmy w stronę Sumary Borthana prawie niezauważalnie: musiałem dobrze obserwować powierzchnię morza, żeby dostrzec, iż znajdujemy się w ruchu. Dzień, noc, dzień, noc, dzień i nagle na horyzoncie pojawiła się zielona pomarszczona wstęga - Sumara Borthan. Wreszcie ujrzałem ciągnące się od wschodu na zachód gołe, zielono--żółte skały, przykryte czapą roślinności. Wysokie drzewa połączone ze sobą grubymi liniami; niżej, w mroku, kępy gęstych krzewów pokazywały nam dżunglę jakby w przekroju poprzecznym. Dżungla ta nie budziła we mnie strachu, ale zdumiewał mnie widok drzew i roślin, nie znanych na Veladzie Borthanie; żyjących tu zwierząt, węży i owadów też nie spotykało się na moim rodzinnym kontynencie. Przed nami rozciągał się nieznany, obcy, być może wrogi świat i czekał, aż postawimy na nim nogę. Świat ten istniał, () /zanim pojawił się człowiek. Wyobrażałem sobie, że wyglądał tak samo w czasach, gdy nie było domów bożych, ani czyścicieli, ani Urzędu Sądowo-Administracyjnego, że były tu ścieżki, gdzie stąpało się cicho po opadłych liściach, w dolinach płynęły wezbrane rzeki, a głębi jezior nie dało się zmierzyć. Powietrze nasiąkło wonią dżungli, a w bagnach taplały się przedhistoryczne zwierzęta i fruwały skrzydlate, nie znające strachu stwory. Widniały tam wielkie równiny porośnięte trawą, a ziemia kryła w swym łonie złoża drogocennych metali. Prawdziwie dziewiczy kraj, w którym wyczuwało się obecność bogów, czekających na czcicieli. Ci samotni bogowie nie znali jeszcze swej boskości. Byli samotni.

Rzeczywistość, oczywiście, nie okazała się romantyczna. Było tam miejsce, gdzie skały zbiegały do poziomu morza i tworzyły półksiężycową przystań, przy której rozłożyła się nędzna osada: budy kilku tuzinów Sumaran, którzy zamieszkali tutaj, żeby zaspokajać potrzeby statków przyływających tu czasami z północnego kontynentu. Sądziłem, że wszyscy Sumarani żyją gdzieś w głębi lądu, nadzy tubylcy u stóp wulkanu Vashnir, i że będziemy

musieli sobie wyrąbywać drogę przez ten cały, ogromny, tajemniczy, apokaliptyczny kraj; bez przewodnika i bez pewności, że znajdziemy jakieś cywilizowane osiedle i że nawiążemy kontakt z kimś, kto chciałby nam sprzedać to, po co tu przybyliśmy.

Kapitan Khrfsch zręcznie doprowadził swój mały statek do brzegu, tuż obok próchniejącego drewnianego mola. Kiedy zesliśmy na ląd, przybyła z powitaniem nieliczna delegacja posępnych Sumaran. Znasz moje wyobrażenia o groteskowych Ziemiach z wilczymi zębami. Teraz też instynktownie spodziewałem się, że ci ludzie z południowego kontynentu będą wyglądali jakoś dziwnie. Wiedziałem, że to głupie, przecież oni mimo wszystko wyrastali z tych samych korzeni co mieszkańcy Salli, Manneranu i Glinu. Czy jednak stulecia przeżyte w dżungli nie odmieniły ich? Czy wyparcie się przez nich Przymierza nie otworzyło drogi dla leśnych chimer, które mogły przekształcić ich w twory nieludzkie? Nie, na pewno nie! Wyglądali jak rolnicy z biedniejszej prowincji naszego kraju. Nosili nieznane mi ozdoby, wysadzone kamieniami wisiorki oraz bransolety, inne niż noszą u nas, ale od ludzi, jakich dotychczas spotykałem, nie różnili się kolorem skóry, kształtem twarzy czy barwą włosów.

Było ich ośmiu lub dziewięciu. Dwaj, najwidoczniej przywódcy, mówili dialektem mannerańskim, chociaż z innym akcentem. Reszta chyba nie rozumiała północnych języków, rozmawiali ze sobą kłapiąc zębami i chrząkając. Schweizowi przychodziło jakoś łatwiej porozumiewać się z nimi niż mnie, wdał się w długą rozmowę, którą trudno mi było śledzić.

Znudziłem się wkrótce i poszedłem obejrzeć wioskę. Dzieciaki oglądały mnie z wybałuszonymi oczami - dziewczynki chodziły nago, nawet gdy osiągnęły wiek, kiedy zaczynają im rosnąć piersi. Po chwili wróciłem i Schweiz powiedział: - Załatwione.

- Co takiego?

- Dzisiaj śpimy tutaj. Jutro zaprowadzą nas do wsi, gdzie produkują narkotyki. Nie

gwarantują, że będziemy mogli coś kupić.

- Sprzedają tylko w pewnych określonych miejscach?

- Najwyraźniej. Przysięgają, że tutaj w ogóle nie można nic dostać.

- Jak długo będzie trwała droga? - spytałem.

- Pięć dni. Pieszko. Podoba ci się dżungla, Kinnallu?

- Nie znam jeszcze jej smaku.

- Teraz go poznasz - zapewnił Schweiz.

Odwrócił się, żeby pomówić z kapitanem Khrischem, który zamierzał wyprawić się na

własną rękę gdzieś na brzeg sumaryjski. Schweiz upewnił się, że statek już będzie nas

oczekiwał w przystani, kiedy wrócimy z dżungli. Ludzie Khrischa wyładowali nasz bagaż -

głównie towary na wymianę, lusterka, noże i różne ozdóbki, ponieważ pieniądze z Velady nie

miały na Sumarze wartości - a kapitan, nim noc zapadła, wyprowadził statek w morze.

Schweiz i ja dostaliśmy dla siebie domek na skraju skały z widokiem na przystań.

Materace z liści, przykrycia ze skór zwierząt, jedno krzywe okienko i żadnych urządzeń

sanitarnych (oto do czego doprowadziły tysiące lat wędrówek ludzi w przestrzeniach

międzygwiazdnych). Targowaliśmy się o cenę pomieszczenia, wreszcie zgodziliśmy się dać

parę noży i zapalniczek. O zachodzie dostaliśmy obiad, bardzo smaczne duszone mięso

zaprawione korzeniami, jakieś graniaste czerwone owoce, garnek na wpół ugotowanych jarzyn

i dzbanek czegoś, co mogło być kwaśnym mlekiem - jedliśmy, co nam dano, ale smakowało

nam bardziej niż się spodziewaliśmy, chociaż opowiadaliśmy sobie dowcipy o chorobach, jakie

być może złapiemy. Wylałem parę kropel na ofiarę bogu podróżników, bardziej z

przyzwyczajenia niż przekonania. Schweiz powiedział: - A więc mimo wszystko wciąż

wierzysz? - Odparłem, że nie widzę powodu, żeby nie wierzyć w bogów, chociaż moja wiara w

to, czego nauczają ludzie, bardzo osłabła.

Blisko równika szybko robi się ciemno, jakby nagle spadła czarna kurtyna. Jakiś czas siedzieliśmy na dworze, Schweiz raczył mnie astronomią i przepytował z tego, czego już się nauczyłem. Potem poszliśmy spać. Gdzieś po godzinie do naszej budy wśliznęły się dwie postacie. Jeszcze nie spałem i usiadłem natychmiast, sądząc, że to złodzieje albo mordercy, ale gdy sięgałem po broń, promień księżyca oświetlił tę postać i ujrzałem kołyszące się ciężkie piersi. Ze swego ciemnego kąta odezwał się Schweiz: - Myślę, że są wliczone do ceny noclegu. - Jeszcze chwila i ciepłe gołe ciało przytuliło się do mnie. Poczulem ostry odór, dotknąłem tłustych pośladków i przekonałem się, że wysmarowane są jakimś aromatycznym olejem, sumarańskim kosmetykiem, jak dowiedziałem się później. Ciekawość walczyła we mnie z ostrożnością. Będąc jeszcze młodzieńcem mieszkałem w umeblowanych pokojach w Glinie, zawsze obawiałem się, że złapię jakąś chorobę od kobiet innej rasy. Czy nie powinienem jednak przekonać się, jak kochają na południu? Od strony Schweiza dochodziło plaskanie ciała o ciało, wesoły śmiech i odgłosy pocałunków. Moja dziewczyna wierciła się niecierpliwie. Rozdzieliłem pulchne uda, odszukałem, podnieciłem się i wszedłem. Dziewczyna przekręciła się przyjmując właściwą zapewne wśród krajowców pozycję, leżała na boku twarzą do mnie, jedną nogę przerzuciła przeze mnie i piętą mocno wbijała się w mój pośladek. Nie miałem kobiety od ostatniej nocy w Manneranie, co w połączeniu z moim starym problemem spowodowało, że wyładowałem się jak zwykle przedwczesnymi salwami. Moja dziewczyna zawołała coś do swej towarzyszkii jęczącej w ramionach Schweiza, kpiąc prawdopodobnie z mej męskości, i w odpowiedzi rozległ się chichot. Niezadowolony i zły zmusiłem się do ponownego wzwodu i pompowałem pomału i zawzięcie, chociaż jej cuchnący oddech nieomal paraliżował mnie, a woń potu pomieszana z zapachem olejku przyprawiała o mdłości. Wreszcie dopchałem ją do szczytu rozkoszy, choć była to pozbawiona radości, męcząca robota. Na koniec uszczypnęła mnie zębami w łokieć: miał to być sumarański pocałunek, wyraz

wdzięczności. Mimo wszystko dogodziłem jej. Rano oglądałem wiejskie dziewczyny i zastanawiałem się, która obdarzyła mnie swymi względami. Wszystkie bezzębne, z obwisłymi piersiami i rybimi oczami. Przez parę następnych dni z niepokojem obserwowałem swój organ, czy nie pojawiły się na nim czerwone plamki albo ropne ranki. Jeżeli czegoś tu się nabawiłem, to wstrętu do sumarańskiej namiętności.

Pięć dni, już sześć: albo Schweiz źle zrozumiał, albo sumarański kacyk był złym rachmistrzem. Mieliśmy przewodnika i trzech tragarzy. Nigdy dotychczas nie odbywałem takich marszów; od świtu do zachodu słońca pod stopami grząska ziemia. Po obu stronach wąskiej ścieżki wznosiły się zielone ściany dżungli. Wilgotność była tak niesamowita, że prawie pływaliśmy w powietrzu. Wszędzie owady z oczami jak drogocenne klejnoty i przerażającymi żuwaczkami. Koło nas przemykały się jakieś wielonożne bestie. Zza krzaków dochodziły odgłosy walki i okropne wrzaski. Promienie słoneczne z trudem przedzierały się przez splątany baldachim z gałęzi. Z pni drzew wytryskiwały kwiaty-pasożyty, powiedział Schweiz. Jeden z nich, żółty i pękaty, miał ludzką twarz: wyłupiaste oczy, rozdziawioną gębę wysmarowana pyłkiem. Drugi był jeszcze bardziej dziwaczny, bo ze środka, spomiędzy czerwonych i czarnych płatków wyrastała jakby parodia genitaliów, mięsiste prącie i dwie dyn-dające kulki. Ubawiony Schweiz chwycił kwiat, otoczył dłonią członek, bawił się nim i pieścił. Sumaranie coś do siebie mruzcili. Może zastanawiali się, czy postąpili słusznie posyłając tamtej nocy dziewczęta do naszej budy.

Wlekliśmy się na grzbiet kontynentu, wyłaniając się z dżungli na półtora dnia, aby wspiąć się na wielką górę, potem znów dżungla. Schweiz spytał przewodnika, czemu nie obeszlśmy góry dokoła i dowiedział się, że jest to jedyna droga, gdyż sąsiednie tereny roją się od mrówek-trucicielek. Krzepiąca wiadomość. Poza górą ciągnął się łańcuch jezior, strumieni i stawów, w wielu z nich aż gęsto było od zębanych ryjkowców. Wszystko to wydawało mi się nierealne. W odległości paru dni drogą morską na północ leżała Velada Borthan, wraz z jej domami bankowymi, samochodami, urzędnikami celnymi i świątyniami. Kontynent ucywilizowany prócz nie nadającego się do zamieszkania wnętrza. Tereny, przez które teraz wędrowaliśmy, nie nosiły śladu działalności człowieka. Ich rozpasana dzikość przygnębiała

mnie - a do tego to ciężkie powietrze, głosy w nocnych ciemnościach, niezrozumiałe rozmowy naszych prymitywnych towarzyszy.

Szóstego dnia dotarliśmy do wioski krajowców. Około trzystu chat widniało na rozległej łące, gdzie płynęły dwie średniej wielkości rzeki. Odniosłem wrażenie, że niegdyś musiała tu istnieć duża osada, może nawet miasto, gdyż na granicy zabudowań dojrzałem porośniętą trawą kopce i kurhany, kryjące chyba jakieś starożytne ruiny. A może to tylko moja fantazja? Może koniecznie chciałem przekonać siebie, że Sumaranie zdegradowali się po opuszczeniu naszego kontynentu, a ślady tego upadku i rozkładu będą widoczne wszędzie, gdzie spojrzę.

Zaraz otoczyli nas mieszkańcy wioski, nie byli usposobieni wrogo, raczej ciekawi.

Mieszkańcy północy stanowili niecodzienny widok. Paru z nich podeszło blisko, żeby mnie dotknąć, nieśmiało poklepać po ramieniu, wstydliwie uścisnąć ręką, zawsze towarzyszył temu nikły uśmiech. Wydawało się, że ludzie żyjący w dżungli nie są tak ponurzy i zgorzkniali jak ci, którzy mieszkają w budach koło portu. Są łagodniejsi, bardziej otwarci, jak dzieci. Widocznie nawet to niewielkie skażenie cywilizacją yeladańską, jakiemu ulegli mieszkańcy portu, położyło się cieniem na ich dusze. Rozpoczęły się pertraktacje pomiędzy Schweizem, naszym przewodnikiem i starszyzną wioski. Po paru chwilach Schweiz wysiadł. Przewodnik potokami dźwięcznych słów, popartych gwałtownymi gestami, starał się wielokrotnie tłumaczyć coś wieśniakom, a oni stale odpowiadali mu w ten sam sposób. Ani Schweiz, ani ja nie rozumieliśmy z tego ani słowa. Wreszcie przewodnik, bardzo podniecony, zwrócił się do Schweiza w języku mannerańskim z tak okropnym akcentem, że nie mogłem go zrozumieć, ale Schweiz ze swym talentem kupca porozumiewającego się z cudzoziemcami zdołał wszystko pojąć. - Chcą nam sprzedać - powiedział mi - pod warunkiem, że przekonamy ich, iż jesteśmy godni posiadać ten narkotyk.

- Zażywając narkotyk razem z nimi dziś wieczorem na obrzędzie miłości. Nasz

przewodnik starał się to im wyperswadować, ale nie chcieli ustąpić. Nie będzie komunii, nie będzie towaru.

- Czy to ryzykowne? - spytałem.

Schweiz pokręcił głową. - Nie sędzę. Ale przewodnikowi przyszło do głowy, że na tym narkotyku chcemy tylko zarobić, że wcale nie potrzebujemy go dla siebie i mamy zamiar wrócić do Manneranu i sprzedać wszystko za lusterka, zapalniczki i noże. Przypuszcza, że my sami nie zażywamy, stara się więc, żeby nas nie zdemaskowano. Wieśniacy też sędzą, że to nie dla nas i nic ich nie zmusi, żeby dać choć pyłek komuś, kto chce handlować narkotykami.

Proszek udostępnia się tylko szczerze wierzącym.

- My przecież wierzymy szczerze - powiedziałem.

- Wiem. Ale nie potrafię przekonać o tym tego człowieka. Dostatecznie kibrze zna mieszkańców północy, by wiedzieć, że ich dusze zamknięte są przez cały czas. Chce jakoś nam pomóc w tej naszej słabości. Spróbuję z nim jeszcze pogadać.

Teraz Schweiz pertraktował z przewodnikiem, a naczelnicy wioski stali w milczeniu.

Naśladował gesty, nawet akcent przewodnika, ale ja znów nic nie rozumiałem. Schweiz naciskał i naciskał, a przewodnik opierał się. Zaczęła mnie już ogarniać rozpacz i już chciałem zaproponować, żebyśmy dali sobie spokój i z pustymi rękami wrócili do Manneranu. Wtedy Schweiz jakoś go przełamał. Przewodnik, wciąż podejrzliwy, jasno zapytał Schweiza, czy naprawdę chce tego, co twierdzi, że chce, a Schweiz z całą mocą powiedział, że tak. Wtedy przewodnik nadal sceptyczny, zwrócił się ponownie do naczelników wioski. Tym razem mówił z nimi krótko i równie krótko rozmawiał ze Schwei-zem. - Załatwione - oznajmił mi Schweiz. - Dziś wieczór zażyjemy razem z nimi narkotyk. - Pochylił się i dotknął mego łokcia. - Jedno musisz zapamiętać. Jak już się pograżysz - kochaj. Jeśli nie będziesz mógł kochać, wszystko stracone.

Czułem się urażony tym ostrzeżeniem.

Dziesięciu z nich przyszło po nas o zachodzie słońca. Zaprowadzili nas do lasu na wschód od wioski. Wśród nich dojrzałem trzech naczelników, dwóch starszych mężczyzn i dwóch młodych oraz trzy kobiety. Jedna przystojna dziewczyna, druga taka sobie - i stara kobieta. Nasz przewodnik nie poszedł z nami. Nie wiem, czy nie został zaproszony na uroczystość, czy też nie miał ochoty brać w niej udziału.

Odeszliśmy dość daleko. Nie było już słychać płaczu dzieci we wsi ani szczekania psów. Zatrzymaliśmy się na odosobnionej polanie, gdzie wycięto setki drzew, a okorowane kłody ułożone w pięciu rzędach jako ławki tworzyły pentagonalny amfiteatr. Na środku poręby znajdowało się palenisko wylepione gliną, a obok starannie ułożony spory stos drewna do palenia. Skoro tylko przybyliśmy, dwaj młodzi mężczyźni zaczęli układać wielkie ognisko. Po drugiej stronie stosu drewna zobaczyłem następny wylepiony gliną dół, dwa razy tak duży jak ciało człowieka; zstępował ukośnie w głąb i sprawiał wrażenie tunelu prowadzącego do środka ziemi. Próbowałem tam zajrzeć przy świetle płonących polan, ale z miejsca, gdzie stałem, nie było widać nic szczególnego.

Sumarani wskazali nam, gdzie mamy usiąść: u podstawy pięcioboku. Ta zwyczajna dziewczyna usiadła obok nas. Po naszej lewej, zaraz u wejścia do tunelu, zasiedli trzej naczelnicy. Po prawej, przy ognisku, znajdowali się dwaj młodzi mężczyźni, a w odległym prawym rogu usiadła stara kobieta i jeden ze starców, drugi starszy człowiek i ta przystojna dziewczyna poszli do lewego rogu. Nim wszyscy usiedli, zrobiło się zupełnie ciemno.

Sumarani pozrzucaли to skąpe odzienie, jakie mieli na sobie, pokazując, abyśmy zrobili to samo, Schweiz i ja rozebraliśmy się i położyliśmy ubrania z tyłu na ławce. Na znak dany przez jednego z naczelników, ładna dziewczyna wstała i podeszła do ognia, zapaliła od płomieni gałąź i z tą pochodnią zbliżyła się do wejścia tunelu i niezręcznie spuściła w otwór nogi,

pochodnię trzymając wysoko, dziewczyna i pochodnia całkowicie zniknęły nam z oczu. Przez krótką chwilę widać jeszcze było migoczące światełko, ale wkrótce znikło i z tunelu wydobył się kłęb czarnego dymu. Niebawem dziewczyna wyłoniła się, już bez pochodni, w jednym ręku trzymała czerwone naczynie, w drugim - wysmukłą butelkę z zielonego szkła. Dwaj starcy - najwyżsi kapłani? - powstali z ławek, wzięli naczynie oraz butelkę. Zaczęli coś monotonicznie śpiewać, jeden z nich sięgnął do naczynia, zaczerpnął garść białego proszku - narkotyk! - i wsypał do butelki. Drugi uroczyście potrząsał butelką, mieszając zawartość. Tymczasem stara kobieta - kapłanka? - rozpląszczyła się nad otworem tunelu i zaczęła śpiewać w innej tonacji, młodzi mężczyźni zaś dorzucili drewna do ognia. Śpiewy trwały przez dobrych parę minut. Teraz dziewczyna, która schodziła do tunelu - wysmukła, o sterczących piersiach i długich, jedwabistych rudych włosach - odebrała flaszkę od starca i przeniosła na naszą stronę ogniska, a druga dziewczyna z namaszczeniem odebrała ją obiema rękami, podniosła do naczelników i podała im. Naczelnicy przyłączyli się do chóru. To, co w myślach nazwałem Obrzędem Przekazania Butelki, trwało i trwało. Z początku byłem tym zafascynowany, podobała mi się niezwykłość tej ceremonii, ale wkrótce znudziłem się i dla rozrywki zacząłem zgadywać, jaką treść duchową może mieć to, co się tutaj dzieje. Tunel, wyobraziłem sobie, symbolizuje wejście do części rodnych matki-świata, drogę do jej łona, skąd otrzymuje się narkotyk, wytworzony z jakiegoś korzenia, z czegoś, co rośnie pod ziemią. Wymyśliłem całą skomplikowaną, metaforyczną konstrukcję kultu matki: symboliczne znaczenie wniesienia płonącej pochodni do łona matki-świata, wykorzystanie zwyczajnej i pięknej dziewczyny jako reprezentantki całej kobiecości. Dwaj młodzi strażnicy ognia to chyba strażnicy seksualnej potencji naczelników i jeszcze mnóstwo innych rzeczy równie nonsensownych, ale - tak myślałem - dość interesująco i zręcznie wymyślonych jak na takiego biurokrata jak ja. Przyjemność z tej zabawy ulotniła się jednak natychmiast, gdy uświadomiłem sobie, że jestem wobec nich protekcyjny.

Traktowałem Sumaran jak osobliwych dzikusów, których pieśni i obrzędy były dość interesujące, ale bez jakiejś poważniejszej treści. A kimże byłem ja, żeby się tak wynosić? To przecież ja przybyłem do nich i zebrzę o narkotyk jasności, którego pragnie ma dusza. Kto więc z nas jest wyższą istotą? Wyrzucałem sobie swój snobizm. Kochaj. Zaniechaj mędrkowania. Włącz się w ich obrzędy, jeśli potrafisz, a przynajmniej nie okazuj im lekceważenia, nie czuj pogardy. Kochaj. Teraz pili naczelnicy, każdy po łyku, i oddawali butelkę dziewczynie, która, kiedy już wszyscy trzej napili się, zanosła butelkę najpierw starym mężczyznom, potem starej kobiecie, przystojnej dziewczynie, następnie młodemu strażnikowi ognia, z kolei Schweizowi i wreszcie mnie. Uśmiechnęła się podając butelkę. W migającym świetle ogniska wydała mi się nagle piękna. Butelka zawierała ciepłe, kleiste wino, zakrztusiłem się nim, ale wypilem. Narkotyk spłynął do mego wnętrza i począł ogarniać mą duszę.

Wszyscy staliśmy się jednością, ich dziesięcioro i my dwaj. Najpierw pojawiło się dziwne uczucie wznoszenia się, spoglądania z wyniosłości, wizje niebiańskiego światła, słyszenie nienaturalnych dźwięków, potem następowało odkrywanie bicia innych serc i rytmów innych ciał, podwojenie, zachodzenie na siebie świadomości, następnie rozplątywała się własna jaźń i stawaliśmy się jednym, my, których jest dwanaścioro. Zanurzyłem się w morze dusz i przypadłem. Zostałem uniesiony w samo Centrum Wszystkich Rzeczy. Nie było sposobu, żeby dowiedzieć się, czy jestem Kinnallem-synem septarchy, czy Schweizem-człowiekiem ze starej Ziemi, czy strażnikiem ognia, albo naczelnikiem, lub wręcz kapłanami, czy dziewczętami, bo oni wszyscy wmieszali się we mnie, a ja w nich. A to morze dusz stało się morzem miłości. Jakże mogło być czymkolwiek innym? Byliśmy sobą nawzajem. Wiązała nas wzajemnie miłość własna. Miłowanie siebie jest miłowaniem bliźnich, miłowanie bliźnich jest miłowaniem siebie. Kochałem. Pojmowałem teraz jaśniej niż poprzednio, dlaczego Schweiz powiedział mi "kocham cię", kiedy po raz pierwszy po zażyciu narkotyku wróciliśmy do rzeczywistości - stwierdzenie na Borthanie bardzo dziwne, nieprzyzwoite i zupełnie niestosowne w rozmowie mężczyzny[^] mężczyzną. Powiedziałem dziesięciu Sumaranom "kocham was", wprawdzie nie słowami, bo nie znałem ich słów, a nawet gdyby rozumieli mój język, czuliby się urażeni tymi słowami: w moim kraju "kocham cię" jest sprośnością i nic na to nie można poradzić. "Kocham was". I mówiłem to poważnie, a oni przyjęli dar mojej miłości. Ja, który byłem ich częścią. Ja, który nie tak dawno traktowałem ich jak zabawnych dzikusów czczących płonące w lasach ogniska. Poprzez nich dotarł do mnie szum lasu i huk fal przyboju. I tak oto dosięgnęła mnie miłość wielkiej matki-świata, która leży u twych stóp, wzdycha i drży, która obdarzyła nas narkotycznym korzeniem, zdolnym uleczyć nasze oddzielone od siebie jaźnie. Dowiedziałem się, jak to jest być Sumaranem i prowadzić proste życie w miejscu,

gdzie spotykają się dwie niewielkie rzeki. Odkryłem, że można nie mieć samochodów ani banków, a jednak należeć do wspólnoty cywilizowanej ludzkości. Przekonałem się, co ludzie z Velady Borthana uczynili z siebie w imię świętości i że można osiągnąć pełnię, jeśli idzie się drogą wskazaną przez Sumaran. Wszystko to pojąłem nie dzięki słowom ani obrazom, ale wskutek napływu wiedzy, która wtargnęła we mnie i stała się częścią mnie w sposób, jakiego nie potrafię opisać ani wyjaśnić. Słyszę już, jak mówisz, że albo kłamię albo jestem leniem, gdyż podaję ci tak mało szczegółów dotyczących przeprowadzonego przeze mnie eksperymentu. Na to odpowiadam, że nie można wyrazić słowami tego, co nigdy nie zawierało się w słowach. Można operować jedynie przybliżeniami i nawet przy największym wysiłku prawda staje się wykoślawiona i prostacka. Jakże więc mogę wytłumaczyć to, co przydarzyło mi się na porębie na Sumarze Borthanie? Rozpłynęliśmy się w sobie. Rozpłynęliśmy się w miłości. My, którzy nie mieliśmy wspólnego języka, doszliśmy do całkowitego zrozumienia swych jednostkowych jaźni. Kiedy po pewnym czasie narkotyk przestał działać, część mnie pozostała w nich, a część z nich we mnie. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, jeśli chcesz odczuwać, co to znaczy zostać uwolnionym z więzienia własnego rozumu, jeśli chcesz po raz pierwszy w życiu skosztować miłości, to powiadam ci: nie szukaj wyjaśniających słów, ale przyłóż butelkę do ust. Po prostu: przyłóż butelkę do swoich ust.

Przeszliśmy próbę. Dadzą nam to, czego chcemy. Po uczestnictwie w miłości przyszły targi. Powróciliśmy do wioski i rankiem tragarze wynieśli skrzynie z towarami na wymianę, a trzech naczelnicy przynieśli trzy pękate, gliniane garnki z widocznym w nich białym proszkiem. Wyłożyliśmy wielki stos noży, lusterek i zapalniczek, a oni ostrożnie przesypywali proszek w dwóch garnków do trzeciego. Cały handel prowadził Schweiz. Przewodnik, którego sprowadziliśmy z wybrzeża, zawiódł w zupełności, bo chociaż mówił językiem krajowców, nie umiał trafić do ich duszy. Targowanie się zmieniło charakter, kiedy Schweiz szczęśliwym trafem dorzucił do ustalonej ceny więcej świecidełek, a naczelnicy w odpowiedzi na to dosypali proszku do naszego naczynia. Wszyscy zaczęli się śmiać i z zapamiętaniem prześcigali się w okazywaniu dobrej woli. W końcu daliśmy mieszkańcom wsi wszystko, cośmy mieli, zatrzymując jedynie parę drobiazgów na podarki dla przewodnika i tragarzy, a ilość narkotyku, jaką nam za to nasypali, wystarczyłaby do opanowania tysięcy umysłów.

Kapitan Khrisch czekał już w porcie. - Mówiący widzi, że wam się powiodło - zauważył.

- Takie to wyraźne? - spytałem.

- Gdyśmy tu przybyli, gryzły was troski. Teraz, wyjeżdżając, jesteście szczęśliwymi ludźmi. Tak, widać to wyraźnie.

Pierwszego wieczoru w powrotnej podróży do Manneranu Schweiz poprosił mnie do swej kabiny. Wydobył naczynie z białym proszkiem i złamał pieczęć. Obserwowałem, jak starannie nasypywał proszek do małych torebeczek, podobnych do tej, w jakiej znajdowała się tamta pierwsza dawka. Pracował w milczeniu, prawie nie patrząc na mnie. Nappełnił jakieś siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt torebek. Gdy skończył, odliczył z nich tuzin i odsunął na bok. Wskazując pozostałe powiedział: - Te są dla ciebie. Ukryj je dobrze w swoim bagażu, bo inaczej będziesz musiał użyć całej władzy Urzędu Sądowo-Administracyjnego, żeby je

przepuścili celnicy.

- Dałeś mi pięć razy tyle, ile sam wziąłeś - zaprotestowałem.

- Twoje potrzeby są większe - oświadczył Schweiz.

Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć, dopóki nie znaleźliśmy się, z powrotem w Manneranie. Statek zawinął do portu w Hilminorze, zapłaciliśmy kapitanowi Khrischowi, przeszliśmy przez formalności kontrolne (ile zaufania mieli urzędnicy portowi jeszcze nie tak dawno!) i wyruszyliśmy samochodem w stronę stolicy. Wjeżdżając do miasta Manneranu Droga Sumar, minęliśmy tłoczną dzielnicę placów targowych i sklepików na otwartym powietrzu. Widziałem tysiące Mannerńczyków rozpychających się, targujących i kłócących. Widziałem, z jakim trudem załatwiali swe interesy, z jakim pośpiechem wyciągali formularze kontraktu po dobieciu targu. Patrzałem na ich twarze ściągnięte, napięte, oczy bez wyrazu i bez miłości. Pomyślałem o narkotyku, który wiozłem i westchnąłem w duchu: "O, gdybym mógł zmienić ich zimne dusze". Ujrzałem siebie kroczącego wśród nich, zagadującego obcych, odciągającego na bok tego lub innego i szepczącego łagodnie: "Ja jestem księciem Salli i wysokim urzędnikiem portowych władz sądowniczych, odsunąłem jednak od siebie czcze zaszczyty, żeby przynieść szczęście rodzajowi ludzkiemu i pokażę wam jak znaleźć radość dzięki samoobnażaniu. Ufaj mi - kocham cię." Niewątpliwie niektórzy uciekliby po usłyszeniu moich pierwszych słów, przerażeni początkowym sprośnym "Ja jestem", a inni mogliby mnie wysłuchać, potem napluć mi w twarz i nazwać wariatem, niektórzy wzywaliby policję, ale może znalazłoby się paru, którzy chcieliby dowiedzieć się, o czym mówię, skusiłoby ich to i poszliby za mną do jakiegoś zacisznego pomieszczenia, gdzie razem zażylibyśmy narkotyk. Jednemu po drugim otwierałbym dusze, aż w Manneranie byłoby dziesięciu takich jak ja... dwudziestu... stu... tajne stowarzyszenie samoobnażaczy, rozpoznających się po ciepłej miłości w oczach, chodzących po mieście i mówiących bez obawy "ja" i "mnie" do swych wtajemniczonych współbraci, porzucając nie tylko gramatykę uprzejmości, ale i trujące wypieranie się miłości własnej, które ta gramatyka narzucała. A potem znów wynajęłbym

kapitana Khrischa na podróż do Sumary Borthana i powrócił z kieszeniami pełnymi białego proszku, wędrowałbym przez Manneran, ja i do mnie podobni, podchodzilibyśmy do tego lub owego uśmiechając się i szepcząc: ”Pokażę ci, jak znaleźć radość dzięki samoobnażeniu. Ufaj mi - Kocham cię.”

W tych marzeniach zabrakło miejsca dla Schweiza. To nie jego planeta, nie zależało mu na tym, by ją zmienić. Dla niego liczyła się tylko własna duchowa potrzeba dotarcia do istoty boskości. Zaczął już do tego się przedzierać i mógł sam, na własną rękę, osiągnąć swój cel. On nie musiał przemykać się po mieście i zwabiać obcych ludzi. Dlatego dał mi większą część naszej sumarańskiej zdobyczy: ja byłem ewangelistą, byłem nowym prorokiem, mesjaszem otwierania się - i Schweiz zdał sobie z tego sprawę wcześniej niż ja. Do tej pory on był przywódcą - obdarzył mnie swoim zaufaniem, dał mi skosztować narkotyku, skusił do wyjazdu na Sumarę Borthan, skłonił do wykorzystania mej władzy w portowym Urzędzie Sądowniczo--Administracyjnym, trzymał mnie u swego boku, bo byłem mu towarzyszem, wsparciem i zabezpieczeniem, a ja pozostawałem całkowicie w jego cieniu. Teraz już nie będzie mnie zaćmiewał. Uzbrojony w te małe paczuszki rozpocznę sam walkę o zmianę świata. Było to zadanie, które powitałem z radością. Przez całe życie stale ktoś mnie przyćmiewał, dlatego własne sprawności fizyczne i zdolności umysłowe wydały mi się drugorzędne. Być może jest to naturalny defekt każdego drugiego syna septarchy. Najpierw był mój ojciec; nigdy nie mogłem mieć nadziei, że dorównam mu znaczeniem, zręcznością albo siłą. Potem Stirron, którego królowanie stało się powodem mego wygnania. Dalej był mój pracodawca w obozie drwali w Glinie. I jeszcze Segyord Helalam, i potem Schweiz. Wszyscy byli ludźmi zdecydowanymi i szanowanymi, wiedzieli, czego chcą, i potrafili utrzymać swoją pozycję w świecie, a ja tymczasem wędrowałem i dziwiłem się. Obecnie, będąc już w średnim wieku, mogłem wreszcie wyjść na światło. Miałem do spełnienia misję. Miałem cel. To bogo-

wie przywiedli mnie na to miejsce, zrobili tym, czym jestem, przygotowali do mego zadania. Z radością przyjąłem ich rozkazy.

Była pewna dziewczyna, którą utrzymywałem dla rozrywki w pokoju na jednej z uliczek w południowej części Manneranu, na tyłach Kamiennej Kaplicy. Utrzymywała, że jest nieślubnym dzieckiem księcia Kongoroi, poczętym w czasie, gdy książe składał oficjalną wizytę w Manneranie, za rządów mego ojca. Była to być może prawda. Ona w każdym razie w to wierzyła. Miałem zwyczaj zachodzić do niej dwa, trzy razy każdego czasu księżycowego na godzinkę przyjemności, kiedy zmęczyła mnie rutyna codziennych zajęć, a nuda nie dawała już żyć. Była dziewczyną prostoduszną, lecz namiętą, żywą, dostępną, niewymagającą. Nie ukrywałem przed nią, kim jestem, ale też nie Dzieliłem się z nią swym życiem wewnętrznym, czego zresztą nie oczekiwała. Rozmawialiśmy niewiele, a uczucie w ogóle nie wchodziło w rachubę. W zamian za to, że płaciłem za jej mieszkanie, pozwalała mi od czasu do czasu używać swego ciała. I to ona właśnie była pierwszą osobą, której dałem narkotyk. Zmieszałem go ze złotym winem.

- Wypijemy - oznajmiłem, a kiedy spytała dlaczego, odparłem: - Zbliży nas to do siebie. - Chciała wiedzieć, bez większego zainteresowania, jak to na nas podziała, więc wyjaśniłem. - Nasze dusze staną dla siebie otworem i oddzielające nas ściany staną się przejrzyste. - Nie wysunęła żadnych sprzeciwów, nie mówiła o Przymierzu, o pogwałceniu sfery prywatnej, nie wygłaszała kazań o szkodliwości samoobnażania się. Postąpiła zgodnie z moją wolą, przekonana, że nie zrobią jej krzywdy. Zażyliśmy odpowiednią dawkę i położyliśmy się nadzy na łóżku, czekając na działanie narkotyku. Głaskałem jej chłodne uda, całowałem koniuszki piersi, gryzłem delikatnie płatki małżowiny usznej. Wkrótce zaczęliśmy doświadczać dziwnych wrażeń - słyszeliśmy buczenie i czuliśmy pęd powietrza, docierały do nas nawzajem bicie naszych serc i uderzenia pulsu.

- Och - wyszeptała. - Och, mówiąca czuje się tak dziwnie! - Wcale jej to jednak nie

przerażało. Dusze nasze unosiły się, płynęły razem, byliśmy zatopieni w czystym, białym świetle pochodzącym z Centrum Wszystkich Rzeczy. Odkryłem, jak to jest, kiedy mam tylko szparę między udami, dowiedziałem się, jak to jest, kiedy obejmę się własnymi ramionami i ciężkie piersi stulą się razem, czułem, jak jajeczka pulsują niecierpliwie w moich jajnikach. A u szczytu tej wędrówki połączyliśmy swoje ciała. Czułem, jak mój członek wślizguje się do mojej jamy. Czułem, jak sam trę się o siebie. Poczulem, jak wsysa mnie wzbierający ocean ekstazy, a z mego ciemnego, gorącego i wilgotnego jądra zaczyna coś rosnać i wznosić się, poczułem klucie, swędzenie i rozlewające się ciepło wokół mego członka, zapowiedź nadchodzącej rozkoszy, uczułem, jak twarda, owłosiona tarcza mej piersi uciska leżące pod mną moje miękkie, delikatne kule, czułem wargi na wargach, język na języku i całą duszę zatopioną w mojej duszy. Ten związek naszych ciał trwał godzinami, może tak się tylko wydawało. W tym czasie moja jaźń była dla niej otwarta i mogła ujrzeć w niej, co chciała: moją wczesną młodość w Salli, ucieczkę do Glinu, małżeństwo, mą miłość do siostry więźnej, moją słabość, oszukiwanie siebie. Ja również spoglądałem w nią i widziałem jej słodycz, jej trzpiotowatość, moment, gdy po raz pierwszy spostrzegła krew na swoich udach, i tę inną krew później, zobaczyłem Kinnalla Darivala, jak wyglądał w jej wyobraźni, nieokreślone i niejasne nakazy Przymierza i całą resztę wnętrza jej duszy. Potem uniosła nas burza zmysłów. Czułem jej orgazm i swój, mój i mój, jej i jej, podwójne szaleństwo, które było jednym szaleństwem, spazm i wytrysk, wzlot i upadek. Leżeliśmy spoceni, lepcy i wyczerpani, narkotyk wciąż władał naszymi umysłami. Otworzyłem oczy i zobaczyłem jej oczy, zamglone z rozszerzonymi źrenicami. Próbowwała uśmiechnąć się do mnie. - Ja... ja... ja... ja... ja - mówiła. - Ja! - Była zdumiona i oszołomiona. - Ja! Ja! Ja! - Pocałowałem ją tam, gdzie rozdzielają się piersi i sam poczułem muśnięcie swoich warg. - Kocham cię - powiedziałem.

W portowym Urzędzie Sądowniczo-Administracyjnym pracował urzędnik Ulman, obiecujący młodzieniec, którego polubiłem. Wiedział, jaką mam władzę, znał moje pochodzenie, ale nie budziło to w nim grozy. Szanował mnie natomiast za umiejętność właściwej oceny i sprawne rozwiązywanie problemów w Urzędzie. Któregoś dnia zatrzymałem go dłużej i kiedy wszyscy wyszli, wezwałem do swego gabinetu. - Jest taki narkotyk z Sumary Borthana - powiedziałem - który pozwala, aby jedna dusza swobodnie łączyła się z inną. - Uśmiechnął się i odparł, że słyszał o tym, owszem, wie również, że trudno go dostać i niebezpiecznie używać. - Nie ma żadnego niebezpieczeństwa - zapewniłem go. - A co do trudności otrzymania, to... - wyjąłem jedną z moich torebeczek. Nie przestał się uśmiechać, chociaż na policzkach wystąpiły mu czerwone plamy. Zażyliśmy narkotyk razem, w moim gabinecie. Po paru godzinach, kiedy wychodziliśmy do domu, dałem mu trochę, żeby mógł go przyjąć ze swoją żoną.

W Kamiennej Kaplicy ośmieliłem się zaczepić obcego człowieka. Był to niski, krępy mężczyzna w książeńcych szatach, prawdopodobnie członek rodziny septarchy. Miał jasne, pogodne spojrzenie wierzącego i zrównoważone zachowanie kogoś, kto siebie zna i akceptuje. Ale kiedy skierowałem do niego słowa, odepchnął mnie i sklął z taką furią, że udzieliła mi się jego złość i omal go nie uderzyłem. - Samoobnażacz! Samoobnażacz! - To straszne słowo odbijało się echem po świętym budynku i ludzie odrywali się od medytacji, żeby popatrzeć. Był to największy wstyd, jaki przeżyłem od lat. Swoją chwalebłą misję ujrzałem z innej perspektywy, jako coś ohydneho, a siebie jako istotę godną litości, przymuszoną jakimś szaleństwem do wystawiania nędznej duszy na widok publiczny. Opuścił mnie gniew, opanował strach, przemknąłem się chyłkiem do bocznych drzwi, bo bałem się aresztowania. Przez cały następny tydzień chodziłem na palcach i oglądałem się za siebie. Ale nikt za mną nie szedł, nikt mnie nie prześladował, to były tylko wyrzuty sumienia.

Minął niemiły okres niepewności. Znowu ujrzałem swą misję w jasnym świetle i uznałem niezaprzeczalną wartość tego, co zobowiązałem się sam wobec siebie wykonać. Żał mi tylko tego człowieka z Kamiennej Kaplicy, który odrzucił mój dar. W ciągu tygodnia znalazłem trzech obcych, którzy zechcieli podzielić się ze mną narkotykiem. Dziwiłem się, że mogłem kiedyś w siebie zwątpić. Okres wielkiego zwątpienia miałem jednak przed sobą.

Próbowałem zbudować teoretyczne podstawy używania narkotyku, by stworzyć nową teologią miłości i otwarcia. Studiowałem Przymierze i liczne komentarze do Przymierza, usiłując odkryć, dlaczego pierwsi osadnicy na Veladzie Borthanie uznali za konieczny kult nieufności i wewnętrznego zamknięcia. Czego obawiali się? Co mieli nadzieję zachować? Ciemni ludzie w ciemnych czasach, z węzami pełzającymi w ich duszach i umysłach. Wreszcie ich zrozumiałem. Przekonani byli o swej własnej prawości. Postępowali jak potrafili najlepiej. Nie będziesz obnażał istoty twej duszy wobec bliźniego twego. Nie będziesz zbyt mocno wglębiał się w potrzeby własnego ja. Będziesz odmawiał sobie przyjemności sekretnych rozmów. Będziesz stawał sam przed bogami swymi. I tak żyliśmy przez setki lat, nie zadawaliśmy pytań, posłuszni, zachowujący Przymierze. Być może, większość z nas przestrzega obecnie Przymierza jedynie przez dobre wychowanie: nie chcemy własnym sprzeciwem wprawiać innych w zakłopotanie i dlatego żyjemy zamknięci z ropiejącymi wewnątrz ranami, mówimy do siebie uprzejmie w trzeciej osobie. Czy nadszedł czas, by stworzyć nowe Przymierze? Więzy miłości, nakaz dzielenia się? Ukryty w swych pokojach, z najwyższym wysiłkiem podjąłem pisanie. Co mam powiedzieć, aby mi uwierzono? Że dobrze postępowaliśmy po staremu, tylko koszty osobiste były zbyt wysokie. Że nie znajdujemy się już w takich niebezpiecznych warunkach, w jakich byli pierwsi osadnicy, i pewne zwyczaje stały się raczej trudnością w życiu niż cenną wartością, powinny więc zostać zarzucone. Że społeczeństwa powinny się rozwijać, jeśli nie mają chylić się ku upadkowi. Że miłość jest lepsza niż nienawiść, że ufność jest lepsza niż niedowierzenie. Niewiele jednak z tego, co napisałem, przekonywało mnie samego. Dlaczego występowałem z atakiem na ustalony porządek rzeczy? Czy z głębokiego przekonania, czy tylko z dążenia do haniebnych przyjemności? Byłem człowiekiem epoki, tkwiłem mocno w skale, z której wyrosłem, chociaż starałem się tę skałę roztrzaskać. Miotłem

się pomiędzy starymi wierzeniami a nowymi, jeszcze nie uformowanymi. Sto razy w ciągu dnia wpadałem z jednej skrajności w drugą, to ogarniał mnie wstyd, to egzaltacja. Gdy pewnego wieczoru pracowałem nad zarysem wstępu do nowego Przymierza, niespodziewanie weszła do gabinetu moja więźna siostra, Halum. - Co tam piszesz? - spytała. Przykryłem jeden arkusz papieru drugim. Na twarzy musiało mi się odmalować skrępowanie, a ona poczuła się niezręcznie, jakby chciała przeprosić mnie za najście. - Oficjalne sprawozdania - powiedziałem. - Głupstwa. Biurokratyczne nudy. - Tej nocy odczułem pogardę dla samego siebie i spaliłem wszystko, co napisałem.

W tamtych tygodniach podjąłem wiele podróży badawczych do nieznanych krajów. Przyjaciele, obcy ludzie, przypadkowi znajomi, kochanka - oto moi towarzysze w tych dziwnych podróżach. We wczesnej fazie czasu moich przemian nie powiedziałem Halum ani słowa o narkotyku. Zażyć go wraz z nią to był mój pierwotny cel, to właśnie dlatego podniosłem go do ust. Bałem się jednak przystąpić z tym do niej. I nie było to tchórzostwo, lecz prześladowcza myśl: a nuż, poznawszy mnie dobrze, przestanie mnie kochać?

Kilka razy byłem już blisko, by podjąć z nią ten temat. Powstrzymałem się. Nie śmiałem zbliżyć się do niej. Jeśli chcesz, możesz ocenić mą szczerłość poprzez moje wahanie. Jak czyste, mógłbyś zapytać, jest to moje nowe credo otwarcia, skoro uznałem, iż nie może ono dotyczyć mojej więźnej siostry? Otóż wcale nie upieram się, że moje myślenie było wtedy logiczne. Wyzwolenie się z tabu dotyczącego samo-obnażania się było moją świadomą decyzją, nie nastąpiło w drodze naturalnej ewolucji - i musiałem ustawicznie walczyć przeciwko starym nawykom przestrzegania zwyczajowego prawa. Chociaż w rozmowach ze Schweizem i innymi osobami, z którymi razem przyjmowałem narkotyk, mówiłem "ja" i "mnie", to jednak nigdy nie czułem się swobodnie. Wciąż krępowały mnie resztki zerwanych więzów. Patrzałem na Halum i wiedziałem, że ją kocham, i mówiłem sobie, że jedyna droga do spełnienia tej miłości wiedzie poprzez połączenie naszych dusz i że dysponuję proszkiem, który mógłby nas połączyć. Ale nie śmiałem. Nie miałem odwagi, by to uczynić.

Dwunastą osobą, z którą podzieliłem sumarański narkotyk, był mój więźny brat Noim. Przybył na tydzień do Manneranu jako mój gość. Nadeszła zima, w Glinie padał śnieg, więc mieszkańców północy nie trzeba było długo namawiać, żeby zawitali do naszej ciepłej prowincji. Noima nie widziałem od ubiegłego lata, kiedy to polowaliśmy razem w górach Huishtor. W zeszłym roku jakby oddaliliśmy się od siebie, w pewnym sensie miejsce Noima w moim życiu zajął Schweiz i już nie odczuwałem takiej jak kiedyś potrzeby obecności więźnego brata.

Noim był obecnie bogatym właścicielem ziemskim w Sal-li, odziedziczył bowiem majątki rodziny Condoritów, jak również krewnych swej żony. W wieku męskim stał się pulchny, chociaż nie otyły i ani jego dowcip ani spryt nie utonęły w pokładach tłuszczu. Skórę miał ciemną, nieskazitelnie gładką, jakby posmarowaną oliwą, wargi pełne, okrągłe szydercze oczy, na twarzy wyraz samozadowolenia. Mało co zdołało ujść jego uwagi. Po przybyciu do mego domu przyglądał mi się wnikliwie, jakby chciał policzyć moje zęby i wszystkie zmarszczki wokół oczu. Po zwyczajowych braterskich powitaniach, po wręczeniu mi podarku od siebie i od Stirrona, gdy już podpisaliśmy kontrakt między gościem a gospodarzem, Noim odezwał się niespodziewanie:

- Masz jakiś kłopot, Kinnallu?

- Czemu o to pytasz?

- Zaostrzyły ci się rysy twarzy. Schudłeś. Usta... masz skrzywione, co świadczy o wewnętrznym napięciu. Wokół oczu widać czerwone obwódki, uciekasz wzrokiem w bok.

Stało się coś złego?

- Były to najszcześniejsze miesiące w życiu mówiącego - powiedziałem być może zbyt gwałtownie.

Noim zignorował moje zaprzeczenie. - Masz jakieś problemy z Loimel?

- Każde z nas chodzi w swoją stronę.

- A więc trudności z pracą w Urzędzie?

- Proszę, Noim, zechciej uwierzyć, że...

- Na twojej twarzy malują się zmiany - oświadczył. - Nie zaprzeczysz, że coś zmieniło się w twoim życiu.

- A gdyby nawet?

- Zmiany na gorsze?

- Mówiący nie jest tego zdania.

- Dajesz wymijające odpowiedzi, Kinnallu. Ale pomyśl, po co ma się więźnego brata, jeśli nie po to, by podzielić się z nim swymi kłopotami.

- Nie ma żadnych kłopotów - upierałem się.

- Doskonale. - I wreszcie porzucił ten temat. Widziałem jednak, że obserwował mnie przez cały wieczór, a potem, następnego dnia przy porannym posiłku, badał mnie i sondował. Nigdy nie potrafiłem nic przed nim ukryć. Popijaliśmy niebieskie wino i rozmawialiśmy o zbiorach w Sal-li, o nowym programie Stirrona dotyczącym reformy wymiaru podatków, o ponownym wzroście napięcia między Sallą i Glinem, o krwawych starciach na granicy, które ostatnio kosztowały mnie życie siostry. Przez cały czas Noim mnie obserwował. Halum jadła z nami obiad i opowiadaliśmy sobie o naszych dzieciennych latach, a Noim mnie wciąż obserwował. Flirtował z Loimel, ale oczu ze mnie nie spuszczał. Gnębiło mnie jego zatroskanie moją osobą. Wkrótce na pewno będzie wypytywał innych, będzie starał się dowiedzieć od Halum lub Loimel, co też może mnie gryźć, aż wzbudzi w nich niepotrzebną ciekawość. Nie mogłem pozwolić, żeby dłużej nie wiedział o zasadniczym wydarzeniu w życiu więźnego brata. Późnym wieczorem następnego dnia, kiedy już wszyscy udali się na spoczynek, zabrałem

Noima do gabinetu i otworzyłem schowek, gdzie przechowywałem biały proszek. Spytałem, czy wie coś o sumarańskim narkotyku. Twierdził, że nic o nim nie słyszał. Opisałem mu pokrótce, jakie wywołuje efekty. Zasepił się i jakby cofnął w głąb siebie. - Często to zażywasz? - zapytał.

- Jedenaście razy, jak dotychczas.

- Jedenaście... ale dlaczego, Kinnallu?

- Żeby poznać naturę własnej osobowości, a można to zrobić dzieląc się z innymi swoim ja.

Noim wybuchnął śmiechem. - Samoobnażanie, Kinnallu?

- Różne miewa się fantazje w średnim wieku.

- Iz kim się tym bawisz?

- Nazwiska nie mają tu znaczenia. Nikogo zresztą nie znasz. Są to ludzie z Manneranu, rozmiłowani w przygodzie, nie bojący się ryzyka.

- Loimel?

Teraz przyszła moja kolej i ja parsknąłem. - Nigdy w życiu! Ona nic o tym nie wie.

- A więc Halum?

Potrząsnąłem głową. - Mówiący pragnąłby mieć odwagę, by zwrócić się z tym do Halum.

Do tej pory jednak wszystko przed nią ukrywa. Obawia się, iż jest ona zbyt dziewicza, mogłoby to ją przerazić. To smutne, prawda, Noimie, że coś tak podniecającego, coś tak cudownego trzeba ukrywać przed swą więzną siostrą?

- Przed swym więźnym bratem również - zauważył z przekąsem.

- Zostałbyś powiadomiony w odpowiednim czasie - oznajmiłem. - Zaproponowano by ci możliwość doświadczenia tej komunii.

Oczy mu rozblęły. - Sądysz, że ja chciałbym?

Jego rozmyślna sprośność wywołała tylko mój słaby uśmiezek. - Mówiący ma nadzieję, że jego brat więźny podzieli z nim wszystkie jego doświadczenia. W obecnej chwili narkotyk stworzył pomiędzy nami przepaść. Mówiący wielokrotnie odwiedza miejsca, w których ty nigdy nie byłeś. Pojmujesz to, Noimie?

Noim pojmował. Odczuwał pokusę, stał niepewnie na krawędzi otchłani, przygryzał wargi, pociągał się za uszy. Wszystko, co mu przychodziło do głowy, było dla mnie widoczne, jakbyśmy podzielili się już sumarańskim proszkiem. Niepokoił się o ranie, wiedząc, że na serio odszedłem od Przymierza i wkrótce mogę znaleźć się w poważnych duchowych oraz prawnych kłopotach. Poza tym pożerała go ciekawość, ponadto był świadom, że samoobnażenie się wobec więźnego brata nie było wielkim grzechem, chętnie przeto dowiedziałby się, jaka to komunია mogłaby połączyć go ze mną po zażyciu tego narkotyku. Jednocześnie w jego oczach pojawił się błysk zazdrości, że obnażyłem się wobec obcych, mało ważnych ludzi, a nie wobec niego. Powiadam ci, że to wszystko pojąłem w tamtej chwili, co później potwierdziło się, kiedy dusza Noima otworzyła się przede mną.

Przez parę dni nie wracaliśmy do tych spraw. Przychodził do mnie do biura i patrzył z podziwem, jak rozwiązuję problemy najwyższej wagi państwowej. Widział, jak kłaniają mi się urzędnicy, widział też urzędnika Ulmana, który zażył ze mną narkotyk. Czuła antena Noima odebrała natychmiast spokojną poufałość, z jaką Ulman odnosił się do mnie. Spotykaliśmy się ze Schweizem i opróżniliśmy wiele butelek dobrego wina, dyskutowaliśmy na temat religii w sposób poważny i gwałtowny, jak ludzie mający w czubie. - Całe moje życie - powiedział Schweiz - jest poszukiwaniem rozumowych przesłanek, które pozwoliłyby mi uwierzyć w to, co uważam za irracjonalne. - Noim zauważył, że Schweiz nie zawsze przestrzegał subtelności gramatycznych. Pewnego wieczoru jedliśmy kolację w towarzystwie mannerańskich notabli, we wspaniałym domu na wzgórzu nad miastem. Mężczyźni byli drobni jak ptaszki, nerwowi,

przesadnie elegancko ubrani, ich żony duże, przystojne, młode. Noima drażnili ci zblazowani książęta i baronowie rozprawiający o handlu i biżuterii, ale zirytował się jeszcze bardziej, kiedy rozmowa skupiła się wokół pogłoski, że narkotyk z południowego kontynentu, który rozwiązuje tajemnice umysłu, pojawił się obecnie w stolicy. Noim wlepił we mnie wzrok zgorzony mą hipokryzją i odmówił nawet słabej mannańska wódki, tak napięte miał 1 nerwy. Następnego dnia udaliśmy się razem do Kamiennej Kaplicy, nie żeby się oczyścić, ale obejrzeć pozostałości dawnych czasów, gdyż Noim ostatnio miał zainteresowania antykwarskie. Czyściciel Jidd szedł przypadkowo przez klasztor na modlitwy i dziwnie się do mnie uśmiechał. Zauważyłem, że Noim zaraz zaczął się zastanawiać, czy i jego nie wciągnąłem do swych przewrotnych praktyk. W ciągu tych dni rosło u Noima dokuczliwe napięcie, pragnął bowiem powrócić do tematu naszej wcześniejszej rozmowy, a jednak nie mógł się na to zdecydować. Ja ze swej strony nie zabierałem głosu. Wreszcie Noim przemógł się i w wigilię powrotu do Salli zaczął chrapliwie: - Ten twój narkotyk...

Powiedział, że nie mógłby uważać się za mego prawdziwego brata więźnego, gdyby go nie spróbował. Te słowa kosztowały go bardzo wiele. Był tak niespokojny, że nawet swój elegancki strój miał w nieładzie, a nad górną wargą wystąpiły mu kropelki potu. Poszliśmy do pokoju, gdzie nikt nie mógł nam przeszkodzić i przygotowałem napój. Kiedy wziął ode mnie butelkę, obdarzył mnie swym zwykłym uśmiechem, zuchwałym, bezwstydnym i filuternym, ale ręka tak mu drżała, że omal nie rozlał płynu. Narkotyk podziałał szybko. Noc była wyjątkowo wilgotna, gęsta, oślizgła mgła okrywała miasto i podmiejskie dzielnice, wydawało mi się, że przenika do naszego pokoju poprzez uchylone okno. Widziałem jej mgliste pasma szukające nas po omacku, tańczące pomiędzy więźnym bratem i mną. Początkowo sensacje stanu narkotycznego zaniepokoiły Noima, ale wytłumaczyłem mu, że to normalne: podwójne bicie serca, zamroczone głowa, wysoki, wibrujący dźwięk w powietrzu. Wkrótce staliśmy się

otwarci. Spojrzałem na Noima i wniknąłem nie tylko w jego jaźń, ale w jego wyobrażenie o sobie, pełne wstydu i pogardy. Noim czuł ogromną odrazę do swych wyimaginowanych wad, a było ich wiele. Oskarżał się o lenistwo, o brak zdyscyplinowania i ambicji, obojętność religijną, lekceważenie obowiązków oraz fizyczną i moralną słabość. Nie mogłem pojąć, czemu widział się w ten sposób, prawdziwy Noim był bowiem człowiekiem odpowiedzialnym, lojalnym wobec tych, których kochał, ostro osądzającym kaprysy, byстрыm i energicznym. Kontrast pomiędzy Noimem Noima, a Noimem należącym do świata był zdumiewający, jakby był zdolny należycie oceniać wszystko, prócz samego siebie. Spotykałem się już zresztą z takimi reakcjami podczas seansów narkotycznych. Właściwie, poza Schweizem, występowały one u wszystkich, których od lat dzieciennych przyzwyczajano do samozaparcia. U Noima jednak reakcja ta była ostrzejsza niż u innych.

Widziałem również mój własny wizerunek oczyma Noima: o wiele szlachetniejszy Kinnall Darival niż to sobie wyobrażałem. Jakże on mnie wyidealizował! Byłem tym wszystkim, czym sam pragnął być: wartościowym i aktywnym mężczyzną, dzierżącym władzę, wrogiem wszelkiej frywolności, doskonale opanowanym i pobożnym. Wizerunek ten nosił jednak świeżo nabytą skazę, bo czyż nie byłem plugawiającym Przymierze samoobnażaczem, który robił to i owo z jedenastoma obcymi ludźmi, a teraz zniecił więźnego brata do uczestnictwa w tym kryminalnym eksperymencie. Z kolei Noim odkrył we mnie głębie uczuć do Halum i to odkrycie, potwierdzające jego wcześniejsze podejrzenia, sprawiło, że znów zmienił swoje wyobrażenie o mnie. Ja ukazałem Noimowi, co zawsze o nim myślałem: że jest bystry, pomysłowy, zdolny, a on pokazał, jak teraz mnie widzi, już nie jako wyidealizowanego Kinnalla. To nasze wzajemne poznawanie się trwało przez pewien czas. Uważam, iż było to niezmiernie wartościowe, ponieważ i ja, i Noim mogliśmy w spojrzeniu na siebie znaleźć właściwą perspektywę, co nie było możliwe, gdy wskutek działania sumarańskiego narkotyku

spotykała się po raz pierwszy para obcych sobie ludzi. Kiedy czas napoju zaczynał się rozwiewać, poczułem się wyczerpany intensywnością naszej komunii, a równocześnie uszlachetniony, wywyższony i przemieniony.

Inaczej stało się z Noimem. Wyglądał na osłabionego i wewnętrznie zmrożonego. Z trudem mógł podnieść na mnie wzrok. Był w takim paskudnym nastroju, że nie śmiałem się do niego odezwać, czekałem, aż przyjdzie do siebie. Wreszcie przemówił: - Czy to już wszystko?

- Tak.

- Obiecaj mi coś, Kinnallu. Obiecasz?

- Powiedz- co, Noimie.

- Że nigdy nie zrobisz tego z Halum! Przyrzekasz? Obiecujesz mi to, Kinnallu? Nigdy.

Nigdy. Nigdy.

W parę dni po odjeździe Noima jakieś nagłe poczucie winy zawiodło mnie do Kamiennej Kaplicy. Aby wypełnić sobie czas do chwili, kiedy Jidd będzie mógł mnie przyjąć, spacerowałem po salach i korytarzach ciemnego budynku, zatrzymując się przed ołtarzami, kłaniając się uniżenie na wpół ślepym znawcom Przymierza, którzy na dziedzińcu wiedli uczone debaty. Odsunąłem młodszych czyścicieli, którzy, znając mnie, natarczywie proponowali swoje usługi. Wszystko wokół mnie miało związek z bogami, a jednak nie byłem w stanie wykryć bożej obecności. Być może Schweiz odnalazł boskość poprzez dusze innych ludzi, ale ja, bawiąc się w samoobnażanie, w jakiś sposób utraciłem wiarę. Nie miało to zresztą dla mnie znaczenia, wiedziałem bowiem, że w swoim czasie odnajdę łaskę dzięki szerzeniu miłości i zaufania, co zamierzałem zrobić.

Poszedłem do Jidda. Nie korzystałem z oczyszczenia od czasu, gdy Schweiz dał mi po raz pierwszy sumarański narkotyk. Mały krzywonosy człowieczek poczynił uwagę na ten temat, kiedy odbierałem od niego kontrakt. Nawał obowiązków w Urzędzie, wyjaśniłem, a on pokręcił głową, jakby chciał połajać. Usadawiłem się przed zwierciadłem, z którego spoglądała na mnie wychudła, obca twarz. Spytał, jakiego dziś chciałbym boga, więc powiedziałem, że boga niewinnych. Spojrzał na mnie podejrzliwie. Zapłonęły święte ognie. Łagodnymi słowami chciał doprowadzić mnie do wyznań. Co mogłem powiedzieć? Że zlekceważyłem zobowiązanie i piłem napój powodujący samoobnażenie z każdym, kto tylko zechciał? Siedziałem i milczałem. Jidd przynaglał mnie. Zrobił coś, czego nigdy nie robił żaden czyściciel, powrócił do mego poprzedniego oczyszczania i kazał mi znów mówić o narkotyku, do którego zażycia przyznałem się wcześniej. Czy znów go zażywałem? Przysunąłem twarz tuż do lustra, aż zapotniało od mego oddechu. Tak. Tak. Mówiący jest nędznym grzesznikiem i jeszcze raz uległ słabości. Wtedy Jidd spytał, skąd miałem ten narkotyk, a ja powiedziałem, że po raz pierwszy

przyjąłem go w towarzystwie kogoś, kto nabył go od człowieka przybyłego z Sumary Borthanu. Tak, powiedział Jidd, a jak nazywał się ten towarzysz? To było niezręczne posunięcie, obudziło natychmiast moją czujność. Wydało mi się, że pytanie wykracza daleko poza potrzeby oczyszczenia i na pewno nie ma związku z moim obecnym stanem. Odmówiłem przeto podania mu nazwiska Schweiza, co spowodowało, że spytał mnie dość ostro, czy obawiam się, że nie dochowa tajemnicy obrzędu.

Czy bałem się tego? Bywały rzadkie przypadki, że ukrywałem coś przed czyścicielami ze wstydu, ale nigdy z obawy przed zdradą. Byłem naiwny i świącie wierzyłem w panującą w domu 'bożym etykę. Dopiero teraz stałem się nagle podejrzliwy, a tę podejrzliwość wzbudził sam Jidd. Dlaczego chce to wiedzieć? Jakich informacji szuka? Na co zdałoby się mnie albo jemu, gdybym ujawnił źródło pochodzenia narkotyku? Powiedziałem: - Mówiący pragnie wybaczenia dla siebie, co więc ma do tego ujawnienie nazwiska jego towarzysza? Niechże on sam się oczyści. - Nie było oczywiście mowy, żeby Schweiz poszedł do czyściciela. Ta gra słowna z Jiddem spowodowała, że wartość oczyszczenia gdzieś wyciekła i pozostałem pusty. - Jeśli chcesz otrzymać pokój od bogów - oznajmił Jidd - musisz wypowiedzieć wszystko, co masz w duszy. - Jak mogłem to zrobić? Wyznać, że skłoniłem jedenaście osób do samoobnażenia się? Nie zależało mi na przebaczeniu od Jidda. Przestałem wierzyć w jego dobrą wolę. Wstałem gwałtownie, oszołomiony trochę klęceniem w ciemności, zachwiałem się i potknąłem. Nadpłynął dźwięk śpiewanego gdzieś hymnu i zapach drogich kadzideł. - Mówiący nie jest dziś przygotowany na oczyszczenie - oświadczyłem Jiddowi. - Mówiący musi dokładniej zbadać swą duszę. - Podążyłem po omacku ku drzwiom. Jidd spojrzał z zakłopotaniem na pieniądze, jakie mu dałem. - Opłata? - zawołał. Powiedziałem mu, że może sobie wszystko zatrzymać.

Dni stały się puste, oddziaływały tylko jeden seans narkotyczny od drugiego. Stałem się bezwolny, jakbym unosił się na fali, i bez przekonania spełniałem swoje obowiązki, nie dostrzegając właściwie nic wokół siebie, liczyła się tylko następna komunika. Świat rzeczywisty rozplynął się. Straciłem zainteresowanie seksem, winem, jedzeniem, przestało mi zależeć na pracy w Urzędzie Administracyjno-Sądowym, nie obchodziły mnie tarcia pomiędzy sąsiadującymi prowincjami Velady Borthana, wszystko było mi obojętne. Chyba zbyt często przyjmowałem narkotyki. Straciłem na wadze, miałem trudności ze spaniem, całymi godzinami kręciłem się i przewracałem na łóżku, nękanym dusznym, tropikalnym powietrzem, byłem zmęczony, bolały mnie gałki oczne, czułem piasek pod powiekami. Z Loimel rozmawiałem rzadko i nie dotykałem jej. Nie dotykałem właściwie prawie żadnej kobiety. Kiedyś zasnąłem przy posiłku w ciągu dnia, który jadłem z Halum. Ogromnie zgorszyłem Najwyższego Sędziego Kalimola, gdy na jedno z jego pytań odpowiedziałem: - Mnie się wydaje... - Stary Segvord Helalam stwierdził, że chyba jestem chory i zaproponował, abym pojechał z synami na polowanie na Wypaloną Nizinę. Narkotyki miały jednakże również właściwości ożywcze. Stale poszukiwałem nowych współuczestników, co stało się obecnie łatwiejsze, niejednokrotnie bowiem przyprowadzali ich do mnie ci, co już odbyli ze mną tę podróż w głąb samego siebie. Stanowili oni dziwną grupę: dwaj książęta, markiz, ładaczka, strażnik archiwów królewskich, kapitan żegluga morskiej z Glinu, kochanka pewnego septarchy, dyrektor Handlowego Banku Żeglarzy w Manneranie, poeta, prawnik z Velis prowadzący tu rokowania z kapitanem Khrischem i wiele innych osób. Krąg samoobnażaczy wciąż się rozszerzał. Moje zapasy narkotyku były na wyczerpaniu, ale paru moich przyjaciół rozmawiało o przygotowaniu nowej ekspedycji do Sumary Borthana. W tym czasie było już nas pięćdziesięcioro. Zmiana osobowości stała się zaraźliwa, Manneran ogarnęła epidemia.

Czasami, nieoczekiwanie, w pustym, martwym okresie między jedną komunią a drugą, doznawałem dziwnego zakłócenia osobowości. Ładunek zapożyczonych doświadczeń, który legł w ciemnych głębiach mego umysłu, podpływał niekiedy do wyższych stref mej świadomości i wciskał się do mej jaźni. Pozostawałem świadomy, że jestem Kinnallem Darivalem, synem septarchy z Salli, a jednak nagle wśród mych wspomnień pojawiał się fragment należący do Noima, albo Schweiza, lub któregoś z Sumaran, czy też kogoś innego, z kim podzieliłem się narkotykiem. W okresie tego rozdwojenia jaźni - chwilę, godzinę, pół dnia - chodziłem niepewny swej przeszłości, niezdolny określić, czy jakieś wydarzenie, które miałem w pamięci, przytrafiło mi się rzeczywiście, czy też wiedzę o nim nabyłem wskutek zażycia narkotyku. Początkowo przeszkadzało mi to, ale jakoś nie przerażało, poza pierwszym, drugim, czy trzecim razem. W końcu nauczyłem się odróżniać cudze wspomnienia od tych, które sam zdobyłem w przeszłości. Narkotyk zrobił ze mnie istotę wieloosobową. Czy nie lepiej być wieloma osobami niż jedną niepełną?

Wczesną wiosną zapanowały w Manneranie nieprzytomne upały i towarzyszyły im częste deszcze. Roślinność w całym mieście oszalała i byłaby pochłonęła wszystkie ulice, gdyby jej codziennie nie wyrąbывano. Wszędzie było zielono, zielono, zielono, zielona mgła na niebie, z nieba padał zielony deszcz, niekiedy przez chmury przeświecało zielone słońce, z każdego balkonu zwieszały się szerokie, błyszczące, zielone liście, w każdym ogródku szalała zieleń. I dusza człowiecza mogła spleśnieć w tej wilgoci. Zielone też były markizy na ulicy sklepów handlarzy wonnych korzeni. Loimel wręczyła mi długą listę zakupów - delikatesów z Threish, Velis i Podmokłej Niziny, a ja jako uległy małżonek poszedłem, by je nabyć, ulica wonnych korzeni znajdowała się zresztą w pobliżu Urzędu Administracyjno--Sądowego. Loimel urządzała wielkie przyjęcie z okazji Dnia Nazwania naszej najstarszej córki, która miała wreszcie otrzymać dorosłe imię, jakie dla niej wybraliśmy: Loimel. Zaprosiliśmy wszystkie ważne osobistości Manneranu, by stały się świadkami obrzędu, podczas którego moja żona zyska imienniczkę. Wśród gości znaleźli się i tacy, którzy ze mną potajemnie skosztowali sumarańskiego narkotyku, co sprawiało mi osobistą uciechę. Schweiz nie został zaproszony, gdyż Loimel uważała, że jest gruboskórny, wyjechał zresztą z Manneranu w interesach, gdy tylko pogoda zaczęła wariować.

Podążałem przez tę zieloność do najlepszego sklepu. Deszcz przestał padać i niebo jak zielony namiot wznosiło się nad dachami. Rozkoszne zapachy łaskotały mi nozdrza, wokół unosiły się chmury drażniących język słodkich ostrości. Niespodziewanie zaczęły mi kłębić się pod czaszką jakieś czarne bąble i stałem się Schweizem, targującym się na molo z nie znanym mi szyprem, który przywiózł właśnie ładunek drogich towarów z Zatoki Sumar. Przystanąłem, ażeby nacieszyć się tą plątaniną osobowości. Schweiz zbladł. Zmysłami Noima wahałem zapach świeżo skoszonego siana w majątku Condoritów, nagrzanego słońcem kończącego się

lata. Potem ku swemu zdumieniu stałem się ni stąd ni zowąd dyrektorem banku i pieściłem ręką pupę jakiegoś mężczyzny. Nie potrafię uzmysłwić ci szoku tego przeżycia, krótkiego i palącego. Nie tak dawno zażyłem narkotyk wraz z tym dyrektorem banku i nie dostrzegłem w jego duszy nic, co świadczyłoby o skłonnościach do własnej płci. Nigdy bym czegoś takiego nie przeoczył. Albo wizja ta była niczym nie uzasadniona, albo ukrył przede mną część swojej jaźni nie ujawniając swych upodobań. Czy częściowe otwarcie się było możliwe? Sądziłem, że w takiej chwili wnętrze drugiego człowieka jest mi całkowicie dostępne. Nie oburzał mnie rodzaj jego żądy, byłem tylko poruszony własną niemożnością pogodzenia tego, co właśnie przeżyłem, z tym, co mi przekazał w dniu, kiedy zażyliśmy narkotyk. Nie miałem jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo gdy tak stałem gapiąc się przed sklepem korzennym, jakaś ręka chwyciła mnie za ramię i jakiś ostrożny głos powiedział: - Muszę pomówić z tobą w sekrecie, Kinnalu. - Muszę, ja muszę, ten zwrot natychmiast wyrwał mnie z marzeń.

Koło mnie stał Androg Mihan, strażnik archiwów pierwszego septarchy Manneranu. Był to drobny mężczyzna o ostrych rysach, siwy; ostatni, o którym byś pomyślał, że szuka niedozwolonych przyjemności. Przyprowadził go do mnie książę Sumaru, będący jedną z mych wcześniejszych zdobyczy. - Dokąd mamy pójść? - spytałem, a Mihan wskazał na obskurny dom boży dla pospólstwa po drugiej stronie ulicy. Czyściciel łąził na zewnątrz, starając się złowić klientów. Nie wiedziałem, w jaki sposób uda nam się rozmawiać poufnie w domu bożym, ale poszedłem za archiwistą. Wkroczyliśmy do domu bożego i Mihan powiedział czyścicielowi, aby przyniósł formularze kontraktu. Jak tylko czyściciel oddalił się, Mihan pochylił się ku mnie i powiedział: - Policja jest w drodze do twego domu. Kiedy wrócisz, zostaniesz aresztowany i zabrany do więzienia na jedną z wysp w Zatoce Sumar.

- Skąd o tym wiesz?

- Dekret został podpisany dziś rano i kopię przesłano mi do akt.

- O co się mnie oskarża? - spytałem.

- O samoobnżanie - odpowiedział Mihan. - Oskarżenie zostało wniesione przez agentów z Kamiennej Kaplicy.

Jest również oskarżenie świeckie: używanie i bezprawne rozpowszechnianie narkotyków. Dopadli cię, Kinnallu.

- Kto jest informatorem?

- Niejaki Jidd, czyściciel z Kamiennej Kaplicy. Pozwoliłeś wyciągnąć z siebie historię narkotyku?

- Tak. W swojej naiwności. Świętość domu bożego...

- Świętość tej gnojówki! - wykrzyknął gwałtownie Androg Mihan. - Teraz musisz uciekać! Przeciwno tobie zmobilizowano wszystkie środki rządowe.

- Dokąd uciekać?

- Dziś w nocy ukryje cię książę Sumaru - powiedział Mihan. - Potem... nie mam pojęcia.

Czyściciel powrócił niosąc komplet kontraktów. Uśmiechnął się do nas z wyższością i spytał: - No więc, panowie, który z was ma być pierwszy?

- Mówiący przypomniał sobie, że ma inne spotkanie - oznajmił Mihan.

- Mówiący poczuł się nagle niedobrze - usłyszał ode mnie.

Rzuciłem zdumionemu czyścicielowi większą monetę i opuściliśmy dom boży. Na

zewnątrz Mihan udawał, że mnie nie zna i poszliśmy osobno nie odzywając się do siebie. Ani przez moment nie wątpiłem w prawdziwość tego ostrzeżenia. Musiałem uciekać. Loimel sama kupi sobie przyprawy. Skinąłem na przejeżdżający samochód i udałem się natychmiast do posiadłości księcia Sumaru.

Książę należy do najbogatszych ludzi w Manneranie. Jego majątności ciągną się wzdłuż Zatoki i u podnóża gór Huishtor, posiada wspaniały dom w stolicy, położony w parku godnym cesarskiej rezydencji. Pełni dziedziczną funkcję strażnika komory celnej przy Przełęczy Stroin, co stanowi źródło bogactwa całej rodziny, przez stulecia bowiem pobierano myto od wszystkich towarów dostarczanych na rynek z Podmokłej Niziny. Jako człowiek, książę jest bardzo szpetny. Albo uderzająco piękny, trudno mi zdecydować. Ma dużą, płaską, trójkątną twarz, cienkie wargi, potężny nos i gęste, kędzierzawe włosy, które przylegają do czaszki. Włosy te są zupełnie siwe, na twarzy jednak nie ma zmarszczek. Oczy ma wielkie, ciemne, gorejące. Policzki wklęsłe. Jest to twarz ascety, która wydawała się raz twarzą świętego, raz potwora, a czasem jednym i drugim równocześnie. Pozostawałem z nim w bliskich stosunkach od chwili mego przybycia do Manneranu przed wielu laty. To on pomógł Segvordowi Helalamowi uzyskać poważne stanowisko i władzę i on też związał węzłem małżeńskim mnie i Loimel. Kiedy zacząłem przyjmować sumarański narkotyk, odgadł to chyba drogą telepatii i w sposób niezwykle subtelny w rozmowie wydobył ode mnie, że posiadam ten narkotyk, a potem zaaranżował spotkanie, byśmy go mogli razem zażyć. Było to przed czterema wschodami księżyca, późną zimą.

Kiedy przybyłem do jego domu, toczyła się tam narada, w pełnej napięcia atmosferze. Przybyła większość znamienitych osobistości, które zwabiłem do mego kręgu samoobnażaczy. Książę Mannerangu Smor. Markiz Woyn. Dyrektor banku. Komisarz Skarbu i jego brat. Prokurator Generalny Manneranu. Nadzorca Pogranicza. I pięć lub sześć innych osób o podobnym znaczeniu. Archiwista Mihan przyszedł wkrótce po mnie.

- Jesteśmy już wszyscy - powiedział Książę Mannerangu Smor. - Mogliby nas zgarnąć za jednym zamachem. Czy posiadłość jest dobrze strzeżona?

- Nikt tu nie wtargnie - odparł ksiązę Sumaru lodowatym tonem, wyraźnie urażony przypuszczeniem, że zwykła policja mogłaby wejść do jego domu. Zwrócił na mnie swoje, ogromne, odpychające oczy. - Kinnallu, dziś będzie twoja ostatnia noc w Manneranie, nie ma na to rady. Zostaniesz kozłem ofiarnym.

- Czyja to decyzja - spytałem.

- Nie nasza - odpowiedział ksiązę. Wyjaśnił, że w Manneranie próbowano dokonać czegoś w rodzaju zamachu stanu i że może się to udać. Rewolucja młodszych biurokratów przeciwko pryncypałom. Zaczęło się od tego, powiedział, że ja przyznałem się wobec czyściciela Jidda do zażycia sumarańskiego narkotyku. (Twarze zebranych w pokoju zasepiły się. Nikt nie powiedział tego głośno, ale wszyscy uważali, że okazałem się głupcem i teraz muszą zapłacić za swoje szaleństwo.) Wyglądało na to, że Jidd związał się z potajemnie intrygującą kliką niezadowolonych niższych urzędników, gotowych na przejęcie władzy. Jidd był czyścicielem większości ważnych ludzi w Manneranie, miał więc wyjątkowo dogodną pozycję, żeby przysłużyć się ambitnym spiskowcom, zdradzając sekrety osób na najwyższych stanowiskach. Dotychczas nie wiadomo, dlaczego Jidd zdecydował się złamać złożone przysięgi. Ksiązę Sumaru podejrzewał, że zażyłość Jidda z możliwymi klientami sprawiła, iż zaczął ich lekceważyć, a długoletnie wysłuchiwanie ich melancholijnych wynurzeń spowodowało, że poczuł do nich odrazę. Dlatego znalazł satysfakcję w tym, że mógł współdziałać w ich zniszczeniu. Od paru miesięcy Jidd przekazywał użyteczne wiadomości drapieżnym podwładnym, którzy zaczęli szantażować swoich zwierzchników, często z pożądanym skutkiem. Przyznając się Jiddowi do użycia narkotyku, odsłoniłem przed nim swą słabą stronę i mogłem sprzedać pewnym ludziom w Urzędzie Administracyjno--Sądowniczym, którzy pragnęli wygryźć mnie z mej posady.

- Ależ to absurd! - zawołałem. - Jedyne dowody przeciwko mnie strzeżone są świętością

domu bożego! Jakże Jidd może wnieść przeciwko mnie oskarżenie oparte o to, z czego się przed nim oczyściłem? Postawię go przed sądem za złamanie kontraktu!

- Jest jeszcze inny dowód - oznajmił ze smutkiem markiz Woyn.

- Jaki?

- Wykorzystując to, co usłyszał z twych ust - mówił markiz. - Jidd mógł skierować twych nieprzyjaciół na właściwy trop. Odnaleźli pewną kobietę, która mieszka w barakach za Kamienną Kaplicą i ona wyznała im, że dałeś jej jakiś dziwny napój, który otworzył przed tobą jej duszę...

- Dranie!

- Zdołali też - powiedział książę Sumaru - powiązać z tobą kilku z nas. Nie wszystkich, ale paru. Dziś rano do niektórych przyszli ich podwładni z żądaniem, ażeby zrezygnowali ze swych stanowisk, bo w przeciwnym razie zostaną zdemaskowani. Byliśmy nieugięci wobec tych żądań i ci, którzy je wysunęli, zostali zatrzymani. Nie wiadomo jednak, ilu mają sprzymierzeńców wśród wpływowych osób. Możliwe, że do następnego wschodu księżyca zostaniemy wszyscy obaleni, a nasze stanowiska zajmą nowi ludzie. Moim zdaniem jest to jednak wątpliwe, ponieważ, o ile się orientujemy, jedynym liczącym się dowodem jest zeznanie tej suki, a ono dotyczy jedynie ciebie, Kinnallu. Oskarżenia wniesione przez Jidda nie mogą być oczywiście przyjęte, ale mimo to mogą przynieść szkodę.

- Możemy podważyć jej wiarygodność - stwierdziłem. - Będę utrzymywał, że nigdy jej nie znałem. Będę...

- Za późno - oznajmił Prokurator Generalny. - Jej zeznanie zostało zarejestrowane pod przysięgą. Posiadam kopię, którą przekazał mi Główny Sędzia. Jest nie do podważenia.

Wpadłeś beznadziejnie.

- I co teraz? - spytałem.

- Musimy zmiażdżyć ambitnych szantażystów - powiedział książę Sumaru - i zrujnować ich finansowo. Jidda pozbawimy prestiżu i przegonimy z Kamiennej Kaplicy. Będziemy stanowczo zaprzeczać wszelkim oskarżeniom o samoobnażanie, gdyby zostały przeciwko nam wniesione. Ty jednak musisz opuścić Manneran.

- Dlaczego? - patrzyłem na księcia z zakłopotaniem. - Nie jestem pozbawiony wpływów i skoro wy możecie przeciwstawić się oskarżeniom, czemu ja nie mogę?

- Dowody twej winy są zarejestrowane w aktach - oświadczył książę Mannerangu Smor.

- Jeśli uciekniesz, można będzie twierdzić, że zamieszany w to jesteś tylko ty i ta dziewczyna, którą skorumpowałeś, a reszta została zmontowana przez jakieś podrzędne figury zainteresowane obaleniem swych panów. Jeżeli zostaniesz i będziesz próbował walczyć w tej beznadziejnej sprawie, to śledztwo doprowadzi do klęski nas wszystkich.

Teraz wszystko stało się jasne.

Stanowiłem dla nich niebezpieczeństwo. Mogłem załamać się w sądzie i wina ich zostałyby ujawniona. Jak do tej pory, byłem jedynym oskarżonym i jedynym zagrożonym procesem sądowym. Oni mogli być wmieszani w tę sprawę jedynie przeze mnie. Gdybym wyjechał, nie było sposobu, żeby dobrać się do nich. Bezpieczeństwo większości wymagało mego wyjazdu. Przecież to moja naiwna wiara w dom boży doprowadziła do nieprzemyślanych wyznań wobec Jidda, co spowodowało całą tę burzę. To ja zawiniłem i ja muszę odejść.

Książę Sumaru powiedział: - Zostaniesz z nami, póki nie zacznie świtać, potem mój prywatny wóz terenowy w obstawie straży przybocznej (jakbym to ja sam podróżował), zawiezie cię do majątku markiza Woyn. Tam będzie czekała łódź. O świcie będziesz już na drugim brzegu rzeki Woyn, w rodzinnej Salli - i oby bogowie podróżnych mieli cię w opiece.

I znów jestem zbiegiem. W ciągu dnia straciłem całą władzę, jaką przez piętnaście lat zdobywałem w Manneranie. Nie zdołają mnie uratować ani dobre urodzenie, ani rozległe znajomości. Łączyły mnie więzy pokrewieństwa, stosunki miłosne, albo związki polityczne z połową władców Manneranu, a jednak nikt nie był w stanie mi pomóc. Mogłoby wydawać się, że to oni zmusili mnie, żebym udał się na wygnanie, by w ten sposób ocalić własną skórę, ale tak nie było. Moje odejście stało się koniecznością. Tyle samo bólu sprawiało im, co mnie. Nie miałem nic poza ubraniem na sobie. Moja odzież, moja broń, wszystkie ozdoby, całe moje bogactwo musiało pozostać w Manneranie. Będąc chłopcem, księciem uciekającym z Salli do Glinu, byłem na tyle przezorny, żeby naprzód przekazać swoje fundusze, a teraz zostałem odcięty od wszystkiego. Moje dobra zostaną zajęte, moi synowie star się nędzarzami. Zabrakło czasu, żeby temu zapobiec.

Z pomocą przyszli mi przyjaciele. Prokurator Generalny, który był prawie tego wzrostu co ja, przyniósł mi parę sztuk wytwornej garderoby. Komisarz Skarbu dostarczył mi pokaźną sumę pieniędzy w walucie sallańskiej. Książę Mannerangu, Smor, zdjął dwa własne pierścienie i wisior, abym nie pokazał się w rodzinnej prowincji pozbawiony ozdób. Markiz Woyn zmusił mnie do przyjęcia sztyletu z rękojeścią zdobioną drogimi kamieniami. Mihan obiecał pomówić z Segvordem Helalamem i przedstawić mu szczegóły mego upadku. Mihan był przekonany, że Segvord okaże współczucie i dzięki swym wpływom będzie mógł ochronić mych synów, a żeby nie obciążły ich oskarżenia, jakie spadły na ojca.

Głęboką nocą, kiedy siedziałem sam i w ponurym nastroju spożywałem kolację, na co wcześniej nie miałem czasu, przyszedł książę Sumaru i wręczył mi małą kasetkę z czystego złota, ozdobioną klejnotami, podobną do puzderka, w jakim nosi się podręczne lekarstwa. - Otwórz ją ostrożnie - powiedział. Zrobiłem to i okazało się, że napełniona jest po brzegi białym

proszkiem. Zdumiony spytałem, skąd to ma i odpowiedział, że niedawno wysłał potajemnie agentów do Sumary Borthana. Powrócili z niewielkim zapasem narkotyku. Twierdził, że mu jeszcze trochę zostało, ale podejrzewam, że dał mi wszystko co miał.

- Za godzinę będziesz musiał wyjechać - powiedział ksiązę, aby powstrzymać potok mych słów wdzięczności.

Spytałem, czy wolno mi jeszcze zatelefonować.

- Segvord wyjaśni wszystko twojej żonie - odparł ksiązę.

- Nie myśli się o żonie. Myśli się o więźnej siostrze. - Mówiąc o Halum nie potrafiłem użyć tej szorstkiej formy gramatycznej, którą posługujemy się my, samoobnażacze. - Nie było możliwości, żeby się z nią pożegnać.

Książę rozumiał moją udrękę, bo przecież gościł w mej duszy. Nie udzielił mi jednak zezwolenia na tę rozmowę. Linia może być na podsłuchu, nie chciał ryzykować, żeby tej nocy mój głos rozległ się z jego domu. Zdałem sobie sprawę, w jak delikatnej sytuacji znalazł się ksiązę, i nie nalegałem. Będę mógł zadzwonić do Halum jutro, gdy przepłynę Woyn i znajdę się bezpiecznie w Salli.

Wkrótce nadszedł czas odjazdu. Moi przyjaciele parę godzin wcześniej opuścili księcia i tylko on sam wyprowadził mnie z domu. Czekał już jego imponujący wóz terenowy oraz oddział gwardii przybocznej na siłocyklach. Książę uścisnął mnie, wsiadłem do samochodu i oparłem się na poduszkach. Kierowca przyciemnił szyby w oknach, co kryło mnie przed niepożądanym wzrokiem, choć sam widziałem wszystko. Wóz potoczył się wartko, nabrał szybkości i pomknął w ciemność wraz z szóstką ludzi eskorty. Wydawało się, że godziny minęły, zanim dojechaliśmy do głównej bramy posiadłości księcia. Wyjechaliśmy na autostradę. Siedziałem całkowicie zmrożony, niezdolny do myślenia o tym, co mi się przytrafiło. Droga wiodła na północ, pędziliśmy z taką szybkością, że zanim wzeszło słońce,

dotarliśmy do majątności markiza Woyn na granicy Manneranu i Salli. Otwarto bramę, mineliśmy ją nie zwalniając i znaleźliśmy się na drodze przez gęsty las, w którym przy świetle księżycy dostrzegłem poskręcane pasożytnicze rośliny, które jak grube sznury zwieszały się z jednego drzewa na drugie. Nagle wyskoczyliśmy na polanę i ujrzałem brzegi rzeki Woyn. Wóz stanął. Ktoś odziany w czarny płaszcz pomógł mi wysiąść, jakbym był bezsilnym starcem, i poprowadzono mnie torfiastym brzegiem do długiego, wąskiego mola, ledwie widocznego w gęstej mgle unoszącej się znad nurtu rzeki. Do mola przycumowana była łódka, nieco większa od dingi, a jednak płynęła z wielką szybkością przez szeroką i wzburzoną rzekę. W dalszym ciągu nie odczuwałem żadnej głębszej reakcji na wygnanie z Manneranu. Czułem się jak ktoś, kto poszedł na wojnę, pocisk urwał mu prawą nogę, teraz leży patrząc spokojnie na kikut, nie czując bólu. Ale ból przyjdzie. Później.

Nadchodził świt. Mogłem już rozróżnić kontury sallińskiego brzegu. Przybiliśmy do przystani przy porośniętym trawą nabrzeżu, należącym zapewne do jakiegoś szlachcica. I właśnie po raz pierwszy ogarnął mnie niepokój. Za chwilę staną na ziemi Salli. Gdzie się znajdą? Jak dotrę do jakiegoś zamieszkałego miejsca? Nie byłem już chłopcem, żeby prosić przejeżdżające samochody o podwiezienie. Wszystko jednak zostało załatwione. Kiedy łódź przybiła do mola, z mroku wyłoniła się jakaś postać i wyciągnęła rękę: Noim. Przycisnął mnie i chwycił mocno w objęcia. - Wiem, co się stało - powiedział. - Zostaniesz ze mną. - W tym podnieceniu, pierwszy raz od dziecinnych lat, zaniechał użycia przyjętych form gramatycznych.

W południe z majątku Noima w południowo-zachodniej Salli, zatelefonowałem do księcia Sumaru, by go powiadomić o swym bezpiecznym przybyciu - to on, oczywiście, postarał się, aby mój więźny brat spotkał mnie na granicy - a potem połączyłem się z Halum. Segvord powiedział jej parą godzin temu o przyczynach mego zniknięcia. - Jaka to dziwna wiadomość - powiedziała. - Nigdy nie wspominałeś o tym narkotyku. A jednak był dla ciebie tak ważny, że ryzykowałeś wszystko, żeby go zażywać. Odgrywał tak wielką rolę w twym życiu, a mimo to trzymałeś wszystko w sekrecie przed swą więźną siostrą? - Odpowiedziałem, że nie śmiałem jej powiedzieć z obawy, żebym nie uległ pokusie i jej też nie zaproponował zażycia narkotyku. - Czy otwarcie się przed siostrą więźną byłoby takim strasznym grzechem? - spytała Halum.

Noim traktował mnie z grzecznością, podkreślając, że mogę zostać u niego jak długo tylko zechcę - tygodnie, miesiące, nawet lata. Należy przypuszczać, że moim przyjaciółom w Manneranie uda się wreszcie zwolnić jakieś moje aktywa i będą mógł nabyć ziemię w Salli i prowadzić życie osiadłego na wsi barona. Być może Segvord, książę Sumaru i inne wpływowe osoby doprowadzą do odwołania ciężących na mnie oskarżeń i powrócę do południowej prowincji. Do tego czasu, mówił Noim, jego dom należy do mnie. Wyczuwałem jednak pewien chłód w jego odnoszeniu się do mnie, jakby ofiarowywana mi gościnność wynikała jedynie z szacunku dla naszej braterskiej więzi. Dopiero po paru dniach ujawniło się źródło jego powściągliwości. Siedząc późno po kolacji w wielkiej białej sali, rozmawialiśmy o czasach wczesnej młodości - główny temat naszej konwersacji, znacznie bezpieczniejszy niż ostatnie wydarzenia - gdy Noim nagle zapytał: - Czy wiadomo, że ten twój narkotyk sprowadza na ludzi nocne koszmary?

- Nie słyszano o żadnych takich przypadkach, Noimie.

- A więc tu jest taki przypadek. Mówiący budzi się złany zimnym potem, noc po nocy, od chwili, gdy zażyliśmy razem ten narkotyk w Manneranie. Mówiący już myślał, że postradał zmysły.

- Jakie to sny? - spytałem.

- Obrzydliwe. Jakieś potwory. Zęby. Szpony. Uczucie, że nie wiadomo, kim się jest.

Cudze myśli przelatujące przez własną głowę. - Pociągnął łyk wina. - Przyjmujesz ten narkotyk dla przyjemności, Kinnallu?

- Dla zdobycia wiedzy.

- Jakiej wiedzy?

- Wiedzy o sobie i o innych.

- W takim razie mówiący woli ignorancję. - Zadrzał. - Wiesz, Kinnallu, mówiący nigdy nie był osobą szczególnie godną szacunku. Błuznił, pokazywał język czyścicielom, wyśmiewał się z ich opowieści o bogach, prawda? Tym swoim proszkiem omal mnie nawróciłeś, zrobiłeś ze mnie człowieka wierzącego. To straszne otworzyć swą duszę, wiedzieć, że nie ma żadnej osłony, że można wśliznąć się do czyjejś duszy. Nie, to nie do przyjęcia.

- Nie do przyjęcia dla ciebie - powiedziałem. - Inni znajdują w tym radość.

- Mówiący skłania się ku Przymierzu - oświadczył Noim. - Sprawy osobiste to świętość.

Dusza każdego jest jego własną duszą. Obnażanie jej to ohyda.

- Nie obnażanie. Dzielenie się.

- Jeśli tak brzmi lepiej, proszę bardzo. A więc znajdowanie przyjemności w takim dzieleniu się jest rzeczą ohydną. Nawet jeśli jesteśmy więźnymi braćmi. Mówiący wrócił od ciebie ostatnim razem czując się zbrukany. Miał piasek i żwir w duszy. Czy tego pragniesz dla wszystkich? Żebyśmy wszyscy czuli się brudni i winni?

- Nie powinno być poczucia winy, Noimie. Daje się i otrzymuje, wychodzi się z tego lepszym, niż się było...

- Bardziej brudnym.

- Jest się wyrozumiałym i bardziej współczującym. Pomów z tymi, którzy zażywają.

- Oczywiście. Napłynę teraz z Manneranu cała gromada bezdomnych uciekinierów, będzie można ich pytać, jakie to piękne i cudowne jest to samoobnażanie. Przepraszam, dzielenie się.

Widziałem w jego oczach straszną udrękę. Wciąż chciał mnie kochać, ale wskutek zażycia sumarańskiego narkotyku zobaczył takie rzeczy w sobie, być może i we mnie, że znenawidził tego, który mu dał ten narkotyk. Był człowiekiem, który musi być chroniony murem, a ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. Co takiego zrobiłem, że mój brat więźny stał się

moim wrogiem? Może powinniśmy raz jeszcze zażyć narkotyk i wtedy może mógłbym mu wiele wyjaśnić. Nie było jednak żadnej nadziei, aby się na to zgodził. Noima przerażała duchowość, wewnętrzna strona człowieka. Błuzniącego więźnego brata przekształciłem w wyznawcę Przymierza. Nie miałem już mu nic do powiedzenia.

Po chwili milczenia Noim odezwał się: - Mówiący musi przedstawić ci pewną prośbę, Kinnallu.

- Słucham.

- Mówiący nie chce w czymkolwiek ograniczać swego gościa. Jeżeli jednak przywiozłeś z sobą z Manneranu ten narkotyk i ukrywasz go w swoich pokojach, pozbądź się go, rozumiesz? W tym domu nie powinno znajdować się nic takiego. Pozbądź się tego, Kinnallu.

Nigdy w życiu nie skłaniałem memu więźnemu bratu. Nigdy. I teraz za sprawą szkatułki wysadzanej klejnotami księżę Sumaru wbił mi nóż w serce. Uroczyście oświadczyłem

Noimowi: - Jeśli o to chodzi, nie ma powodu do obaw.

Po paru dniach wiadomość o mej hańbie stała się własnością publiczną w Manneranie i szybko dotarła do Salli. Noim przyniósł mi gazety. Napisano, że byłem głównym doradcą Najwyższego Sędziego Portu i otwarcie nazwano mnie człowiekiem o największej władzy w Manneranie, którego ponadto łączyły więzy krwi z pierwszymi septarchami Salli i Glinu, a jednak mimo takiej pozycji i przywilejów odstąpił od Przymierza i oddał się bezprawnemu samoobnażaniu. Pogwałciłem nie tylko zasady przyzwoitości i etykiety, ale również prawa Manneranu, poprzez zażycie pewnego narkotyku z Sumary Borthanu, który niweluje ustanowione przez boga bariery pomiędzy jedną duszą a drugą. Nadużywając swego wysokiego urzędu przedsięwzięłem sekretną podróż na południowy kontynent (biedny kapitan Khrisch! Czy też został aresztowany?) i powróciłem z pokaźną ilością narkotyku. Diabelskimi sztuczkami zmusiłem do przyjęcia narkotyku kobietę niskiego pochodzenia, swoją utrzymankę. Rozpowszechniałem również ten ohydny proszek wśród wybitnych, wysoko urodzonych osób, których nazwiska nie zostały ujawnione, ze względu na ich dogłębną skruczę. W wigilię mego aresztowania uciekłem do Salli i dobrze, że się mnie pozbyli. Gdybym ośmielił się powrócić do Manneranu, zostałbym natychmiast zatrzymany. Tymczasem zostaną osądzony zaocznie i zgodnie z opinią Najwyższego Sędziego nie ma właściwie wątpliwości co do wyroku. W celu zadośćuczynienia państwu za wielką krzywdę, jakiej dokonałem w strukturze porządku społecznego, zostaną zarekwirowane wszystkie moje ziemie i majątkości, poza częścią wydzieloną na utrzymanie mej niewinnej żony i dzieci. (A więc tyle przynajmniej zdołał załatwić Segvord Hela-lam.) Żeby zapobiec przekazaniu przed procesem moich aktywów do Salli, wszystko, co posiadałem, zostało zasekwestrowane do czasu werdyktu Najwyższego Sądu. Takie jest prawo. Niech więc strzegą się ci, co pragnęliby naśladować mnie w ohydnych procederze samoobnażacza!

Nie czyniłem tajemnicy z miejsca mego pobytu w Salli, nie miałem już bowiem powodu bać się mego królewskiego brata. Stirron jako chłopiec dopiero co osadzony na tronie mógł dążyć do wyeliminowania mnie, jako potencjalnego rywala, ale nie ten Stirron, który rządzi już ponad siedemnaście lat. Stał się w Salli instytucją, kochano go i stał się integralną częścią egzystencji każdego obywatela. Ja stałem się obcy, starzy ludzie ledwie mnie pamiętali, młodzi nie znali w ogóle, mówiłem z akcentem mannerańskim, nosiłem na sobie haniebne piętno samoobnażacza. Gdybym nawet chciał obalić Stirrona, gdzie znalazłbym zwolenników? Prawdę mówiąc, pragnąłem widoku brata. W trudnych chwilach człowiek zawsze zwraca się ku najdawniejszym przyjaźniom. Noim zraził się do mnie, Halum była daleko, na drugim brzegu Woyn, pozostał mi tylko Stirron. Nigdy nie czułem urazy, że z jego powodu musiałem uchodzić z Salli, wiedziałem bowiem, że gdybym znalazł się na jego miejscu, to wtedy on musiałby uciekać. Jeśli nasze stosunki po opuszczeniu przeze mnie kraju uległy zdecydowanemu ochłodzeniu, to chłód ten powodowały jego wyrzuty sumienia. Minęły już jednak lata od czasu mej ostatniej wizyty w stolicy Salli i być może moja obecna niedola otworzy jego serce. Napisałem do Stirrona list z domu Noima, prosząc go formalnie o prawo azylu w Salli. Zgodnie z prawami Salli powinienem je otrzymać, gdyż byłem poddanym Stirrona i nie popełniłem żadnego przestępstwa na ziemi sallańskiej. Lepiej jednak będzie, gdy go o to poproszę. Oskarżenie wniesione przeciwko mnie przez Najwyższy Sąd Manneranu było słuszne, ale przedstawiłem Stirronowi zwięzłe i chyba przekonujące wyjaśnienie mego odstąpienia od Przymierza. List zakończyłem wyrazami niezmiennej miłości oraz wspomnieniem tych szczęśliwych dni, które przeżywaliśmy, zanim spadły na niego ciężkie obowiązki septarchy.

Spodziewałem się, że Stirron zaprosi mnie do stolicy, żeby z mych własnych ust usłyszeć

wyjaśnienie na temat mego niezwyklego postępowania w Manneranie. Uważałem, że powinno nastąpić między nami braterskie pojednanie. Żadne jednak wezwanie do miasta Salli nie przyszło. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, myślałem, że to może Stirron. Nie zadzwonił. Minęło parę pełnych napięcia, zgoła posępnych tygodni. Polowałem, pływałem, czytałem i starałem się pisać nowe Przymierze miłości. Noim trzymał się ode mnie z dala. Jego jedyne doświadczenie dzielenia się duszą wprawiło go w tak wielką rozterkę, że wprost nie śmiał spojrzeć mi w oczy, bo przecież poznałem tajniki tego wnętrza i to utworzyło pomiędzy nami zaporę nie do przebycia.

Wreszcie nadeszła koperta z okazałą pieczęcią septarchy. Zawierała list podpisany przez Stirrona, ale założyłbym się, że to jakiś minister o kamiennym sercu, a nie mój brat ułożył to raniące do żywego przesłanie. W liczbie linijek mniejszej niż ilość moich palców septarcha powiadamiał mnie, iż prośba o azyl w Salli została uwzględniona pod warunkiem jednakże, że wyrzeknę się tych nałogów, w jakie popadłem na południu. Gdybym choć raz został przyłapany na rozpowszechnianiu narkotyku powodującego samo-obnażanie, zostanę schwytany i skazany na zesłanie. To było wszystko, co mój brat miał do powiedzenia. Ani jednego serdecznego słowa, ani cienia sympatii, ani odrobiny ciepła.

W pełni lata Halum złożyła nam niespodziewaną wizytę. W dzień jej przyjazdu wypuściłem się konno niemal do granic włości Noima. Ścigałem żarłacza szabloryja, który wylał się z ogrodzenia. Przeklęta próżność skłoniła Noima do nabycia tych młodych futerkowych ssaków, chociaż nie pochodzą one z Salli i źle się tutaj hodują. Miał ich ze dwadzieścia albo trzydzieści, same kły i pazury, do tego wściekle żółte oczy; miał nadzieję dochować się ^przynoszącego dochody stada. Goniłem zbiegłego samca przez lasy i łąki całe rano i południe, z każdą godziną nienawidząc go coraz bardziej, bo ślad swój znaczył poszarpanymi trupami niewinnych, trawozernych zwierząt. Te szabloryje żarłacze zabijają dla samej przyjemności mordowania, odgryzają jeden, dwa kawały mięsa, a resztę zostawiają dla bestii żywiących się padliną. Wreszcie dopadłem go w zamkniętym wąwozie. - Ogłusz go i sprowadź żywego - polecił mi Noim, świadomy wartości zwierzęcia. Kiedy jednak żarłacz szabloryj znalazł się w pułapce, rzucił się na mnie z taką dzikością, że poraziłem go całym ładunkiem promieniowania i zabiłem z prawdziwą przyjemnością. Ze względu na Noima zadałem sobie trud i ściągnąłem cenną skórę. Potem zmęczony i zgnębiony, nie zatrzymując się już po drodze, wróciłem do domu. Na podjeździe ujrzałem jakiś obcy wóz terenowy, a obok stała Halum. - Wiesz, jakie są lata w Manneranie - wyjaśniła. - Mówiąca zamierzała jak zwykle pojechać na wyspę, ale przyszło jej do głowy, że byłoby miło spędzić czas w Salli z Noimem i Kinnallem.

Halum wkroczyła w trzydziesty rok życia. Kobiety u nas wychodzą za mąż między czternastym a szesnastym rokiem, a mając dwadzieścia dwa lub dwadzieścia cztery lata przestają rodzić dzieci. Trzydzieści lat to już wiek średni, ale czas oszczędził Halum. Nie znała burz stanu małżeńskiego ani trudów macierzyństwa, nie traciła energii na zapasy w łożu małżeńskim, ani na czuwanie przy dziecięcym łóżeczku. Miała jędrne, giętkie ciało

dziewczyny, bez żadnych wałków tłuszczu, rozdętych żył i zgrubienia kości. Zaszła w niej tylko jedna zmiana: jej czarne włosy stały się srebrne. To jednak tylko zwiększało jej urok, ponieważ błyszczały olśniewająco i stanowiły kontrast z jej mocno opaloną, młodzieńczą twarzą.

W bagażu miała dla mnie paczkę listów z Manneranu: od księcia, od Segvorda, od moich synów - Noima, Stirrona i Kinnalla, od córek Halum i Loimel, od archiwisty Mihana i jeszcze paru innych. W listach dominował ton napięcia i zakłopotania, jakby kierowano je do kogoś, kto umarł, jakby ten, co pisał, czuł się winny, że go przeżył. Ucieszyły mnie wszakże te słowa, dochodzące jakby z mego poprzedniego życia. Żałowałem, że nie było listu od Schweiza, Halum nic o nim nie słyszała od chwili, gdy zostałem oskarżony; sugerowała, iż mógł opuścić naszą planetę. Nie było też ani słowa od mej żony. - Czy Loimel jest aż tak zajęta, że nie mogła napisać choćby paru słów - spytałem, a Halum, czując się niezręcznie, powiedziała łagodnie, że ostatnio Loimel nigdy mnie nie wspominała. Chyba zapomniała, że jest mężatką.

Halum przywiozła również podarki od moich przyjaciół spoza Woyn. Zdumiewały bogactwem: masywne ozdoby z cennych metali, kunsztowne sznury rzadkich klejnotów.

- Drobiazgi na pamiątkę miłości - powiedziała Halum, ale nie dałem się zwieść. Za te skarby można by kupić ogromną posiadłość. Ci, którzy mnie kochali, nie chcieli, żebym czuł się upokorzony, gdyby przekazali pieniądze na mój rachunek w Salli; te wspaniałości mogli mi ofiarować w dowód przyjaźni.

- Bardzo boleśnie odczułeś zmianę miejsca? - spytała Halum. - To nagłe zesłanie?

- Zesłanie nie jest mówjącemu obce - odparłem. - Ma się zresztą Noima za serdecznego towarzysza.

- Wiedząc, ile cię kosztowało to, coś uczynił - mówiła Halum - czy po raz drugi igrałbyś z tym narkotykiem, gdybyś mógł cofnąć czas o rok?

- Bez żadnej wątpliwości.

- A więc warte to było utraty domu, rodziny i przyjaciół?

- Warte byłoby nawet utraty życia - oświadczyłem - gdyby tylko mówiący miał pewność, że wszyscy na Veladzie Borthanie będą się narkotyzowali.

Ta odpowiedź chyba przeraziła ją, bo odsunęła się, dotknęła czubkami palców warg, po raz pierwszy być może uświadomiła sobie rozmiary szaleństwa więźnego brata. Wypowiadając bowiem te słowa nie użyłem jedynie retorycznej przesady i to moje przekonanie musiało dotrzeć do Halum. Zrozumiała, że wierzę w to. Gdy pojęła głębię mego zaangażowania, ogarnęła ją obawa o mnie.

Następne dni Noim spędził przeważnie poza swym majątkiem, podróżując do stolicy Salli w sprawach rodzinnych oraz na Równinę Nand, żeby obejrzeć posiadłość, którą zamierzał kupić. Podczas jego nieobecności byłem panem domu, służba bowiem, cokolwiek mogła myśleć o mym prywatnym życiu, nie śmiała kwestionować wprost mego autorytetu. Jeździłem co dzień nadzorować robotników na polach Noima, a towarzyszyła mi Halum. Prawdę mówiąc nie było czego nadzorować, bo trwała pełnia lata, okres między sadzeniem a zbieraniem. Jeździliśmy głównie dla przyjemności, zatrzymując się tylko, żeby popływać, albo spożyć posiłek na skraju lasu. Pokazałem jej zagrodę żarłaczy szablo-ryjów, które się jej nie podobały, za to cieszyła się, gdy łagodne zwierzęta na pastwisku podchodziły, by ją obwąchać.

Te długie przejażdżki stwarzały nam każdego dnia okazję do wielogodzinnych rozmów.

Od dzieciennych lat nie spędzałem razem z Halum tyle czasu i staliśmy się sobie cudownie bliscy. Początkowo ostrożni, żeby nie urazić się wzajemnie niepotrzebnymi pytaniami -

wkrótce rozmawialiśmy z sobą tak, jak powinno rozmawiać więźne rodzeństwo. Spytałem ją,

dlaczego nie wyszła za mąż, a ona odparła po prostu: - Nie spotkało się odpowiedniego

mężczyzny. - Czy żałuje, że nie ma męża i dzieci? Odpowiedziała, że nie, że niczego nie żałuje,

że życie ma spokojne i przyjemne, w głosie jej jednak brzmiała jakaś nuta tęsknoty. Nie chciałem jej dręczyć dalszymi dociekaniem. Ona natomiast wypytywała mnie o ten sumarański narkotyk, chciała się dowiedzieć, jakie ma zalety, skoro zażywając go podejmowałem aż takie ryzyko. Bawił mnie sposób, w jaki formułowała pytania, by brzmiały poważnie, życzliwie i obiektywnie, nie była jednak w stanie ukryć zgrozy, że coś takiego zrobiłem. Tak, jakby jej brat więźny wpadł w amok i zarznął dwadzieścia osób na placu targowym, a ona chciała teraz przy pomocy zadawanych cierpliwie i na wesoło pytań dowiedzieć się, jakie przesłanki filozoficzne doprowadziły go do tego masowego mordu. Usiłowałem przemawiać w sposób powściągliwy i beznamiętny, zęby nie urazić jej gwałtownością, jak poprzednio. Unikałem wszelkiego kaznodziejstwa, trzeźwo i spokojnie tłumaczyłem jej, jak działa ten narkotyk, jakie mi przyniósł korzyści i co skłoniło mnie do odrzucenia bezwzględnej izolacji własnego ja, którą dyktuje nam Przymierze. Wkrótce na skutek wzajemnego obcowania zaszła między nami zmiana. Ona przestała być wytworną damą usiłującą zrozumieć kryminalistę, a stała się raczej uczennicą pragnącą zrozumieć tajemnice, jakie odkrywał przed nią mistrz. A ja z opisującego wydarzenia reportażysty przekształciłem się w proroka nowego obrządku religijnego. Mówiłem w twórczym uniesieniu o ekstazie komunii dusz, mówiłem o niezwykłych, przedziwnych wrażeniach towarzyszących początkowemu stadium otwierania się i o nieporównywalnej chwili wtopienia się w inną ludzką świadomość. Opisywałem to przeżycie jako coś bardziej intymnego niż związek dusz pomiędzy więźnym rodzeństwem, niż wizyta u czyściciela. Nasze rozmowy stały się monologami. Wpadałem w ekstazę, porywały mnie słowa, a gdy z tych wyżyn zstępowałem na ziemię, widziałem Halum o srebrnych włosach, wiecznie młodą, oczy miała roziskrzona i rozchylone wargi, była bez reszty zafascynowana. Wynik był przesądzony. Pewnego upalnego popołudnia, kiedy spacerowaliśmy miedzami wśród pól, powiedziała bez wstępu: - Jeśli masz tutaj ten narkotyk, to czy twoja więźna siostra

mogłaby zażyć go z tobą? - Sprawilem więc, ze została nawrócona.

Tej nocy rozpuściłem kilka szczypt proszku w dwóch butelkach wina. Halum spoglądała z niepewnością, gdy wręczałem jej napój. Jej niepewność udzieliła się również mnie, tak iż zawahałem się, czy nie odstąpić od tego projektu. Obdarzyła mnie jednak tym swoim czarującym uśmiechem i szybko opróżniła flaszkę. - Nie ma żadnego smaku - stwierdziła, kiedy ja wypilem swoją. Siedzieliśmy w myśliwskim gabinecie Noima, udekorowanym porożami rogorłów i obwieszonym skórami szabloryjów żarłaczy. Kiedy narkotyk zaczął działać, Halum dostała dreszczy, ściągnąłem więc grubą, czarną skórę ze ściany, okryłem jej plecy i tuliłem ją w ramionach póki się nie rozgrzała.

Czy wszystko pójdzie dobrze? Miałem obawy. W życiu każdego człowieka istnieje coś, co staje się jakby przymusem, coś, co dręczy w głębi duszy tak długo, aż się spełni. W decydującym momencie rodzi się jednak strach, gdyż być może spełnienie owego obsesyjnego pragnienia przynieść może więcej bólu niż radości. Tak właśnie było ze mną, z Halum i z sumarańskim narkotykiem. Niepokój jednak ulotnił się, kiedy narkotyk zaczął działać. Halum uśmiechała się. Halum była uśmiechnięta.

Mur między naszymi duszami stał się przewodnikiem, dzięki któremu mogliśmy przenikać się bez reszty. Pierwsza przekroczyła go Halum. Ja zwlekałem, paraliżował mnie jakiś wstyd, uważałem bowiem, że wdzieram się w dziewictwo mej więźnej siostry, że przekraczam zakaz kontaktów cielesnych pomiędzy więźnym rodzeństwem. Tak więc czułem się uwikłany w pułapkę absurdalnych sprzeczności i przez parę chwil, choć już żadnych barier między nami nie było, powstrzymywałem się od działania, jakie nakazywała mi moja wiara. Halum tymczasem, zdając sobie wreszcie sprawę, że nic nie stoi na przeszkodzie, bez wahania wniknęła w mą duszę. Natychmiast naszła mnie chęć, aby się przed nią zasłonić. Wolałem, żeby nie dojrzała mych ułomności, a zwłaszcza żeby nie dowiedziała się, iż jej požądam. Po

pewnym czasie jednak to podniecenie i zakłopotanie ustąpiło; przestałem zasłaniać duszę figowymi listkami. Wyszedłem naprzeciw Halum, pozwoliłem, by nastąpiła prawdziwa komunia, nierozzerwalne przenikanie się naszych jaźni.

Znalazłem się (a właściwie - zgubiłem się) w korytarzach o szklistych podłogach i posrebrzanych ścianach, poprzez które wnikało zimne, migocące światło, niczym krystaliczna jasność piaszczystego dna płytkiej, tropikalnej zatoczki. To dziewicze wnętrze Halum. W bocznych zagłębieniach tych korytarzy widniały w pewnym porządku elementy kształtujące jej życie: wspomnienia, wyobrażenia, zapachy, smaki, fantazje, rozczarowania, rozkosze.

Wszędzie panowała absolutna czystość. Nie dostrzegłem ani śladu seksualnych podnieceń, żadnych cielesnych namiętności. Nie potrafię powiedzieć, czy Halum ze skromności zasłoniła przede mną sferę swych doznań seksualnych, czy też tak dalece sprawy te usuwała ze swej świadomości, że stały się dla mnie niewidoczne.

Spotkała mnie bez obaw i z radością połączyła się ze mną. Co do tego nie miałem wątpliwości. Gdy nasze dusze złączyły się w harmonijną całość, powstał związek zupełny, bez ograniczeń i zastrzeżeń. Płynąłem przez tę jej połyskliwą głębię, a z mej duszy opadał cały brud, co wpływało na mnie uzdrawiająco. Czyżbym splamił ją tak, jak ona oczyszczała mnie i doskonaliła? Trudno mi to stwierdzić. Objęliśmy się, zatopiliśmy się w sobie i jedno podtrzymywało drugie, jedno wnikało w drugie. Oto Halum, która przez całe życie była moją podporą i moją odwagą, mym ideałem i celem, Halum, to doskonałe wcielenie czystej piękności! Być może moje własne zbrukane ja dotknęło niszczącą skazą jej lśniącej czystości. Trudno powiedzieć. Szedłem do niej, ona szła ku mnie. W miejscu naszego wzajemnego przenikania się napotkałem jednak coś dziwnego, coś splątanego i zwężonego. Przypomniałem sobie, że gdy w młodości ruszałem ze stolicy Salli na wygnanie do Glinu, wtedy w domu Noima, Halum objęła mnie, a ja w jej uścisku odczułem drzenie tłumionej namiętności i cielesnego pożądania.

Pożądania mego ciała. I pomyślałem, że ponownie odnalazłem tę strefę namiętności, ale kiedy przyjrzałem się bliżej - zniknęła i widziałem tylko błyszczącą metalicznie powierzchnię duszy Halum. Możliwe, iż w obu wypadkach był to wytwór mego burzliwego pożądania, które na nią przechodziło. Nie umiem tego ocenić. Nasze dusze splotły się, nie wiedziałem gdzie kończę się ja, a gdzie zaczyna Halum.

Wreszcie wynurzyliśmy się z tego transu. Połowa nocy już odpłynęła. Mrugaliśmy oczami, potrząsaliśmy zamroczonymi głowami, uśmiechając się z zakłopotaniem. Po wywołanej narkotykiem bliskości dusz przychodzi taki moment, kiedy człowieka ogarnia zażenowanie, myśli bowiem, że ujawnił zbyt wiele i chciałby cofnąć to, co ofiarował. Na szczęście moment ten zwykle trwa krótko. Patrzałem na Halum i czułem, jak ciało płonie mi boską miłością, miłością, która wcale nie była miłością fizyczną. Zacząłem przemawiać do niej tak, jak niegdyś Schweiz do mnie: ja ciebie kocham. Ale słowo "ja" utknęło mi w gardle. Ja, ja, ja, ja kochani ciebie, Halum. Gdybym mógł tylko powiedzieć to ja. Nie mogło mi wyjść z ust. Tkwiło tam i nie mogło przedostać się przez wargi. Ująłem jej ręce w swoje, a ona uśmiechnęła się pogodnym jak słońce uśmiechem i już byłbym powiedział te słowa, ale coś trzymało je na uwięzi. Ja. Ja. Jakże mogę mówić do Halum o miłości i tę swoją miłość wyrażać gwarą rysztockową? Myślałem wtedy, że ona nie zrozumie, że mój bezwstyd zniszczy wszystko. Co za głupota! Czyż słowa mogły zburzyć cokolwiek, skoro nasze dusze zakosztowały tej jedności? Do licha z tym wszystkim! Ja ciebie kocham. Jąkając się powiedziałem: - Mówiący... czuje... taką miłość do ciebie... taką miłość, Halum...

Skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: Nic nie mów, twoje nieskładne słowa niszczą cały urok. Jakby chciała powiedzieć: Tak, mówiąca również czuje do ciebie miłość, Kinnallu. Jakby chciała powiedzieć: Ja ciebie kocham, Kinnallu. Żwawo zerwała się na równe nogi i podeszła do okna. Zimne światło księżyca oświetlało starannie utrzymany ogród i wielki dom,

krzewy i drzewa były białe, trwały w bezruchu. Podszedłem od tyłu i bardzo delikatnie dotknąłem jej ramion. Wykręciła się i wydała jakiś pomruk. Uznałem, że wszystko jest w porządku. Byłem przekonany, że wszystko z nią jest w porządku.

Nie mówiliśmy o tym, co zaszło między nami tego wieczoru. Wydawało się, że mogło to zniweczyć nastrój. O transie, w jakim znajdowaliśmy się, będziemy mogli dyskutować jutro i przez następne dni. Odprowadziłem ją do pokoju, pocałowałem nieśmiało w policzek i otrzymałem siostrzany pocałunek. Uśmiechnęła się znowu i zamknęła drzwi. Po przyjściu do swej sypialni usiadłem i wszystko na nowo ożyło w mej pamięci. Znow zapłonął we mnie misjonarski zapal. Przysięgłem sobie, że stanę się apostołem, że będę chodził po całej Salli i głosił wiarę miłości. Nie będę już dłużej krył się w domu mego więźnego brata - rozbitek zdany na łaskę wiatru i fal, zrozpaczony wygnaniec z własnej ojczyzny. Ostrzeżenie Stirrona nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Jakże zdoła przegnać mnie z Salli? W ciągu tygodnia zdobędę stu zwolenników. Tysiąc. Dziesięć tysięcy. Nawet Stirronowi dam zażyć narkotyk i pozwolę, żeby z wysokości swego tronu głosił nową wiarę! Tą chęcią działania zainspirowała mnie Halum. Już rano wyruszę w poszukiwaniu uczniów.

Z dziedzińca dobiegły jakieś głosy. Wyjrzałem i zobaczyłem wóz terenowy. To Noim wrócił z podróży. Wszedł do domu. Słyszałem, jak przechodził koło mego pokoju, potem doszło do moich uszu jakieś pukanie. Wyjrzałem na korytarz. Stał przed drzwiami pokoju Halum, rozmawiał z nią. Jej nie mogłem dostrzec. Co to miało znaczyć, że poszedł do Halum, która była dla niego tylko przyjaciółką, a nie przywitał się ze swym więźnym bratem? Zbudziły się we mnie niegodne podejrzenia, wymyślone oskarżenia. Z wysiłkiem odpychałem je od siebie. Rozmowa się skończyła, drzwi Halum zostały zamknięte. Noim, nie zauważając mnie, skierował się do swojej sypialni.

Nie mogłem zasnąć. Napisałem parę stron, ale były bez wartości. O świcie wyszedłem i

spacerowałem w szarej mgle. Wydawało mi się, że gdzieś z dali słyszę jakiś krzyk. Jakieś zwierzę przywołuje swoją partnerkę, pomyślałem.

Na śniadanie zszedłem sam. Było to raczej niezwykle, ale przecież nie budziło zdziwienia. Noim po powrocie do domu w środku nocy z dalekiej podróży chciał zapewne sobie pospać, a Halum niewątpliwie wyczerpana była narkotykiem. Apetyt miałem wspaniały i jadłem za nas troje. Przez cały czas snulem plany, w jaki sposób unieważnię Przymierze. Kiedy popijałem herbatę, któryś z chłopców stajennych Noima wpadł jak szalony do sali jadalnej. Policzki miał czerwone i oddychał z trudem, jakby biegł z daleka i miał za chwilę zemdleć. - Prędko! - krzyknął łapiąc powietrze. - Szabloryje żarłacze... - Chwycił mnie gwałtownie za ramię, ściągając z siedzenia. Pospieszyłem za nim. Zastanawiałem się, czy zwierzęta znów uciekły i czy będę musiał przez cały dzień ścigać te bestie. Gdy zbliżyłem się do ich zagrody, nie zauważyłem, żeby ogrodzenie było wyłamane, nie było też żadnych śladów pazurów. Chłopak przylgnął do prętów największej klatki, w której znajdowało się dziewięć lub dziesięć szabloryjów. Spojrzałem tam. Zwierzęta z zakrwawionymi paszczami, z plamami krwi na futrze, skupiły się wokół jakiegoś poszarpanego członka. Warczały na siebie walcząc o ostatnie ochłapy mięsa. Na ziemi wały się jakieś resztki. Czy któreś z bydła domowych zabłądziło w ciemności i dostało się pomiędzy te okrutne stwory? Ale jak mogło to się stać? I dlaczego chłopak uznał za właściwe oderwać mnie od śniadania, aby mi to pokazać? Złapałem go za rękę i spytałem, co w tym dziwnego, że żarłacze szabloryje pożerają swoją ofiarę. Zwrócił w moją stronę straszliwie wykrzywioną twarz i wybełkotał zduszonym głosem:

- Pani... pani...

Noim był brutalny. - Skłamałeś - powiedział. - Twierdziłeś, że nie zabrałeś ze sobą tego narkotyku. Skłamałeś. I wczoraj wieczór dałeś jej. Tak? Tak? Nie ma już co ukrywać, Kinnallu.

Dałeś jej!

- Rozmawiałeś z nią. - Z trudem zdobywałem się na słowa. - Co ci powiedziała?

- Mówiący zatrzymał się przy jej drzwiach, bo wydawało mu się, że słyszy płacz - odparł

Noim. - Zapytał, czy nic jej się nie stało. Wtedy wyszła. Twarz miała dziwną, jakby przyćmioną marzeniami, oczy zupełnie puste, jak dwa kawałki wypolerowanego metalu, z których toczyły się łzy. Mówiący spytał, czy wydarzyło się coś złego, czy ma jakieś kłopoty. Zaprzeczyła, powiedziała, że wszystko w porządku. Zdradziła mi, że rozmawiała z tobą przez cały wieczór.

Dlaczego więc płakała? Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i powiedziała, że to kobiece sprawy, nic ważnego, że kobiety wciąż płaczą i nie ma w tym nic szczególnego. Znow się uśmiechnęła i zamknęła za sobą drzwi. Ale ten wyraz jej oczu - to był narkotyk, Kinnallu!

Mimo wszystkich przysięg, dałeś jej narkotyk! A teraz... a teraz...

- Proszę cię - odezwałem się łagodnie. Ale on wciąż krzyczał i rzucał na mnie oskarżenia.

Nic nie mogłem odpowiedzieć.

Chłopak stajenny przedstawił przebieg wydarzeń. Odnaleziono ślady stóp Halum na wilgotnej od porannej rosy piaszczystej ścieżce. Drzwi domku, przez który był dostęp do zagrody szabloryjów żarłaczy, stały szeroko otworem. Otwarte też były wewnętrzne drzwi prowadzące do kłapy, którą podnoszono, zęby wsunąć pożywienie dla zwierząt. Tamtędy przeszła. Podniosła klapę i potem starannie opuściła ją za sobą, ażeby żadna bestia nie wydostała się na zewnątrz i nie zagroziła śpiącym w majątku ludziom. I tak stała się ofiarą kłów i pazurów. To wszystko wydarzyło się przed świtem, być może akurat wtedy, gdy spacerowałem w innej części ogrodu. Ten krzyk we mgle... Dlaczego? Dlaczego?

Wczesnym popołudniem mój skromny dobytek był już spakowany. Poprosiłem Noima o pożyczanie wozu terenowego, co skwitował machnięciem ręki. Nie było mowy, abym pozostał tu dłużej. Nie tylko dlatego, iż wszystko przypominało Halum, ale po prostu musiałem znaleźć się gdzieś, gdzie mógłbym sam spokojnie przemyśleć to wszystko, co zrobiłem i co miałem nadzieję zrobić. Nie miałem też ochoty znajdować się tu, gdy miejscowa policja rozpocznie śledztwo w sprawie śmierci Halum.

Czy nie była już w stanie spojrzeć mi w oczy rano, po tym jak otworzyła przede mną swą duszę? Chętnie przecież przystała na współdzielenie się ze mną jaźnią. Potem jednak w nagłym poczuciu winy, które często następuje po pierwszym otwarciu się, mogła odczuwać to inaczej: stare nawyki powściągliwości upomniały się o swoje prawa i mogło ją ogarnąć przerażenie, że się odstłoniła. I wtedy nastąpiła ta nagła, nieodwracalna decyzja, ta straszliwa droga do zagrody szabloryjów żarłaczy, to szalone przejście przez ostatnią bramę i moment spóźnionego żalu, gdy rzuciły się na nią zwierzęta, gdy zdała sobie sprawę, że pokuta jest za wielka. Czy tak było? Nie mogłem znaleźć innego wytłumaczenia dla tego przeskoku z pogodnego nastroju do rozpaczki jak tylko to, iż był to irracjonalny odruch po gwałtownym wstrząsie, jakiego doznała.

Zostałem bez więźnej siostry, straciłem również więźnego brata, bo w oczach Noima, gdy na mnie patrzył, nie było już litości. Czy o to mi chodziło, kiedy marzyłem o otwieraniu się dusz?

- Dokąd jedziesz? - spytał Noim. - W Manneranie wsadzą cię do więzienia. Postawisz nogę w Glinie z tym swoim narkotykiem, a obedrą cię ze skóry. Stirron przepędzi cię z Salli.

Dokąd więc się udasz, Kinnallu? Do Threish? Yelis? Albo może do Umbis, lub Dabis? Nie! Na bogów! Będzie to niechybnie Sumara Borthan, prawda? Tak, między tymi dzikusami znajdziesz tyle samoobnażania, ile tylko zechcesz, prawda?

Powiedziałem spokojnie: - Zapomniałeś o Wypalonej Nizinie, Noimie. Szopa na pustyni,

miejsce, gdzie można spokojnie myśleć. Mówiący musi tyle przemyśleć, tyle zrozumieć...

- Wypalona Nizina? Tak, doskonale, Kinnallu. Wypalona Nizina w środku lata. Ognisty
czyściec dla twojej duszy. Jedź tam. Jedź.

Samotnie jechałem na północ wzdłuż pasma gór Huishtor, a potem drogą na zachód, która wiodła do Kongoroi i Bramy Salli. Nie raz już myślałem, żeby skręcić ostro na pobocze i stoczyć się z wozem w przepaść i byłby z tym wszystkim koniec. Często, gdy światło budzącego się dnia dotykało mych powiek w jakiejś wiejskiej gospodzie, myślałem o Halum i z najwyższym wysiłkiem podnosiłem się z łóżka, bo przecież o tyle łatwiej byłoby nie wstawać i spać dalej. Dzień i noc, dzień i noc, dzień i jeszcze kilka dni i znalazłem się daleko w Zachodniej Salli, mogłem już jechać w góry i przez Bramę. Pewnego wieczoru w połowie drogi, odpoczywając w miasteczku, przekonałem się, że wydano rozkaz aresztowania mnie w Salli. Kinnall Darival, syn septarchy, mężczyzna w wieku trzydziestu lat, takiego a takiego wzrostu i o takich rysach, brat miłościwie panującego Stirrona, poszukiwany jest w związku z popełnionymi potwornymi zbrodniami: samoobnażaniem się i zażywaniem niebezpiecznego narkotyku, który na domiar złego, wbrew wyraźnemu zakazowi septarchy, dawał nieostrożnym osobom. Zbiegły Darival, wskutek podania tego narkotyku swej więznej siostrze doprowadził ją do obłądu i ta będąc w szale zginęła w straszny sposób. Dlatego nakazuje się wszystkim obywatelom Salli ująć złoczyńcę. Tym, którzy to zrobią, zostanie wypłacona wysoka nagroda. Skoro Stirron wiedział, w jaki sposób zmarła Halum, to znaczy, że Noim wszystko mu wyznał. Byłem zgubiony. Gdy dotrę do Bramy Salli, będą tam na mnie czekać oficerowie sallańskiej policji, znali przecież kierunek mej jazdy. Ale w takim razie, dlaczego ogłoszenie nie informowało ludności, że zmierzam w kierunku Wypalanej Niziny? Prawdopodobnie Noim ukrył jednak coś z tego, co wiedział, ażeby umożliwić mi ucieczkę.

Nie miałem innego wyboru, jak tylko jechać naprzód. Potrzebowałbym wielu dni, żeby dostać się na wybrzeże, a zresztą wszystkie porty w Salli są w pogotowiu, żeby mnie schwytać. Gdybym nawet przedostał się na pokład jakiegoś statku, dokąd się udam? Do Glinu?

Manneranu? Podobnie beznadziejna była myśl, żeby przedostać się jakoś przez Huish albo Woyn do sąsiednich prowincji. W Manneranie już mnie szukali, a w Glinie na pewno czekało mnie lodowate przyjęcie. Pozostała więc Wypalona Nizina. Zatrzymam się tam przez pewien czas, a potem, być może, uda mi się przedrzeć przez którąś przełęcz w górach Treishtor i rozpocząć nowe życie na zachodnim wybrzeżu. Być może.

W mieście, w którym zaopatrywali się myśliwi udający się na Nizinę, nabyłem niezbędne artykuły: suszone produkty żywnościowe, wodę skondensowaną, tyle tylko by przy oszczędnym gospodarowaniu wystarczyło mi na kilka obrotów księżyca. Dokonując zakupów miałem wrażenie, że mieszkańcy miasta dziwnie mi się przyglądają. Czyżby rozpoznawali we mnie wyjętego spod prawa księcia, którego poszukiwał septarcha? Nikt jednak nie ruszył się, żeby mnie ująć. Możliwe, iż wiedzieli, że przy Bramie Salli i tak ustawiono kordon policji, nikt więc nie chciał ryzykować zbliżenia się do takiego potwora, jak ja. Opuściłem przeto bez przeszkód miasto i ruszyłem w ostatni odcinek swej drogi. W przeszłości przebywałem ją tylko w zimie, kiedy wszystko pokrywał głęboki śnieg. Nawet teraz w cienistych kątach widniały płachty brudnej bieli, a im bardziej droga szła w górę, tym więcej leżało śniegu, a w pobliżu podwójnego szczytu Kongoroi już cała ziemia przysypana była białym puchem. Czas obliczyłem tak starannie, żeby do wielkiej przełęczy przybyć dobrze po zachodzie słońca, bo miałem nadzieję, że ciemność stanie się moim sprzymierzeńcem w przypadku zablokowania drogi. Końcową odległość przejechałem z wygaszonymi światłami (spodziewałem się, że może wpadnę w przepaść?). W znanym mi miejscu skręciłem w lewo i skierowałem się ku Bramie Salli. Nie było tam nikogo. Albo Stirron nie zdążył obsadzić zachodniej granicy, albo uważał, że nie jestem tak głupi, żeby uciekać tą drogą. Przejechałem przełęcz i potem już wolno serpentynami w dół po zachodnim zboczu Kongoroi. O świcie byłem już na Wypalonej Nizinie, nieprzytomny z gorąca, ale bezpieczny.

W pobliżu miejsca, gdzie gnieździ się rogorzeł, odnalazłem tę szopę. Pamiętałem, że powinna tu być. Nie miała żadnej instalacji, nawet ściany nie były szczelne, ale na moje potrzeby wystarczała. Panujący tu straszny upał stanie się moim czyścem. Zacząłem urządzać się we wnętrzu, porozkładałem swoje rzeczy, wyjąłem też papier, który nabyłem w mieście, aby opisać swoje życie, w rogu postawiłem wysadzaną klejnotami szkatułkę z resztkami proszku, nad nią ułożyłem ubranie, z podłogi wymiotłem czerwony piasek. Pierwszy dzień poświęciłem na ukrycie wozu terenowego, żeby nie zdradził mej obecności, kiedy pojawią się poszukiwacze. Wjechałem do płytkiego parowu, tak że dach pojazdu ledwie wystawał nad jego ściany, zebrałem sporo różnych roślin, którymi przykryłem wóz i jeszcze przysypałem piaskiem. Teraz tylko bardzo bystre oko mogłoby go dojrzeć. Miejsce to zaznaczyłem przemyślnie, żebym sam mógł je odnaleźć w potrzebie.

Przez następne dni wędrowałem po pustyni i rozmyślałem. Poszedłem tam, gdzie rogorzeł powalił mego ojca. Teraz nie bałem się krążących wysoko drapieżnych ptaków - niech mnie też zabiją. Zastanawiałem się nad tym, co wydarzyło się w trakcie mych przemian i zapytywałem siebie: Czy tego chciałeś? Czy właśnie to miałeś nadzieję osiągnąć? Jesteś zadowolony z tego, co zrobiłeś? Przywoływałem w myślach na nowo wszystkie przypadki, kiedy dzieliłem się z kimś duszą - po raz pierwszy ze Schweizem, po raz ostatni z Halum. Czy było to dobre? Czy zaistniały jakieś błędy, których można było uniknąć? Czy to, co zrobiłeś, przyniosło ci korzyść, czy stratę? Doszedłem do wniosku, że zyskałem więcej niż straciłem, chociaż straty były niewymierne. Nie uważałem, że moje zasady moralne były błędne, uznałem tylko, że nie zawsze postępowałem właściwie. Gdybym był został z Halum, aż odzyska równowagę, nie opanowałby jej wstyd, który pchnął ją do zguby. Gdybym był bardziej szczery wobec Noima, gdybym pozostał w Manneranie i stawiał czoło swym nieprzyjaciołom... gdy-

bym... gdybym... Nie żałowałem, że dokonały się we mnie te zmiany, ale miałem do siebie żal, że zmarnowałem ideę duchowej rewolucji. Nie miałem wątpliwości, że Przymierze jest złe i zły jest nasz sposób życia. Wasz sposób życia. To, że Halum uznała za właściwe zabić się po przeżyciu dwóch godzin prawdziwej ludzkiej miłości stało się najostrzejszym oskarżeniem Przymierza.

I wreszcie przed paroma dniami zacząłem pisać to, co teraz czytasz. Mnie samego zdziwiła moja wylewność, być może na granicy gadulstwa. Początkowo było mi trudno używać tych form gramatycznych, które sobie narzuciłem. Ja nazywam się Kinnall Darival i zamierzam opowiedzieć ci wszystko o sobie. Tak rozpocząłem swoje wspomnienia. Czy pozostałem uczciwy wobec tego zamierzenia? Czy może coś ukryłem? Dzień po dniu skrobałem piórem po papierze, opisując, jaki jestem, bez żadnych zmian i upiększeń. W tej parnej chacie obnażyłem się, stanąłem przed tobą nagi. W tym czasie nie miałem żadnych kontaktów z zewnętrznym światem, niekiedy tylko miałem wrażenie, że agenci Stirrona poszukują mnie przeczesując Wypaloną Nizinę. Przypuszczałem, że postawiono strażników przy bramach prowadzących do Salli, Glinu i Manneranu, jak również przy przełęczach zachodnich, a także przy Przełęczy Stroin, na wypadek gdybym próbował przedostać się do Zatoki Sumar przez Podmokłą Nizinę. Do tej pory sprzyjało mi szczęście, w końcu jednak będą musieli mnie znaleźć. Czy mam na nich czekać? Czy powinienem raczej zaufać dobremu losowi i wyruszyć w nadziei, że natrafię na niestrzeżone wyjście? Mam tu ten gruby manuskrypt. Cenię go bardziej niż własne życie. O, gdybyś mógł to przeczytać, gdybyś mógł pojąć, z jakim wysiłkiem potykając się i zataczając, szedłem ku samopoznaniu, gdybyś mógł odczuć drgnięcie mej duszy... Myślę, że wszystko zawarłem w tej autobiografii, w tym diariuszu własnej osobowości, w tym jedynym dokumencie w historii Velady Borthana. Jeśli mnie tu schwytają, znajdą też moją księgę, Stirron każe ją spalić.

Muszę więc wyruszyć. Ale...

Jakiś dźwięk? Warczenie silnika?

Przez równinę czerwonych piasków w stronę mej szopy z wielką szybkością nadjeżdżał wóz terenowy. Dobrze, że chociaż to mogłem napisać.

Od ostatniego zapisu minęło pięć dni, a ja wciąż jestem tutaj. Wóz terenowy należał do Noima. Przyjechał, nie żeby mnie aresztować, ale uratować. Ostrożnie, jakby bał się, że mogę otworzyć do niego ogień, czaił się wokół mej szopy, wołając: - Kinnall? Kinnall? - Wyszedłem na zewnątrz. Starał się, uśmiechnąć, był jednak zbyt napięty i nie udało się. Powiedział: - Mówiący spodziewał się, że będziesz gdzieś tu, w pobliżu. Siedziba rogorła... wciąż cię to dręczy, co?

- Czego chcesz?

- Szukają cię patrole Stirrona, Kinnallu. Wytropiono twój ślad aż do Bramy Salli.

Wiedzą, że jesteś na Wypalanej Nizinie. Jeśli Stirron znałby cię tak dobrze jak twój więźny brat, to przyszedłby prosto tutaj wraz ze swymi oddziałami. Szukają cię na południu, mniemając, że zamierzasz przedostać się przez Podmokłą Nizinę do Zatoki Sumar i wsiąść na statek płynący do Sumary Borthana. Skoro jednak przekonają się, że tam cię nie ma, zaczną penetrować tutejszą okolicę.

- Co wtedy?

- Zostaniesz aresztowany, osądzony, skazany. Uwięziony albo stracony. Stirron uważa cię za najniebezpieczniejszego człowieka na Veladzie Borthanie.

- I słusznie - przyznałem.

Noim wskazał wóz. - Wsiadaj. Prześliźniemy się przez blokadę. Dostaniemy się jakoś do zachodniej Salli i dalej do Woyn. Tam spotka cię księżę Sumaru i umieści na pokładzie jakiegoś statku. O następnym wschodzie księżyca możesz już być na Sumarze Borthanie.

- Dlaczego chcesz mi pomóc, Noimie? Czemu się o mnie troszczysz? Kiedy się rozstawaliśmy, widziałem w twych oczach nienawiść.

- Nienawiść? Nienawiść? Nie, Kinnallu, tylko smutek. Jest się wciąż twoim... - Zrobił

pauzę. Z wysiłkiem powiedział - Ja jestem wciąż twoim więźnym bratem. Mam obowiązek dbać o twoje dobro. Jak mogę pozwolić, żeby Stirron ścigał cię jak dzikie zwierzę? Chodź. Prędeej. Zabiorę cię stąd.

- Nie.

- Nie?

- Na pewno zostaniemy schwytani. I tobie też dostanie się od Stirrona. Skonfiskuje twój majątek, zdejmie cię z urzędu. Nie powinieneś się dla mnie narażać, Noimie.

- Przebyłem całą tę straszną drogę na Wypaloną Nizinę, żeby cię zabrać, jeśli więc wyobrażasz sobie, że wrócę bez...

- Nie kłóćmy się - powiedziałem. - Nawet jeżeli ucieknę, to co mnie czeka? Czy resztę życia mam spędzić ukrywając się w dżungli na Sumarze Borthanie, wśród ludzi, których języka nie znam i których sposób życia jest m zupełnie obcy? Nie, nie. Już mam dość wygnania. Niech Stirron zrobi ze mną, co chce.

Niełatwo było przekonać Noima, żeby mnie tu zostawił. Piekł nas żar południa, płynęły długie minuty, a my staliśmy i dyskutowaliśmy zawzięcie. Noim zdecydowany był przeprowadzić swój bohaterski plan uratowania mnie, chociaż było raczej pewne, że obaj zostaniemy ujęci. Robił to z poczucia obowiązku, a nie z miłości, ponieważ widziałem, wciąż obciąża mnie winą za śmierć Halum. Uważałem to za zniewagę. Powiedziałem mu, że postąpił szlachetnie podejmując tę podróż, ale że nie mogę z nim odjechać. Wreszcie niechętnie ustąpił, jednak dopiero wtedy, gdy obiecałem mu, że przynajmniej zrobię jakiś wysiłek, żeby się ocalić. Przysiągłem, że przeniosę się w zachodnie góry i nie będę siedział tutaj i czekał, aż Stirron mnie znajdzie. Jeśli dotrę bezpiecznie do Velis albo Threish, to dam mu znać, aby przestał martwić się o mój los. Potem dodałem:

- Jest coś, co możesz dla mnie zrobić. - Przyniosłem z szopy swój manuskrypt, istną górę

papieru, czerwone gryzmoły na szarych, szorstkich arkuszach. Powiedziałem, że tam znajdzie całą moją historię: lapidarny opis mojej osobowości oraz wszystkich wydarzeń, które zaprowadziły mnie na Wypaloną Nizinę. Nalegałem, żeby to przeczytał i dopiero potem wydał o mnie sąd.

- Znajdziesz tam rzeczy, które cię przerażą i napełnią odrazą - ostrzegłem go. - Ale sądzę, że znajdziesz również wiele faktów, które otworzą ci oczy i duszę. Przeczytaj to, Noimie. Przeczytaj uważnie. Przemyśl moje słowa. - Poprosiłem go o ostatnią przysięgę na łączące nas braterskie więzi, że przechowa bezpiecznie mą książkę, że nie spali jej, nawet gdyby naszła go taka pokusa. - Strony te zawierają mą duszę - oświadczyłem. - Jeżeli zniszczysz papier, zniszczysz i mnie. Gdybyś poczuł wstręt do tego, co czytasz, schowaj tę książkę, ale nie niszczyć jej. To, co szokuje cię dzisiaj, może przestanie cię szokować za parę lat. Być może pewnego dnia zechcesz pokazać tę księgę innym, żeby im wyjaśnić, jakim człowiekiem był twój więźny brat i dlaczego to wszystko uczynił. I może zmienisz ich tak, jak mam nadzieję - moje wyznania zmienią ciebie. - Noim złożył przysięgę. Wziął plik papierów i włożył je do kasety w swoim wozie. Uścisnęliśmy się. Spytał mnie raz jeszcze, czy jednak bym z nim nie pojechał - ponownie odmówiłem. Wsiadł do samochodu i powoli odjechał na wschód. Wszedłem do szopy. Miejsce, gdzie trzymałem manuskrypt, było puste. Poczulem się tak, jak musi czuć się kobieta, która nosi dziecko przez pełne siedem obrotów księżyca i potem nagle jej brzuch znów staje się płaski. Na te strony przelałem samego siebie. Teraz byłem niczym, ta książka stała się wszystkim. Czy Noim przeczyta ją? Chyba tak. A czy ją zachowa? Prawdopodobnie ukryje ją w jakimś ciemnym kącie. Czy kiedyś pokaże ją innym? Tego nie wiem. Jeśli jednak teraz-czytasz to, co napisałem, stało się to dzięki dobrej woli Noima Condorita. A jeżeli udostępnił on mój manuskrypt do czytania, znaczy to, że mimo wszystko zdobyłem jego duszę. Mam nadzieję, że zdobędę i twoją.

Powiedziałem Noimowi, że nie zostanę dłużej w tej chacie, ale wyruszę na zachód i podejmę wysiłek, aby się ocalić. Okazało się jednak, że wcale nie mam ochoty rozstać się z tym miejscem. Duszna szopa stała się moim domem. Zostałem jeden dzień, drugi i trzeci, nic nie robiąc, wędrowałem tylko samotnie po pustynnych obszarach Wypalanej Niziny i obserwowałem krążące rogorły. Piątego dnia, jak się zapewne zorientowałeś, podjąłem znowu pisanie autobiografii, usiadłem tam, gdzie ostatnio przebywałem tyle godzin i napisałem parę nowych stron o wizycie Noima. Potem minęły dalsze trzy dni, ale obiecywałem sobie, że czwartego dnia na pewno odkopię wóz spod czerwonego piasku i wyruszę na zachód. Jednak czwartego dnia rano Stirron i jego ludzie znaleźli moją kryjówkę. Zapadł już wieczór i dzięki łaskawości septarchy mam jeszcze godziną lub dwie, żeby coś napisać. Będą to moje ostatnie słowa.

Przyjechali w sześć samochodów, uzbrojeni po zęby. Otoczyli szopę i wezwali mnie przez megafony do poddania się. Nie było sensu stawiać im oporu, wcale zresztą tego nie chciałem. Spokojnie (na co zdałby się strach?) stanąłem w drzwiach szopy z podniesionymi rękoma. Wysiedli z wozów i ze zdumieniem zobaczyłem wśród nich Stirrona. Wyciągnięto go z pałacu na to posezonowe polowanie na Nizinie, choć zdobyczą miał być jego brat. Miał na sobie insygnia swej władzy. Wolno podszedł ku mnie. Nie widziałem go parę lat i przeraził mnie jego postarzały wygląd. Plecy miał przygarbione, głowę zwieszoną, włosy przerzedzone, twarz pooraną bruzdami, oczy pożółkłe, bez blasku. Oto skutek sprawowania najwyższej władzy! Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu jak dwoje obcych ludzi. Starałem się odszukać w nim tego chłopca, towarzysza zabaw, mego starszego brata, którego kochałem i dawno temu utraciłem. Widziałem tylko ponurego, starego człowieka, któremu drżały wargi. Septarcha powinien panować nad sobą, nie okazywać swoich uczuć, w tym się go ćwicz. Stirron jednak nie potrafił nic przede mną ukryć, nie mógł też utrzymać niezmiennego wyrazu twarzy, kolejno malowało się na niej] oburzenie, zdumienie, smutek, pogarda i coś jeszcze, co mogło wyglądać na stłumioną miłość. Wreszcie odezwałem się pierwszy, zapraszając go do wnętrza na rozmowę. Zawahał się, być może pomyślał, że chcę go zamordować, ale po chwili zgodził się, odprawiając królewskim gestem swą straż przyboczną. Gdy zostaliśmy sami, znów zapadło milczenie, które tym razem on przerwał, mówiąc: - Obecny tu nigdy nie odczuwał podobnego bólu, Kinnallu. Trudno mu uwierzyć w to, co słyszał o tobie. Jak mogłeś tak splamić pamięć ojca...

- Czy naprawdę to taka plama, septarcho?

- Splugawić Przymierze? Doprowadzić do zepsucia niewinnych... a wśród tych ofiar własną siostrą więźną? Coś ty uczynił, Kinnallu? Coś ty uczynił?

Naszło mnie ogromne zmęczenie i zamknąłem oczy. Nie wiedziałem doprawdy, jak mu to wytłumaczyć. Po chwili jednak odzyskałem siły. Zwróciłem się ku niemu z uśmiechem, wziąłem go za rękę i powiedziałem: - Ja ciebie kocham, Stirronie.

- Jakże jesteś chory!

- Bo mówię o miłości? Wyszliśmy przecież z tego samego łona! Mam cię nie kochać?

- Jak możesz tak mówić. Same brudy!

- Mówię, jak mi nakazuje serce.

- Jesteś nie tylko chory, ale obmierzły - stwierdził Stirron. Odwrócił się i splunął na glinianą podłogę. Wydawał mi się jakąś nierzeczywistą, średniowieczną figurą, z tą ponurą królewską twarzą, odziany w krępujące oficjalne szaty, przyozdobiony klejnotami, przemawiający opryskliwym, wyniosłym tonem. Jak się do niego zbliżyć?

Powiedziałem: - Stirronie, zażyj ze mną sumarański narkotyk. Jeszcze mi trochę pozostało. Zmieszam, wypijemy wspólnie i za godzinę lub dwie zjednoczą się nasze dusze - i wtedy wszystko zrozumiesz. Przysięgam, zrozumiesz! Zrobisz to? Potem możesz mnie zabić, jeśli będziesz chciał, ale przyjmij najpierw narkotyk. - Zacząłem krzątać się i przygotowywać napój. Stirron chwycił mnie za rękę i powstrzymał. Pokręcił głową, na twarzy rozlał mu się niewypowiedziany smutek.

- Nie - oświadczył. - To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Nie wolno ci zamroczyć umysłu pierwszego septarchy.

- Mnie interesuje tylko umysł i dusza mego brata Stirrona!

- Jako bratu życzy ci się tylko, abyś mógł być uleczony. Jako septarcha ma się obowiązek dbać o siebie, należy się bowiem do swego ludu.

- Narkotyk nie jest szkodliwy, Stirronie.

- Czy był nieszkodliwy dla Halum Helalam?

- Jesteś bojaźliwą dziewicą? - spytałem. - Dawałem! ten narkotyk wielu ludziom. Tylko jedna Halum tak źle za- i reagowała... może też Noim, ale on sobie z tym poradził... A...

- Dwoje najbliższych ci na świecie ludzi - powiedział Stirron - i oboje skrzywdziłeś dając im narkotyk. A teraz proponujesz swemu bratu?

Było to beznadziejne. Jeszcze go prosiłem parę razy, żeby zaryzykował, ale oczywiście nie chciał nawet tknąć narkotyku. A gdyby nawet zażył, to czy byłaby z tego dla mnie jakaś korzyść? W jego duszy znalazłbym tylko zimną stal.

Spytałem: - Co się teraz ze mną stanie?

- Będziesz miał uczciwy proces i otrzymasz sprawiedliwy wyrok.

- Jaki? Śmierć? Dożywotnie więzienie? Wygnanie? Stirron wzruszył ramionami. - O tym zdecyduje sąd.

Uważasz mówiącego za tyrana?

- Stirronie, dlaczego ten narkotyk tak cię przeraża? Czy wiesz, jak działa? Pozwól, bym cię przekonał, że daje tylko miłość i zrozumienie. Nie musimy być dla siebie obcymi ludźmi i wznosić mur wokół duszy. Możemy mówić "ja", Stirronie, i nie przeproszać, że mamy osobowość. Ja. Ja. Ja. Możemy powiedzieć sobie nawzajem, co nam sprawia ból, i pomagać sobie, żeby tego bólu uniknąć. - Twarz mu pociemniała, widać było, że uważa mnie za wariata.

Przeszedłem obok niego, wziąłem narkotyk i szybko zmieszałem z winem. Podałem mu butelkę. Potrząsnął głową. Wypiłem szybko sam i znów podałem mu butelkę. - Śmiało! - zachęcałem go. - Wypij. Wypij! Zacznie działać dopiero po chwili. Wypij zaraz, to otworzymy się równocześnie. Proszę cię, Stirronie!

- Ja sam mógłbym cię zabić - oznajmił - nie czekając na wyrok sądu.

- Powtórz to, Stirronie! Ja sam! Powiedz to jeszcze raz!

- Nędzny samoobnażacz. Syn mojego ojca! Jeśli mówię do ciebie, Kinnallu, w pierwszej osobie, to dlatego że zasługujesz tylko na to, żeby zwracać się do ciebie plugawym językiem.
- To nie jest plugawy język. Wypij, a zrozumiesz.
- Nigdy.
- Czemu tak się sprzeciwiasz, Stirronie? Co cię przeraża?
- Przymierze jest święte - stwierdził. - Zakwestionować Przymierze, to zakwestionować cały porządek społeczny. Pozwolić na rozpowszechnienie tego narkotyku w kraju, a zniknie rozsądek, zginie stateczność. Myślisz, że nasi przodkowie byli tępymi prostakami, że byli głupcami? Kinnallu, oni wiedzieli, jak stworzyć trwałe społeczeństwo. Gdzie są miasta na Sumarze Borthanie? Dlaczego tam ludzie żyją w lepiankach w lasach, a my wznieśliśmy takie wspaniałe budowle? A ty chcesz skierować nas na ich drogę, Kinnallu. Wystarczy znieść różnicę pomiędzy dobrem a złem, i zaraz przestałoby obowiązywać wszelkie prawo i każdy człowiek podnosiłby rękę na drugiego. Gdzie wtedy byłaby twoja miłość i powszechne zrozumienie, co? Nie, Kinnallu. Zatrzymaj sobie swój narkotyk. Mówiący wybiera Przymierze.
- Stirronie...
- Dość. Ten upał jest nie do zniesienia. Jesteś aresztowany. Idziemy.

Stirron zgodził się, żebym po zażyciu narkotyku przez parę godzin pozostał sam, zanim rozpoczniemy powrotną podróż do Salii. Nie chciał bowiem, abym był w drodze, gdy dusza moja będzie szczególnie wrażliwa na bodźce zewnętrzne. Taką mi łaskę wyświadczył septarcha! Przed moją szopą pozostawiono na straży dwóch ludzi, a septarcha wraz z towarzyszami poszli polować na rogorła.

Nigdy nie narkotyzowałem się sam, bez współuczestnika, kiedy więc po wstępnym dziwnym uczuciu rozpadły się mury izolujące mą duszę - nie było nikogo, kto by do niej wkroczył, ani ja nie miałem się w kim zatopić. Czułem wprowadzić dusze mych strażników, twarde, zamknięte, choć wiedziałem, że przy pewnym wysiłku mógłbym do nich dotrzeć. Nie zrobiłem jednak nic, gdyż w pewnym momencie rozpoczęła się dla mnie cudowna podróż. Moje własne ja rozszerzało się, unosiło się, aż otoczyło całą naszą planetę i wszystkie dusze całej ludzkości zlały się z moją duszą. I pojawiła się ta cudowna wizja. Ujrzałem swego więźnego brata Noima, jak powielał kopie mego pamiętnika i rozdawał je tym, którym mógł zaufać, a oni robili następne kopie - i krążyły one po całej Veladzie Borthanie. Z południa płynęły statki załadowane białym proszkiem, poszukiwanym nie tylko przez elitę, nie tylko przez księcia Sumaru i markiza Woyn, ale przez tysiące zwykłych obywateli, przez ludzi głodnych miłości, przez tych, którzy wiedzieli, że Przymierze już się przeżyło, przez tych, którzy pragnęli dotrzeć do innych dusz. I chociaż stróże starego porządku robili wszystko co w ich mocy, żeby powstrzymać bieg wydarzeń - był on nie do powstrzymania i stało się jasne, że miłości oraz radości dłużej już tłumić się nie da. I wreszcie powstała sieć łączności, jasno żarzące się włókna percepcji zmysłowej łączyły jednych z drugimi w jedną wielką całość. I wreszcie septarchów i sędziów zmyła potężna fala wyzwolenia i cały świat połączył się w radosnej komunii, każdy z nas stał się otwarty wobec wszystkich. Dopełnił się czas przemian.

Zostało ustanowione nowe Przymierze. Wszystko to widziałem z mej nędznej szopy na Wypalonej Nizinie. Widziałem światło ogarniające świat, migocące, połyskujące, o coraz większej jasności, coraz bardziej olśniewającym blasku. Widziałem kruszące się mury i rozpalający się płomień powszechnej miłości. Widziałem nowe twarze, zmienione, triumfujące, rozradowane. Ręce dotykały rąk. Jaźnie zatapiały się w sobie. Wizja ta płonęła w mej duszy przez pół dnia, napełniając mnie radością, jakiej dotychczas nie przeżywałem. Dopiero gdy działanie narkotyku zaczęło słabnąć, zdałem sobie sprawę, że to było tylko urojenie.

Może nie zawsze będzie urojeniem. Może Noim znajdzie czytelników mojej autobiografii i może oni podążą moim śladem i będzie ich tylu, że nastąpią nieodwołalne i powszechne zmiany. Ja zniknę. Ja zwiastun, prekursor, umęczony prorok. To, co napisałem, będzie jednak trwało i dzięki mnie w was dokonają się przemiany. Może więc moja wizja nie jest złudnym snem.

Ostatnią stronę piszę, gdy już zapada zmierzch. Słońce kryje się za góry Huishtor.

Wkrótce ja, więzień Stirrona, podążę również w tamtym kierunku. Zabiorę ten manuskrypt ze sobą, ukryję gdzieś i jeśli będę miał szczęście, przekażę w jakiś sposób Noimowi, aby mógł go dołączyć do' tych stron, które już wziął ode mnie. Nie wiem, czy mi się to uda, tak samo jak nie wiem, co stanie się ze mną i z tą książką. Chcę ci jednak coś powiedzieć: jeśli obie części zostaną połączone w jedno i przeczytasz całość, możesz być pewny, że zaczynam zwyciężać, że dla Velady Borthana nadchodzą nowe dni, zmiany dla was wszystkich. Jeżeli doczytałeś do tego miejsca, duchem jesteś ze mną. Mówię ci więc, mój nieznanemu czytelniku, że cię kocham i wyciągam do ciebie dłoń, ja, który byłem Kinnallem Darivalem, tym, który pierwszy wstąpił na tę drogę. Obiecałem ci opowiedzieć wszystko o sobie i mogę teraz stwierdzić, że obietnicę tę spełniłem. Idź i szukaj, nawiązuj kontakty. Idź i kochaj bądź otwarty. Idź i zostań uleczony.